

Luizę pilnie sprzedam



Danuta Noszczyńska

Luizę pilnie
sprzedam



Danuta Noszczyńska

www.wydawnictwosol.pl

Copyright © Danuta Noszczyńska 2010

Redakcja:

Mariola Będkowska

Okładka:

Anna Lenartowicz

Korekta:

Urszula Przasnek

Warszawa 2012

ISBN 978-83-62405-58-9

Wydawca:

Wydawnictwo SOL

Monika Szwaja • Mariusz Krzyżanowski

05-600 Grójec, Duży Dół 2a

wydawnictwo@wydawnictwosol.pl

ePub i Redakcja techniczna:

Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux

atelier@duchateaux.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

I. Orzeł czy reszka?

II. Porwanie kontrolowane

III. Patronka od siedmiu boleści

IV. Straszny Mafiozo wyłazi z ukrycia

V. Narzeczony

VI. Ups! A to się porobiło...

VII. Wycieczka do Zamku Zombich

VIII. Bardzo wielka dama zza oceanu

IX. Who's that boy?

X. Wojna

XI. Historia pewnego naszyjnika

XII. To nie może być prawda!

XIII. Marta

EPILOG

•

Wszystkie postaci występujące w książce są fikcyjne, a opisane zdarzenia nigdy nie miały miejsca. Mimo to imiona i nazwiska bohaterów oraz nazwy miejscowości zostały na wszelki wypadek zmienione.

•

I. Orzeł czy reszka?

- Tatuś... a może by jednak spróbować inaczej? - spytałam tak bardziej retorycznie.

- Inaczej? A jest jakieś inaczej? - odparł ojciec z dość powierzchowną troską w głosie. - Wałkowaliśmy przecież ten temat wielokrotnie. I sama dobrze wiesz: nie ma żadnego inaczej. Poza tym obiecałaś. Przy sięgłaś. Nie martw się, jakoś to wszystko się ułoży...

- Obiecałam - westchnęłam głęboko, starając się uwierzyć, że uda mi się z tego naszego, wspólnego zresztą, planu wywinąć.

A w każdym razie doprowadzić do sytuacji, że wilk będzie... cały i owca... nieskonsumowana. W końcu to nie średniowiecze jakieś albo inne rokoko, ażeby panna w moim wieku za mąż według rodzicielskiej woli szła. Swojej całkowicie wbrew. Ale nasza sytuacja tego wymagała, a czas naglił... I ojciec nie miał innego pomysłu, ja, nawiasem mówiąc, też nie. Fakt, że oboje z tatusiem przerznęliśmy na automatach powierzony mu przez Straszego Mafioza kapitał, razem wdepnęliśmy w tarapaty z perspektywą braku dachu nad głową i podstawowego pożywienia, i tylko ja mogłam nas wystarczająco prędko z tego ambarasu wyciągnąć. W sposób prosty, jednak niekoniecznie przyjemny...

- Patrz! Patrz, jak on pięknie do ciebie pisze, jak się...

- ...migdali i wykliwia! - podrzuciłam kwaśno, wyszarpując ojcu z dłoni sfatygowaną białą kopertę. - Mógłby się przynajmniej pofatygować i wynająć jakiegoś żywego tłumacza, bo coś mi się zdaje, że pośrednikiem jego miłosnych wyznań był program komputerowy!

- „Moja ty purchaweczko słodka - odczytałam na głos, akcentując odpowiednio - drgam cały z niecierpliwości, abym mógł gębę twoją osobliwą obejrzeć, zmiażdżyć twą kibić dookoła, do ołtarzu zaciągnąć i zapłodnić natychmiast, co nam dopomóż, wielki Lord, święty Spirytus, Jezus Chrystus i cały Trójnik”.

- Mam nadzieję - dorzuciłam z rosnącym niesmakiem - że chodziło mu raczej o truskaweczkę niż o purchaweczkę. On mnie chce zapłodnić, ty słyszysz?

- Nie, chyba o turkaweczkę. - Tatuś zamyślił się głęboko. - Dawniej tak się mawiało. A zapładniać cię wcale nie musi. Już... twoja w tym, babska rzecz...

- Dawniej???. Kiedy dawniej?! To ileż ten mój luby ma lat?

- Czy to ważne? - Tatuś podejrzanie szybko spuścił wzrok. - Jak cię chce zapładniać, to chyba jest jeszcze reprodukcyjny... Ale przecież... eee... nie o jego fizyczne walory nam tutaj idzie.

Wściekłam się. Do granic wrzenia, rozpaczliwie, ale... bez możliwości wykrzyczenia mojej wściekłości. Czasem w życiu tak jest, że najdzie na człowieka jakiś mus bezwzględny, wobec którego nic nie zaradzisz i jedyne, co możesz, to zwiesić łeb. I wściekać się na siebie. Nie na tatuś. Bo czułam się odpowiedzialna, dorosła, gotowa przynajmniej do wzięcia na swoje barki połowy tego, z czym dotychczas zmagał się tatuś w pojedynkę.

Kiedy zmarła moja mama, miałam zaledwie półtora roku, tatuś dwadzieścia dwa. Nie wiem, na co zmarła, tatuś też nie wie. I nikt nie wie. Może na grypę. A może na zawał. Tatuś mówi, żeby się w tym nie grzebać, bo co to da? Racja... Najważniejsze, że jakoś oboje przetrwaliśmy. Żyliśmy z tego, co tatuś umiał najbardziej, czyli z hazardu. Przeważnie ogrywał ludzi na bazarkach w „trzy karty”, zarobek był może niewielki, ale pewny. W każdym razie dawał chleb powszedni i coś do chleba. Najchętniej jednak tatuś grywał w pokera, bo tu można było skosić niezły szmalec, jak mu się udało wmontować w odpowiednie towarzystwo. Ale nie gardził też różnymi zakładami, ustawionymi, rzecz jasna, przez niego samego. Nie żadne tam piłkarskie czy inne lotto, gdyż tatuś zawierzał głównie sprytowi rąk własnych i umysłu. W gruncie rzeczy tatuś był uczciwym i charakternym facetem. Nigdy nie sięgnął po cudze, bo przecież wygraną delikwent mniej lub bardziej chętnie sam podawał mu do ręki... Wszystko było, jak mawiał: „tip-top, mucha nie siada i pod paragraf nie podpada”.

Dlatego, kiedy trzy tygodnie temu, z soboty na niedzielę przerznęliśmy z tatusiem pospołu całe czterysta tysiaków, będących, jak się okazało, własnością Straszego Mafioza, wpadliśmy w panikę. Od tej feral-

nej nocy bezustannie kombinowaliśmy, jak wyjść z tej przykrewj sytuacji. W przerwie na myślenie twórcze snuliśmy rozmaite domniemania, co taki Mafiozo nam może, jak sprawa się rypnie. Pewnego wieczoru, pod wpływem jakiejś wyjątkowo przykrewj i nieestetycznej wizualnie wariacji, tatusia olśniło. Uznał, że pójdziemy w matrymonium! Ożeni się albo on, albo ja: na kogo wypadnie, na tego bęc! Rzuciliśmy więc monetę. Wypadło na mnie... Tatuś zabrał się do wertowania ogłoszeń prasowych, ja przeczesywałam kompa.

- Córuś... - Tata wyrwał mnie z ponurej zadumy, kładąc mi rękę na ramieniu. - Weź ty to może... jakoś... całościowo rozważ. Pod „za” i „przeciw”, co?

- Ale ty mnie wcale nie musisz przekonywać! - Jednym gwałtownym ruchem ramienia strząsnęłam z siebie jego dłoń. - Ja wiem, co mam robić!

- Ale mnie jest niemiło...

- Mnie też jest niemiło. I ty mi tu teraz wyrzutami oczu nie mydl. Dobrze wiesz, że to nic nie da!

- No...

- Będzie, co będzie!

- No...

- I ja uważam, generalnie, że nam to ogłoszenie z nieba spadło!

Tatuś rozpromienił się wyraźnie i sięgnął po gazetę, którą trzymał i hołubił jak relikwię.

- „Pan Izydor Chlebobierski, bez nałogów, majątny, gorliwy patriota, poszukuje młodej, zdrowej i przystojnej panny polskiej krwi z dziada pradziada (najmniej do szóstego pokolenia). Cel - matrymonialny” - przeczytał z nabożeństwem. - A ty, dziecko, Polka jesteś, rodowita. Te sześć pokoleń da się udowodnić, jak amen w pacierzu. I czy to nie cud, że tobą zainteresował się właśnie? Przecież panienki musiały odpisywać na ten anons całymi zgrajami! Cud! I... wola Boża...

- Cud, tatusiu. Cud - westchnęłam, odwracając oczy. - Cud jak cholera!

- No! - ucieszył się tatuś, jakby nie wyczuwając ironii w moim głosie.

- Panią będziesz, Luizo, na włościach! Przecież ten Izydor to szlachciora jakiś! Z pewnością ma zamek, może i kilka... Albo choćby dwór. Forsy jak siana, służbę w liberiach i limuzynę. Może i kilka... Co by nie po-

wiedzieć – rozmarzył się na całego – dobry chłop, ten Izydor. Wartości narodowe sobie ceni, prorodzinne.. i tego... eee... honor! Bóg, ojczyzna i kiszone ogórki! On ci wszystko zrekompensuje, zobaczysz!

- Wiesz co, tatuś? – Skrzywiłam się nieznacznie. – Ty już przynajmniej nic nie mów. Oboje wiemy, jak jest...

Bo nawet, gdyby znalazł się jakiś inny, bardziej estetyczny sposób wyjścia na prostą, czasu jest za mało i miecz Domestosa formalnie już majaczył nam nad głowami... Mafiozo mógł lada dzień upomnieć się o swoje...

Tatuś syknął boleśnie przez zęby.

- A więc, do roboty, córeczko... I niech cię patronka twoja ma w swej opiece!

•

Prawie przez całą noc nie mogłam zasnąć. Jak tylko zmrużyłam oko, zaczynał majaczyć mi pod kopułą jakiś obleśny staruch na zmianę ze Straszny Mafiozem, którzy uganiali się za mną do utraty tchu w celach całkowicie odmiennych. Już w końcu sama nie wiedziałam, co lepsze: tortury Mafioza czy umizgi poczwarnego, obślinionego starca...

Myślałam także o pewnym pechowym dniu, dniu moich dwudziestych pierwszych urodzin, w którym napytaliśmy sobie z tatusiem tej biedy... Do tej pory ojciec konsekwentnie trzymał mnie z dala od swojej „pracy”, ale wówczas, w moje urodziny, coś mu formalnie odbiło!

- No, córko – rzekł z tajemniczym uśmiechem. – Od dziś jesteś już dorosła. To znaczy, nie tylko metrykalnie, ale w ogóle, pod każdym względem dojrzała. Bo mówi się, że dopiero w dwudziestym pierwszym roku człowiek jest w pełni dojrzały.

- Do czego? I gdzie się tak mówi? – spytałam trochę bezmyślnie, bo akurat, o ile sobie przypominam, czytałam bardzo pasjonujący artykuł w „Sekretach serca”.

- Do wszystkiego – odparł tata trochę zbyt ogólnie. – I w ogóle, tak się mówi.

- Ale dlaczego? – spytałam znad gazety. – Dlaczego ty, właśnie dzisiaj mnie o tym informujesz?

- Bo zamierzam urządzić ci niezapomniany wieczór. Zabieram cię do kasyna!

No i urządził. Jak babcię drypcię! Nie powiem, żebym opierała się jakoś za bardzo, bo kasyno zawsze było miejscem, które chciałam zobaczyć od środka, posmakować tych emocji, które nierzadko stawały się przyczynkiem dramatów i tragedii, zobaczyć, jak to jest i co w tym jest, że wciąga... Tego właśnie nie umiałam pojąć. Jak niepalący, który nie potrafi zrozumieć palacza, jak abstynent, dla którego przymus picia jest równie abstrakcyjny jak... święta Weronika na witrażu w naszym kościele! Po prostu - możesz się wysilać do ostatnich boleści, a i tak nie jesteś w stanie odczuć tego, co czują inni albo jak patrzą na świat.

Dlatego chyba tatuś mówił mi o tej dojrzałości, bo prawdopodobnie nie umiał się wyrazić bardziej wprost: że liczy na to, że się za bardzo nie wciągnę. Ale ja się, niestety, wciągnęłam, już tego pierwszego wieczoru. No cóż, w końcu ojcowskie geny nie idą w las...

Wypiliśmy na dzień dobry po dwa duże nurki z wiśniówką na spirytusie, i po-szło! Tatuś biegał tylko i rozmieniał wciąż nową stówkę, a przy forsie był, jak mało kiedy... Przy cudzej forsie, niestety. Kiedy wyszliśmy z przybytku rzeńskim świtem, miałam w kieszeni raptem sto trzydzieści osiem złotych, tatuś raczej nie więcej. A ileśmy przerznęli?

- Ileśmy przerznęli, tatusiu? - spytałam jeszcze całkiem beztrosko, wciąż napędzana wiśniówką na spirytusie topioną w mocnym piwie, tytoniowym dymem, wonią perfumowanego potu i mieszaniną dźwięków, której składowe trudno by wyliczyć.

- Jedno ci powiem, moje dziecko - tatuś niepokojąco zastygł na środku trotuaru - kto mieczem wojuje, od miecza ginie, eup! - oznajmił metaforycznie i równie metaforycznie beknął ku bezkresnym przestworzom.

- To znaczy? - Pociągnęłam go za rękaw, wprowadzając z powrotem w niemrawy ruch posuwisty. - Zgraliśmy się jak mopsy, tak? Jesteśmy goli, znaczy się?

- Więcej niż goli... epp... córeczko! - Tata beknął ponownie, ale tym razem jakoś bez przekonania. - Wybacz mnie, staremu durniowi, i nie wspominaj źle, kiedy... złożę łeb pod tramwaj!

Złapałam go niemal w ostatniej chwili, osadzając niechcący oraz ze sporym impetem na brukowanym chodniku. Czując, że coś tu jest nie tak, i to bardzo, usiadłam obok.

- No to gadaj! - zażądałam grubym i donośnym głosem.

Wówczas tatuś opowiedział mi o Straszonym Mafiozie. O tym, jak pewnego razu w kasynie, nad ranem, pewien dziwny facet serdecznie zbratał się z nim, skuteczniając liczne bruderszafty i inne kurtuazje, przy czym tatuś jeszcze nie wiedział, z kim ma do czynienia. W zasadzie w kasynie nikt się z nikim nie brata, a już z pewnością nie obłapia po pijaku, deklarując dozgonne uczucie. Już samo to powinno było tatusia tknąć, ale nie tknęło.

- On sobie mnie upatrzył na swoją ofiarę! - jęknął tatuś, wkładając sobie skołataną głowę pomiędzy kolana. - Widać z gęby mi jakoś sympatycznie patrzyło... Albo nie, on musiał wiedzieć, że ja tam raczej nie chadzam - zmienił nagle zdanie.

Tatuś rzeczywiście bywał w kasynie niezmiernie rzadko, powiedziałabym nawet: okazjonalnie. W tym momencie jednak przestałam oczekiwać, że cokolwiek z tej jego mętnej gadaniny pojmę i zażądałam konkretnych konkretów.

- No i on w którymś momencie skoczył na równe nogi, wetknął mi paczkę z forszą za pazuchę i uciekł - streścił się tatuś.

- Nie rozumiem...

- Pewnie ktoś na niego czyhał. I on zobaczył tego kogoś, żal mu się takiej kupy forsy zrobiło, jakby co, rozumiesz, więc zrobił sobie ze mnie depozyta.

Oparłam się plecami o plecy tatusia i jak on podciągnęłam kolana pod brodę, starając się zajmować jak najmniej miejsca na trotuarze, gdyż miasto zaczynało się powoli zaludniać i co rusz ktoś się o nas potykał.

- Jesteś pewien, że to mafiozo był? - upewniłam się na wszelki wypadek.

- Córuś... - westchnął tata dramatycznie. - Uwierz, że wiem. Robię w branży ładnych parę lat i życie mnie nauczyło, że graczy można podzielić na trzy kategorie: wygranych, przegranych i takich jak ja, średnich ptysiów. Przegrani to przegrani, ja - to ja, ale ci, co z tego interesu wychodzą z naprawdę grubym szmalcem, nie są zwykłymi śmiertelnikami. A już na pewno nie ci, co muszą w podskokach uciekać!

- To może nie jest tak źle - szepnęłam. - Może ktoś go już dawno ukatrupił, co? I w ogóle, skąd on wie, komu oddał paczkę z forszą, skoro

obaj byliście zrobieni w siwy dym? I skąd wie, od kogo ją powinien odebrać?

- A, nie, tak pięknie to nie jest. - Tatuś niebezpiecznie przegiął się na bok. - Zanim on się zerwał, spisał sobie moje dane osobowe. Imię, nazwisko, adres, wsio! I jeszcze na odchodnym nastraszył. Strrrrasznie nastraszył!

- Pamiętasz chociaż, jak wyglądał?

- No... pewnie...

- Jak?

- Strrrrrasznie - oznajmił tatuś, zwinął się w kłębek i zaczął chrapać.

Tego, co usłyszałam, nie mogłam w żaden sposób ogarnąć rozumem ani innym szóstym zmysłem. Ba, nie mogłam nawet w to uwierzyć, ale skąd by tatuś w takim razie miał czterysta patoli? Wobec powyższej niewiadomej zmusiłam się i uwierzyłam...

Dzisiaj, w obliczu nieuchronnego, które zmierzało ku mnie wielkimi, Izydorowymi krokami, ani w głowie było mi podawanie czegokolwiek w wątpliwość. Mimo iż cała ta heca zawierała jeszcze sporo logicznych luk, wynikających z luk pamięciowych zrobionego w siwy dym tatusia...

Pogodzona z faktem, że tej nocy niedane mi będzie chociaż się zdrzemnąć, wyskoczyłam z łóżka, przejrzałam po raz kolejny mój niewielki bagaż, wzięłam prysznic, a następnie znowu przejrzałam bagaż. Ot, podróżny niezbędnik młodej dziewczyny: parę ciuchów, trochę bielizny i kosmetyki. Torbę pakowałam pod dyktando tatusia, który uważał, że im mniej do niej upcham, tym więcej zyskam od mojego majątnego narzeczonego. Jak sierotka Marysia, eksponując głównie swoje ubóstwo i niewinność...

Okazało się, że tatuś też nie może spać, dotrwaliśmy więc oboje do mniej więcej przyzwoitej godziny i udaliśmy się do kościoła na poranną mszę. Muszę przyznać, że co jak co, ale wychowanie tatuś dał mi staranne, katolickie. Oboje byliśmy głęboko wierzący i sumiennie praktykujący. Modliłam się więc teraz bardzo gorliwie, prosząc Jasną Panią, aby jakimś cudem wybawiła nas z opresji, na przykład podsuwając tatusiowi nadprzyrodzoną możliwość ogrania kogoś na te czterysta kawałków. Albo żeby ktoś po wyjściu z kościoła taką kasę zgubił, a my znaleźli. Albo... żeby chociaż przyszedł mi do głowy jakiś genialny

plan awaryjny! Do południa było w końcu jeszcze parę godzin, bo potem to już tylko czarna rozpacz. Tatuś przygadał jakiś wóz, który miał mnie zawieźć do umówionego hotelu w Gdańsku, gdzie od paru dni rezydował już Izydor, by na dzień dobry zmiążyć mnie oraz zapłodnić...

Tatuś modlił się chyba o to samo co ja, bo w przerwach, kiedy nie ziewał, zgrzytał zębami i wytrzeszczał oczy. Niestety - ani on, ani ja nie zostaliśmy wysłuchani.

•

II. Porwanie kontrolowane

Dokładnie o dwunastej zero osiem rozległo się pukanie do drzwi.

- A... ccco to jest? - wyjąkałam na widok wbijających się nam do mieszkania trzech osiłków jednakowej maści i postury.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to szarpnięty na czterysta kawałków Mafiozo już kogoś na nas nasłał.

- Twoja obstawa! - odparł tatuś zadowolony. - Proszę, wchodźcie chłopaki. - Szerokim gestem odsunął mnie od drzwi i dość łagodnie, jednakże z buta potraktował mój bagaż.

- Jaka obstawa? Ale ja... nie...

- No, włączcie, włączcie. - Ojciec z każdym z nich wykonał klasycznego niedźwiadka. - A to jest mój skarb, który będziecie eskortować.

- Tatussssiu! - syknęłam zdezorientowana i zła.

- Znieście bagaż chłopaki, ja się tymczasem z dzieckiem pożegnam.

- Tatuś po raz kolejny zignorował mnie kompletnie.

Osily były wielkie, opasłe i tępe na gębach.

- Słuchaj, córeczko - tatuś rozwiął mój niepokój tuż po ich wyjściu - oni są jak koń z klapkami na oczach, który dociągnie wóz na miejsce, choćby się waliło i paliło.

- A po co mi oni? Nie ufasz mi? - zapytałem z pretensją.

- Ufam! Oczywiście, że ci ufam - obruszył się tatuś. - Ale, jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże! Nie przeżyłbym, gdyby po drodze coś ci się stało.

- Ccco? Co mogłoby mi się stać? - Poczułam nieprzyjemne łaskotanie w żołądku.

- Ojej! Cokolwiek miałoby się stać, to się nie stanie. Zadbalem o to solidnie.

Mówiąc to, tatuś równie solidnie przytulił mnie do siebie, zapewnił, że mam się o niego nie martwić i że będziemy w kontakcie.

Moi towarzysze podróży byli zupełnie nieabsorbujący. Niemal natychmiast po umieszczeniu mnie oraz siebie w dość sfatygowanym, zielonym mercedesie vanie zajęli się spożywaniem kanapek. Jedli tak i jedli przez ładnych kilkanaście kilometrów, nie wydając z siebie żadnych dźwięków poza ciamkaniem i chrumkaniem. Było mi to jak najbardziej na rękę, bo nie chciało mi się z nimi gadać. Postanowiłam się zdrzemnąć. Te kilkaset kilometrów, które były przede mną, dawało nadzieję na odespanie zarwanej nocy. Ułożyłam się więc w miarę wygodnie, obserwując chłoptasiów spod półprzymkniętych powiek. Chyba zaczynałam ich powoli rozróżniać. Na własny użytek nazwałam ich roboczo: Trombocyt, Leukocyt i Nifuroksazyd. Czemu tak? Pojęcia nie miałam. I choć nie miałam również pojęcia, co oznaczały powyższe terminy ani też gdzie się z nimi spotkałam, kojarzyły mi się z czymś krwawym, a także niepohamowanym i nieobliczalnym. Jak moi towarzysze. Na wypadek, gdyby nie było mi dane poznać, jak się naprawdę wabią, postanowiłam im te ksywki jakoś ładnie zdrobnić. Ot, choćby: Trombek, Lejek i Nifuś.

Trombek był z nich najszerszy w barach. Był także bardziej łysy niż pozostali. Resztki włosów Lejka, jakie miłosiernie pozostawił mu fryzjer, sugerowały, że był on blondynem. Miał też bardziej szpiczastą gębę od swojego kompana, większy nos i gruby łańcuch na szyi. Srebrny. Nifuś natomiast był od nich obu taki jakby bardziej... wszertz. Jak oglądany w panoramicznym telewizorze. Nie, żeby był grubszy, czy coś takiego. Był taki raczej odgórnie spłaszczony: o niskim czole, szerokiej twarzy z odstającymi uszami, od dołu kończącej się bezpośrednio na dolnej wardze. I też był szczątkowym blondynem.

Tak sobie ich kontemplowałam, żeby o niczym innym nie myśleć i sprowokować nadejście snu. A kiedy obejrzałam sobie już wszystko, co było w zasięgu mojego wzroku, i sen ciągle nie nadchodził, zaczęłam klepać bezmyślnie pod nosem zapamiętany w dzieciństwie wierszyk: „Pan Sobieski miał trzy pieski, czerwony zielony i niebieski”. Zrobiłam sobie nawet z niego coś w rodzaju gry, próbując po każdym powtórzeniu dostrzec wśród samochodów jadących z naprzeciwka podobną kombinację kolorystyczną. To niewiarygodne, ale przy takiej ilości i różnorodności aut, jakie jeżdżą dziś po naszych drogach, przez co najmniej

godzinę tej idiotycznej zabawy nie udało mi się to ani razu! W końcu mi się znudziło i wróciłam do moich osiłków, a potem już zupełnie spuściłam z wodzy karne dotychczas myśli.

Czego tatuś się bał? No bo chyba nie tego, że nie trafię na miejsce. Ani tego, że zrejteruję i ucieknę. No więc... czego? Kogo? Straszego Mafioza? Boże mój, Boże - wpadłam w mimowolny popłoch. Ale co on by mi... i dlaczego... - O Chryste Przenajświętszy! - wyrwało mi się na głos, co spowodowało pierwszy żywy odruch mojej świty: trzy łyse pały jednocześnie odwróciły się w moją stronę, by po chwili obrać znów kierunek zgodny z pozycją kadłubów. No tak! - wróciłam do poprzednich rozważań. Mafiozo mógłby mnie przecież porwać po drodze, jako gwarancję odzyskania swojej forsy! Taka odwrotna forma okupu. Okupu. Okup. To słowo jakoś nie dawało mi spokoju, cisnąc się nachalnie do głowy. Ale czemu? I nagle: bang! Olśnienie! No jasne, okup! Bo gdyby teraz ktoś mnie porwał dla okupu, z pewnością ochoczo zapłaciliby za mnie Izydor, i gdyby, pełnym przypadkiem wynosił akurat czterysta kawałków, to... To... - czaszka formalnie pękała mi teraz z wysiłku - to... byłoby jak raz dla Mafioza! I wówczas zero zmurszałych Izydorów, zero obmierzłych mariaży, miażdżenia i zapładniania! Tylko jaką siłą porywacz oddałby ten okup mnie? I kto w ogóle mógłby mnie porwać? - pytałam sama siebie, czując, że jestem całkiem blisko odpowiedzi na te wszystkie pytania...

- Chwila! Chwila, panowie! - wrzasnęłam, ustawiając się gwałtownie do pionu. - Musimy się jak najszybciej zatrzymać! Mnie się chce jeść. I pić! I siiiiiikać!!!!

W tym momencie Lejek, nawet nie obejrzawszy się za siebie, dał solidnie po hamulcach.

•

Zatrzymaliśmy się na przydrożnym parkingu, gdzie można było się posilić kiełbasą z rożna, a także, przy pewnej dozie samozaparcia, skorzystać z murowanego wychodka. Zamówiłam jedną porcję z bułką i musztardą oraz kawę. Chłopcy, całkiem niedawno posileni kanapkami, wzięli dla siebie identyczne zestawy, przy czym Trombek podwójny.

- Daleko jeszcze, prawda? - zaszcebiotałam milutko, wpychając zadek pomiędzy drewnianą ławę i chybotliwą ławkę.

- Mniamhum - odparł po dłuższej chwili Lejek z pełną gębą.

- Och, już się formalnie nie mogę doczekać! - ciągnęłam niezrażona.
- Ten mój narzeczony jest po prostu bajeeeeecznie boooogaty! Od razu obypie mnie złotem i brylantami!

Chłopcy spojrzeli po sobie beznamiętnie i jak na komendę zakąsili bułkami.

- No to co? Taki kawał drogi przed nami, a my będziemy tak milczeć? Może byśmy się troszkę zaprzyjaźnili? - Zamrugalam niewinnie.

- Nam się nie wolno przyjaźnić. Klyjent nasz pan - odparł za wszystkich Nifuś.

- A właśnie, tak a propos... e... klyjenta. - Pochyliłam się w jego stronę. - Dużo wam tatuś... tego... że tak powiem... za tę eskortę uiścił?

- Panienska pyta, ile nam Heniek za tom robote kopsnął - objaśnił Lejek.

- Tajemnica - burknął Nifuś, marszcząc brwi. - Się panienska nie ciekawi.

- No jasne! - Zachichotałam cieniutko. - Pewnie nie za dużo i w dodatku, że tak powiem, na zeszyt?

- Bo co?

- Bo tatuś tak ma. Gotówką raczej nie grzeszy, chyba liczy na to, że go mój narzeczony zasili.

- Tak czy inaczej, zawarlim umowę i Heniek zapłaci. Po robocie.

- No jasne, jasne - przytaknęłam prędko. - Zapłacić zapłaci. W końcu boi się o mnie, jak mało o co. Jestem przecież jego kapitałem na przyszłość, zabezpieczeniem na stare lata. Mówiłam wam już, jaki ten mój narzeczony bogaty?

- Mniamhum...

- On też formalnie trzęsie się o mnie jak o skarb najcenniejszy. Bo gdyby ktoś mnie porwał... Rozumiecie? Jakby się ktoś dowiedział, że ten mój luby taki majątny, a ja, jego oczko w głowie, tak sobie jadę, a on tam czeka, usychając z tęsknoty...

Chyba poleciałam za prędko i moi chłopcy w którymś momencie nie nadążyli, bo nie dostrzegłam w ich facjatach nawet cienia zainteresowania.

- Ej! - Spróbowałam ruszyć z posad ich szare komórki, waląc pięścią w ławę. - Chciałam powiedzieć, że to dobrze, że mnie eskortujecie, bo jeszcze by komuś przyszło do głowy porwać mnie dla okupu, nie?

Ale na szczęście nikt nie wie, że mój narzeczony zapłaciłby za mnie każde pieniądze! Nie tyle, co mój tatuś wam. Tylko sto razy tyle!

Po tych słowach oparłam się wygodnie i zaczęłam z uwagą śledzić twarze moich towarzyszy. Po kilku albo i kilkunastu sekundach Lejek zastygł w bezruchu z rozdziawioną paszczą i bułką w garści, następnie wstał.

- Idziemy do kibla - zarządził krótko.

- Ale mnie się nie chce - zaproponował Nifuś.

- Idziemy! - uparł się Lejek. - Nie będę stawał po drodze każdemu jednemu na szcwanie! Panienska też!

Ruszyłam posłusznie w kierunku oznaczonego kółkiem przybytku, jednak, gdy tylko chłopcy zniknęli za drzwiami męskiej „toalety”, zmieniłam kierunek i zacząłam się za winklem.

- ... no i co z tego? - wyłapałam strzęp wypowiedzi Nifusia.

- Jak co z tego? - obruszył się Lejek. - Nie słyszałaś, co mówiła?

W tym miejscu jego początkowo podniesiony głos przerodził się w ledwie słyszalny szept.

- E, tam... - powątpiewał Trombek. - Kupa zachodu i tyła. I nie wiadomo, co to warte.

- Jak nie wiadomo? Jak nie wiadomo? Kupę szmalcu, co nie? - gorączkował się Lejek.

- ...ale... gdzie byśmy ją schowali?

- ...ciotkę pod Białymstokiem. Straszne to zadupie jest, akuratnie w sam raz...

Niestety, w tym pasjonującym momencie odgłos dźwięcznego, potrójnego strumienia zaczął urywać się i przycichać, wobec czego musiałam jak najszybciej porzucić swoje stanowisko i pokicać ukradkiem w stronę damskiego wychodka.

- Hejka! - Zamachałam przyjaźnie do podchodzących mężczyzn.

Odmachali mi niemrawo i jakby nawet ponuro.

- A, co tam! Jak nas już tak los połączył, Luiza jestem! - Wyciągnęłam rękę w kierunku bliżej niesprecyzowanym.

- Ja... - Nifuś zamierzał chyba odwzajemnić prezentację, urwał jednak bardzo szybko, walnięty przez Lejka pod żebro. - Tajemnica! - Zaskoczył nad wyraz szybko, po czym mijając miejsce naszej biesiady, złapał niedojedzony kawał kiełbasy i wpakował ją sobie w usta.

Teraz nie myślałam już o spaniu. Dumałam nad tym, jak powinnam się zachować, kiedy się zorientuję, że zostałam porwana. I kiedy powinnam się zorientować. Bo gdybym na przykład puściła ten fakt mimo uszu i oczu, byłoby raczej podejrzane, nawet dla nich. Przecież nie mogłam być aż tak głupia... I nie byłam! Tatusz nie zapewnił mi być może gruntownego wykształcenia, ale wyposażył mnie we wrodzoną inteligencję, spryt, a także w życiowo użyteczną wiedzę. Szkołę, co prawda, ukończyłam, z maturą nawet, ale tylko dzięki temu, że dwukrotnie powtarzałam tę samą klasę i z egzaminem dojrzałości przyszło mi się zmierzyć akurat wówczas, gdy został objęty amnestią... Formalny cud! Zawsze z tatusiem głęboko wierzyliśmy w cuda. Zresztą, mniejsza z tym. Obecnie także liczyłam na cud.

Podniosłam głowę i rozejrzałam się dookoła. Tak jak przewidziałam, Lejek zmienił trasę. Na bank nie jechaliśmy w kierunku Gdańska. Postanowiłam więc poczynić drobne przygotowania na rozmaite ewentualności. Wyrzebałam z torby komórkę i ładowarkę, telefon wyciszyłam, po czym cały ten sprzęt upchnęłam dyskretnie w biustonoszu. Zaczęłam też demonstrować pierwsze objawy niepokoju, wierząc się na siedzeniu bądź wyciągając gwałtownie szyję w stronę przedniej szyby, zwłaszcza w czasie mijania tablic informacyjnych i drogowskazów. Nifusiowi chyba się udzieliło, bo przy każdej takiej akcji wodził oczami za moim wzrokiem i jak ja wiercił się na siedzeniu. Po pewnym czasie udzieliło się i Trombkowi, który z wyraźną rozterką na gębie zaczął coraz częściej obracać się w moją stronę.

- A wy co? - wkurzył się Lejek. - Robaków nagle dostali po ty kielbasie, czy jak?

- Nie... Gorąco - sapnął Trombek, a następnie rozebrał się z kurtki i zatkał nią dokładnie prawą przednią szybę.

Przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu, a potem zdjął jeszcze sweter. I koszulę. Uszczelnniejszy w ten sposób wszystko, co się dało, został już tylko w siatkowym podkoszulku. Lejek z niesmakiem obserwował w lusterku jego poczynania, ale ich nie komentował. Zastanowiłam się w związku z tym, czy nadal będę musiała się zorientować w sytuacji, czy też mogę sobie biernie czekać niewiadomego finału całej hecy. W zasadzie Trombek ułatwił mi sprawę na tyle, że gdybym była jakaś

niepociumana, mogłabym wcale nie kapnąć się, co jest grane. Niestety, ten gamoń w którymś momencie postanowił uchylić trochę szybę, wskutek czego misternie uwita przez niego konstrukcja runęła w jednej sekundzie. I to akurat w momencie, kiedy mijaliśmy wielką jak stodoła tablicę z informacją: Białystok 48 km.

- Co to jest? - zawyłam niemal całkiem naturalnie. - Dokąd panowie mnie wiozą???

- A bo... na trasie objazd jest - wydukał Trombek, wyciskając jak niezbyt dorodną cytrynę cały swój intelekt.

- Noooo... To feeeest objazd, jak stąd do Gdańska - skomentowałam kwaśno. - Ale po co?

- Ro... roboty drogowe chyba - wysilił się Nifuś.

- Guzik! - wrzasnęłam na cały regulator. - Porwaliście mnie, tak?!!! Dla okupu? O, ja nieszczęsna! Zwierzyłam się wam, pochwaliłam, a wy, jak ostatnie dranie, jak banda trutni! - Białoliłam, nakręcając się coraz bardziej.

- Cicho! - wrzasnął Lejek. - Bo zwiążem i zakneblujem! Sza! Ale to już!

Na takie postawienie sprawy zbuntowałam się na całego. Odczekałam na odpowiedni moment, który właśnie zamajaczył na horyzoncie. Oto właśnie z pobliskiego kościoła wysypał się rój wiernych i ruszył na przejście dla pieszych.

- Bandydzi wstrętni!!! - wrzasnęłam, jak tylko Lejek zatrzymał wóz, po czym natychmiast wyskoczyłam na zewnątrz i popędziłam w przydrożne chaszczce.

Za mną z nadspodziewanym refleksem wyskoczył Trombek, a po chwili także i Nifuś. Lejek natomiast zawrócił auto z piskiem opon i ruszył wzdłuż miedzy, klnąc siarczyście przez otwarte okno. Leciałam ino świst, chwilami nawet zygzakiem, jak praktykowano na filmach gangsterskich. Miałam tak uciekać, żeby im nie uciec, a jedynie nabrać w ich oczach jeszcze większej wartości. Ale cóż z tego, kiedy nagle straciłam zdrowy rozsądek i uciekałam tak, żeby im właśnie uciec? Moje nogi robiły po prostu to, do czego je Pan Bóg stworzył, w dodatku tak dobrze, jak nigdy dotąd. Nagle, odrobinę przede mną zza miedzy wyłonił się jeden łysy łeb, drugi zaszedł mnie z lewej. Doskonały moment, żeby skapitulować. Ale nie!!! Mnie poniosło w stronę pasących się koni.

Złapałam się mocno siwej grzywy, cudem jakimś wskoczyłam rumakowi na grzbiet i dawaj, kopać go i szarpać, gdzie popadło. Koń, wbrew wszystkiemu zachował się jak idiota. Zamiast ruszyć przed siebie ostrym galopem, jak to sobie wyobrażałam, zaczął kicać jak spłoszony zając ze zwieszonym łbem i uniesionym ku górze zadem. Ani na takim jechać, ani z niego zleźć... W jakimś desperackim przebłysku uświadomiłam sobie, że musi mieć pewnie spętane przednie nogi... Wczepiłam więc jak najmocniej palce w jego siwą grzywę i czekałam, co będzie. Akurat nadbiegły łysole i stanęły jak dwie leluje, nie bardzo wiedząc, jak mnie zdjąć z tej rozjuszanej gadziny. Z przeciwnej strony, warcząc niemiłosiernie, nadciągał zielony mercedes van. Wszystko potoczyło się tak szybko. Nagle zobaczyłam nad sobą kawał błękitnego nieba, a pod sobą rozłożysty krzak głogu...

- Patronko moja, miej mnie w opiece! - wrzasnęłam wprost w ten niebiański błękit.

A potem nastąpiła ciemność...

•

- I co? Co, panie doktorze? - pytał ktoś niespokojnym głosem niewyraźnej postaci.

- Na szczęście nic jej nie jest. Kości ma całe, narządy wewnętrzne też. Jest trochę poobijana, to wszystko. Do wesela się zagoi, he, he!

- No to świetnie, doskonale! - Niespokojny głos zmienił się w jednej chwili w radośnie spokojny.

Potem wszystko zaczęło się ode mnie oddalać, aż całkowicie ucichło. Bolał mnie każdy najmniejszy mięsień, każdy centymetr skóry i włos na ciele. Pomyślałam, że pewnie mam grypę. W czasie grypy wszystko tak człowieka boli. Rozejrzałam się ostrożnie dookoła, usiłując sobie przypomnieć, skąd wziął się ten doktor, do kogo należał drugi głos i w ogóle, gdzie ja jestem i dlaczego. Ani niebieskie ściany, ani wiszące na nich kilimy i obrazy, ani szafa, stół, ani łóżko, w którym leżałam, nic nie było mi ani znajome, ani obce. Spróbowałam przewrócić się na bok, ale paskudny ból całego ciała natychmiast odwiódł mnie od tego zamiaru.

- Jak się czujesz, skarbenku? - zaskrzeczało mi coś u wezglowia, dość nisko i ochryple.

Rozpoznałam ten głos. No to jesteśmy w domu - ucieszyłam się w myślach. No jasne! Jestem przecież u babci, na wsi. Mam tu dokończyć gimnazjum, bo z mojego mnie wywalili równiutko z końcem ubiegłego roku!

- Lepiej, babuniu - odparłam z czułością w głosie. - Chyba miałam grypę, co?

- Nnnno...

- A co powiedział doktor? Że już dobrze?

- Nnnno...

- Czy ty czegoś przede mną nie ukrywasz, staruszko?

- A skąd! - Babcia wyłoniła się zza wezgłowia, obesza łożę i stanęła na wprost mnie.

Miała na sobie biały, siatkowy podkoszulek, beżowe bermudy i grubasne, strasznie owłosione giry. Pewnie tyle co przyszła z pola, biedaczka, i nie zdążyła się ochędożyć...

- Babciu, długo już tak leżę? - zaniepokoiłam się nieco.

- A, nie... Nie bardzo... - odparła niezdecydowanie i czmychnęła do kuchni.

W chwilę potem zza drzwi dały się słyszeć liczne głosy, konferujące jakby w podnieczeniu. Kurczę, a jak to nie grypa? A jeśli dolega mi coś znacznie gorszego? Coś... na co się umiera? - Przeraziłam się całkiem na serio.

- Babciu!!! - krzyknęłam w stronę drzwi. - Baaaabciu!

Staruszka przybyła niemal natychmiast. Tym razem miała na sobie dederonową podomkę w polne maki, a na głowie chustkę z długimi frędzlami.

- Powiedz mi, kochana, całą prawdę! - zażądałam stanowczo. - Co mi jest? Czy to rak? Ja umieram?

- Ale no co ty! - wyskrzeczwała babcia z wyraźną ulgą. - Zwykła grypa. A nawet już po grypie!

- Wszystko mnie boli!

- I jeszcze trochę poboli. - Zza szerokich pleców babci wyskoczył doktor ze słuchawkami na szyi. - Nie martw się, dziecko. To normalne. Leż i odpoczywaj, a wszystko ustąpi w swoim czasie. Może już za parę dni, no, może tygodni...

Na te słowa babcia spiorunowała doktora wzrokiem.

- ...a może godzin... - dorzucił medyk szybko. - Tak czy owak, najważniejszy jest spokój. Sen i odpoczynek, odpoczynek i sen!

- Naprawdę? - wyjęczałam bez przekonania.

- Naprawdę. Leż sobie i się relaksuj! - zaordynował doktor i wyszedł.

- A gdzie dziadzius? - spytałam płaczliwie. - Jeszcze w polu?

- Jaki znowu dziadzius?! - skrzeknęła babcia, cała jakby w nerwach.

- No jak to? Mój dziadzius, twój mąż. W polu?

- Nie! Krowę doi! Jak wydoi, to przyndzie - warknęła i wyszła.

Troszkę się uspokoiłam. W końcu byłam wśród swoich, pod troskliwą opieką. Widać w czasie wysokiej gorączki przestałam trochę kontaktować z otoczeniem, ale, jak powiedział doktor, wszystko wracało do normy. I ciało bolało jakby mniej... Powoli odwróciłam się na bok, ale wówczas coś mnie zaczęło uwierać niemiłosiernie w okolicach płuc. Włożyłam ostrożnie rękę do biustonosza i namacałam pod piersiami jakieś dwa prostokątne urządzenia oraz zwój cieniutkiego kabla. A to co takiego, u licha? - zdziwiłam się niepomiernie. - Rozrusznik serca czy jakaś inna cholera? Uznając w końcu ową maszynę za jakiś niezbędny, medyczny przyrząd, upchnęłam wszystko porządniej pod cyczkami i zostałam w spokoju. Ogarnęło mnie poczucie absolutnego bezpieczeństwa i błogiego spokoju. Zawsze tak bywało, kiedy spędzałam czas u dziadków, kochanych, dobrych staruszków... Przymknęłam powieki. Ból udręzonego ciała, wszelkie niepokoje i lęki zaczęły nagle odpływać ode mnie, razem ze świadomością otaczającego mnie świata.

*

Kiedy się obudziłam, drzwi do kuchni były otwarte na oścież. Babcia z dziadziusem siedzieli przy stole i łuskali groch. - Och, jakież to sielski widok! - pomyślałam z czułością. Dziadkowie nieodmiennie wzruszali mnie wzajemnym stosunkiem do siebie, jak te dwa gołąbeczki, które nie odstępowały sobie na krok. I w pracy, i w odpoczynku, w zdrowiu, chorobie, szczęściu i nieszczęściu. Byłam przekonana, że oni nadal kochają się dokładnie tak samo jak w dniu ślubu... I jacy byli do siebie podobni! Oboje krępi, przysadziści, o dużych, rumianych twarzach i błękitnych oczach ocienionych krzaczastymi brwiami...

Babunia miała na sobie tę samą co wczoraj podomkę, tylko inną chustkę, bez frędzli. Dziadzius - flanelową koszulę w czerwono-czarną

kratę i czapkę uszanke na króliczym futrze. Kiedy tylko staruszkowie dostrzegli, że już nie śpię, jak na komendę uśmiechnęli się do mnie szeroko.

- Dzień dobry, skarbeczku - odezwała się babcia. - Jak się spało?

- Wyśmienicie, babuniu - przeciągnęłam się z lubością. - Co dzisiaj będzie na śniadanie?

- No, co będzie dziś na śniadanie, staruszek? - spytał dziadzio.

Babcia spojrzała na mnie z głęboką zadumą. Dziadzius uśmiechnął się do niej serdecznie i jednocześnie zasadził jej pod stołem solidnego kopa w kolano. Babunia wyszczerzyła radośnie zęby i kuksnęła staruszka pod zębra. - Oj, figlarze, figlarze - pomyślałam ciepłutko i również uśmiechnęłam się serdecznie.

- Może... zamówimy pizzę? - wyskrzeczwała po chwili.

- Chciałaś chyba powiedzieć kobieto: upieczemy pizzę! - Dziadzio puścił do mnie oko i walnął babcie z liścia w czoło.

- No co wy? Bez przesady, wystarczy mi pajda swojskiego chleba z masełkiem i kubek mleka od Żabuli!

Kochani staruszkowie. Myślę chyba, że skoro ja miastowa, to już tylko fast foodami żywić się chcę... A ja naprawdę lubię taką odmianę: wszystko prosto od krowy i od kury.

Babcia wstała od stołu i zaczęła krzątać się po kuchni. Dziadzius zamiotł usłaną grochem oraz łupinami podłogę, wrzucił wszystko razem do kamionkowej misy i wyszedł przed chałupę.

- Naści! Posil się niebogo. - Babunia postawiła na szafce obok łóżka talerz z posmarowanymi masłem pajdami chleba i kubek mleka. - My teraz ze starym pójdziem w pole, a ty leż i nigdzie nie łaż. Kuruj się, jak doktor przykazał!

- Dobrze, babuniu.

- Nikogo tu nie wpuszczaj i z nikim nie gadaj!

- Dobrze.

- Jakbyś chciała do kibla, to z sieni, pierwsze drzwi na prawo.

- O? To nie macie już wychodka? Dorobiliście się łazienki? - Zdziwiłam się nieco, bo zawsze do tej pory gospodarstwo dziadków dysponowało jedynie drewnianym sraczykiem w podwórku.

- Sam... Sama zrobiłam. Przerobił... am ze śpiżarki.

- Sama zrobiłaś łazienkę, babciu?

Babcia spojrzała na mnie jakby trochę zaskoczona czy raczej zmieszana.

- Kto zrobił, to zrobił! Grunt, że dupy na mróz nie trza wystawiać, nie? - podsumowała filozoficznie i wyszła.

•

Po śniadaniu postanowiłam oszacować swoje siły i przejść się odrobinę po obejściu. Po samej chałupie tylko, pomna ostrzeżeń i przykazań babuni. Na początek postanowiłam obejrzeć sobie łazienkę. Luksusów nie było, nie było również na co narzekać. Ot, zwyczajna, wiejska łazienka: z wanną, umywalką i klozetem. Umyłam się, uczesałam i wróciłam do łóżka. Po drodze wzięłam sobie z półki pierwszą lepszą książkę. Przejrzałam z grubsza parę stron, ale nijak nie mogłam skupić się na lekturze. Coś mi wyraźnie przeszkadzało! Uklepałam poduchy, wygładziłam pierzynę, ale to wciąż jakby nie było to. Rozejrzałam się po pokoju i... omal nie padłam na zawał! W kącie, obok szafy, spoczywał sobie na krześle jakiś na biało ubrany, jasnowłosy młodzieniec i wpatrywał się we mnie intensywnie.

- A ty... kto? - spytałam, nie wiem czemu, szeptem.

- Ja? - zdziwił się młodzieniec i rozejrzał na boki.

- No. Ty.

- Mam cię pilnować.

- O? A kto ci kazał? Moi dziadkowie?

- Nnnn... Nie - odparł młodzieniec i uśmiechnął się głupawo.

- No więc, coś ty za jeden? Anioł Stróż?

- Tak, tak! - potwierdził z zapalem. - Anioł Stróż. A właściwie... niezupełnie. Jestem twoją patronką.

- Moją patronką?! - krzyknęłam, podpierając się na łokciu. - Czy ty myślisz, że ja przez tę chorobę rozum postradałam i możesz mi tu wciskać dowolne bzdety?!!!

- Nie, to nie! - obraził się młodzieniec. - Ale ja tobie mówię, mam cię pilnować. I chronić, żeby ci się nic nie stało! Na drugi raz możesz sobie mnie wołać, aż się zachłystniesz, ja już do ciebie nie przyjdę!

- Ja ciebie wołałam?! Ja??? - Aż mnie zatkało ze wzburzenia.

- A, tak! Wołałaś, jęczałaś, biadoliłaś - wysapał młodzieniec z satysfakcją. - Patronko moja, miej mnie w opiece! Patronko, dopomóż! - za-

kwilił. – Nie pamiętasz?

– Nie...

– No to jak nie pamiętasz, to nie mów!

– Zaraz, zaraz... Ale ty przecież jesteś facetem, nie? – Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Owszem – przyznał, prostując się godnie. – A czy ty sobie wyobrazasz, że patronkę można sobie ot, tak, z rękawa wytrzepać? Darłaś się, jakby cię ze skóry łupali, a czas naglił. W każdej chwili mogłaś zejść!

– Śmiertelnie?

– No pewnie, że śmiertelnie. Nie było kiedy szukać dokładniej. Luiz jestem.

– A ja... Luiza...

– No i sama widzisz!

Właściwie skłonna byłam mu nawet uwierzyć, bo wierzyłam w życie nadprzyrodzone, duchy, anioły i inne cherubiny.

– No dobra – odparłam po chwili. – Dlaczego ja cię w takim razie widzę? A o ile wiem, nie powinnam.

– Z dwóch powodów – zasępił się Luiz. – Bo, po pierwsze, ja... nie jestem jeszcze za bardzo doświadczony. Dopiero praktykuję. Po drugie, masz pewien specyficzny dar. A po trzecie, gdyby to pierwsze z tym drugim połączyć, tak właśnie wychodzi. Że mnie widzisz. Czasem.

– Eeee... I co? Będziesz od dzisiaj plątał się przy mnie przez całe życie? – spytałam z mieszaniną powątpiewania i niechęci.

– Mam nadzieję, że nie. Tylko do czasu, aż wyjdiesz z... opresji.

– O?! To ja jestem w opresji?

– A nie jesteś?

– A jestem?

Luiz spojrzał na mnie z powagą i podrapał się po rzadkim, złocistym zarostcie.

– Nic nie pamiętasz? – spytał szeptem.

– Oczywiście, że pamiętam! Przyjechałam do dziadków, żeby od września pójść tu do szkoły. Ale zachorowałam na grypę. A właśnie, jaki to miesiąc?

– Wrzesień. Ósmego – westchnął Luiz z niezrozumiałą troską na twarzy.

- Matko Przenajświętsza! - Odruchowo zerwałam się z łóżka. - To ja aż tak długo chorowałam? Gadaj, patronko od siedmiu boleści!

- Najważniejsze, że nic ci nie jest.

- To znaczy, było aż tak źle?

- Gorzej wyglądało, niż było...

W tym momencie za oknem dały się słyszeć jakieś hałasy, tupania, ludzkie głosy i szczekanie psa. Po chwili do chałupy weszli babcia i dziadziuś. Rzuciłam okiem w stronę szafy, ale Luiza już tam nie było. Zniknął...

- I jak tam, skarbeńku? - zaskrzeczała babcia.

- Dobrze, już chyba jestem całkiem zdrowa. Nic mnie nie boli i nie mam nawet gorączki! - pochwaliłam się zadowolona.

- To świetnie! Bardzo świetnie. - Babcia spojrzała wymownie na dziadka.

- Bardzo świetnie - powtórzył uśmiechnięty dziadek. - W takim razie, babo, do garów! Szykuj no porządny obiad dla wnusi!

- Chwila - warknęła babcia. - Daj odpocząć, bo nóg nie czuję!

Babcia podreptała w stronę stołu, z obu kieszeni podomki wyjęła po flaszce Warki Strong, zerwała zębami kapsel, upiła parę łyków i zapaliła papierosa.

- Och! - westchnęła z rozkoszą. - Tego mi było trzeba! Chodź stary, walniem browara i zajaramy po szlugu!

I znów uczułam to ciepło wokół serca, widząc, jak oni razem pięknie wyglądają! Bo ani wiek, ani inne niedogodności i problemy życiowe nie ujęły im niczego z tej wewnętrznej, młodzieńczej radości...

Z zamyślenia wyrwała mnie babcia, wnosząc do pokoju tacę z obiadem.

- Już? Tak szybko? - zdziwiłam się.

- Ano, szybko. Ranom podgotowała, tera... dogotowałam i już! O, proszę! Kura, ziemniaki i tego... e... kapusta!

Na moje oko owa kura do złudzenia przypominała udką z KFC. Równie znajomo wyglądał zestaw surówek. Tylko ziemniaki były... jak ziemniaki. Miejscami nawet w mundurkach...

- A to... wasza kura była? - spytałam, wpatrując się w talerz.

- Nasza, a jakże! Nasza! - potwierdziła babcia stanowczo. - Dziadek ją rano złapał, jażem... e... ze skóry obrała, i w gar!

- Jedną???

- Jedną. Starczy ci chyba, nie? - Babcia spojrzała na mnie z niepokojem.

- No pewnie, że starczy, a nawet zostanie.

Spojrzałam wymownie na talerz, na którym obok fury ziemniaków spoczywało... siedem kurzych udek i cała kopa surówki.

•

Po południu przyszedł doktor i dość pobieżnie mnie zbadał. Zajrzał do gardła, obejrzał źrenice, zmierzył ciśnienie. Zadawał mi też mnóstwo pytań: o moich rodziców, dzieciństwo, przebyte choroby, szkołę, krewnych, znajomych, w końcu zapytał, czy mam chłopaka. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że nie, bo mam przecież dopiero trzynaście lat, więc na tym poprzestał. Potem długo rozmawiał w kuchni z dziadkami. Wcale nie miałam zamiaru podsłuchiwać, ale mówili na tyle głośno, że fragmenty ich rozmowy do mnie docierały, ale i tak niewiele z niej rozumiałam. Najpierw babcia krzyczała na doktora, że jest dureń i bęcwał, a dziadek ją uspakajał, potem dziadek go obsobaczał, a babcia uciszała. Doktor powiedział na koniec, że trzeba jej stworzyć naturalne warunki, takie, które zna i czuje się w nich bezpiecznie, chronić ją przed stresem i przykrościami. Wówczas wszystko prędko wróci do normy, ale konkretnie to on nie wie kiedy. Po wyjściu doktora babcia i dziadek gadali już tylko między sobą. Dziadek uważał, że trzeba ją oddać taką, jaka jest, bo nie wiadomo, kiedy to się skończy. Babcia zaś była zdania, że forszę dostaną tylko za towar pełnowartościowy, więc należy się wstrzymać. W końcu oboje doszli do wspólnego wniosku, że jednak się wstrzymają, ale muszą powiadomić gościa, o co biega i jakie są warunki transakcji. I to niezwłocznie, bo jeszcze gotów znaleźć sobie inny towar i z forsy będzie gównem...

Leżałam i myślałam, o co też im chodzi. Doszłam wreszcie do wniosku, że o jałówkę od Żabuli. Przypomniało mi się, jak wiosną dziadkowie planowali, co też zakupią do gospodarstwa za pieniądze uzyskane z jej sprzedaży... A ten doktor to pewnie robi tutaj jednocześnie za weterynarza, dlatego tak nalegał, aby najpierw o gadzinę porządnie zadbać, a potem dopiero wieźć na targ...

Nagle stało się coś niepojętego! Obie moje piersi zaczęły drgać i pulsować, powarkując przy tym z cicha. Zjawisko następowało po sobie re-

gularnie, z niewielkimi przerwami. Na początek dokładnie zamarłam. Ale kiedy to tak trwało i trwało, zebrałam się na odwagę i odchylając nieco miseczki biustonosza, zajrzałam do środka. Tak, jak się domyśliłam, sprawcą całego tego ambarasu był aparat, który prawdopodobnie zamontował mi doktor. Miałam wielką ochotę wywlec to na wierzch i dokładnie sobie obejrzeć, ale bałam się coś popsuć. Wysiłałam więc umysł i po różnych za i przeciw doszłam do wniosku, że jest to pewnie jakiś regulator uderzeń serca albo ciśnienia krwi. I że w momencie, kiedy to koniecznie, on się uruchamia i pobudza. Zadowolona z ukutej na szybko teorii postanowiłam nie wypytywać o nie dziadków.

•

Rano czułam się jeszcze lepiej. Zdecydowanie wracałam do sił! Kiedy babcia i dziadek wyszli w pole, wzięłam letnią kąpiel, ubrałam się i postanowiłam przejść się po wsi. Niestety, jak tylko przekroczyłam próg chałupy, drogę zastąpiła mi moja patronka.

- Wracaj! - syknęła groźnie. - To niebezpieczne!

- Co jest niebezpieczne, spacer po wsi? - zdziwiłam się i zezłościłam jednocześnie.

- Owszem.

- Bo?

- Założ, że ja wiem lepiej!

- Zakładam, ale chcę spróbować!

- Nie!

- A co, zatrzymasz mnie siłą? Właśnie, a czy ciebie w ogóle da się pomacać? - Wyciągnęłam przed siebie rękę, na co Luiz odskoczył jak oparzony.

- Wejdz do środka, pogadamy - zaproponował z widoczną urazą.

Chcąc nie chcąc, udałam się za nim posłusznie. Luiz umościł się na swoim krześle, ja przysiadłam na brzegu łóżka.

- Naprawdę nic nie pamiętasz? - spytał znów o to samo.

- Ale o co ci chodzi?

- No... na przykład, że spadłaś z konia...

- Ja? Z konia? Chyba ty sam spadłeś z konia!

- Zastanów się.

Nie wiem, co ta jego gadanina miała oznaczać, ale spróbowałam się zastanowić.

- Sugerujesz, że miałam wypadek?

- To nie był wypadek. Ktoś tego konia podciął.

- Oszalałeś? Skąd wiesz?

- Od... konia, oczywiście - odparł Luiz, patrząc mi prosto w oczy.

- Koń ci powiedział???

- Koń.

- Wiesz co? Daj ty mnie święty spokój, dobrze?! Nie wiem, coś ty sobie umyślił ani kim jesteś, ale mnie się widzi, że albo ty nie jesteś przy zdrowych zmysłach, albo ja...

- Przeciwnie. Akurat my oboje jesteśmy przy zdrowych, tylko ty jakby chwilowo przy... niekompletnych. Doktor mówi, że trzeba cię teraz bardzo oszczędzać, ale ja osobiście byłbym za terapią szokową.

- Ja jestem zdrowa! - wycedziłam zgłoska po zgłosce. - Nic mi nie jest, czuję się wyśmienicie.

- Jasne. Fizycznie jesteś zdrowa jak, że tak powiem... koń.

- Znaczy się, że co? Z głową mam coś nie tak? Oszalałam?

- Nie. Straciłaś pamięć i lepiej, żebyś ją odzyskała, zanim te oprychy coś ci zrobią.

- Bo spadłam z konia? Jakie oprychy???

- Właśnie. Oprychy, które porwały cię dla okupu.

- O-kup! Ooooookup! Ok... ok... up! - powtórzyłam ten wyraz kilkakrotnie, bo zabrzmiał mi jakoś tak znajomo, tak... blisko!

- Dokładnie tak. Okup - potwierdził Luiz.

- Jakie oprychy? Gdzie one są? - Rozejrzałam się niespokojnie.

- Wszędzie. Wszędzie dookoła. I proszę cię, wysil łepetynę, bo jak przyjdzie co do czego, nawet ja nie będę mógł ci pomóc.

Nie wierzyłam w te brednie, rzecz jasna, ale na wszelki wypadek zamknęłam oczy i spróbowałam się skupić. Na początek na koniu. Zobaczyłam różne konie: gniade, kare, siwe, duże, małe, pociągowe i wyścigowe. Żaden jednak nie wydał mi się szczególnie przekonujący.

- Ej, to bez...

Chciałam powiedzieć: bez sensu, ale nie miałam do kogo. Luiz zniknął. Nie mając nic lepszego do roboty, znów zamknęłam oczy, snując wi-

zje koni, oprychów i okupów. Za każdym razem jednak, kiedy wymawiałam w myśli słowo „okup”, w moim mózgu rozbłyskało coś w rodzaju flesza. W tych krótkich migawkach dostrzegałam jakby kadry z filmu: a to tatusia, siedzącego na gołej ziemi przy drodze, a to wielkie, zielone auto, to znów jakieś twarze, znów auto i znów tatusia... Zmęczyłam się tym tak bardzo, że głowa formalnie zaczęła mi pękać z bólu.

Kiedy dziadkowie wrócili z pola, właśnie miałam opowiedzieć im o moich majakach, kiedy ni stąd, ni zowąd twarz babci idealnie wpasowała mi się w kadr jednego z tych przebłysków. Za kierownicą wielkiego, zielonego samochodu! I dziadka, wcinającego kielbachę z musztardą! I... konia!!! Nie wiedząc jeszcze, co to oznacza i skąd się bierze, wsunęłam się głębiej pod pierzynę. Babcia weszła do pokoju na paluszkach i pochyliła się nade mną. Z gęby jechało jej cebulą i wódką.

- Śpi - szepnęła i podreptała do kuchni. - To co robimy? Dzwonimy do tego jej amorozo?

- Spokojnie, pomału. Zadzwoń zadzwonimy i powiemy, że mamy tego panienkę. I niech czeka na instrukcje!

- Na jaką znowu instrukcję? - obruszył się dziadek. - Kasę niech daje, a jak nie, to... Po jednym paluszkach, w kopertę i na pocztę. Aż dziadyga wymięknie!

- Zamknij się - warknęła babcia. - Na filmie żeś nigdy nie widział, jak się to robi? Najpierw się mówi, że się porwało i że trzeba uszykować okup. I czekać na instrukcje!

- Długo?

- Ile będzie trzeba. W tym przypadku, aż pannica wydobrzeje.

- A jak nie wydobrzeje?

- Nie słyszałeś, co doktor mówił? Najwyżej kilka tygodni. Tyle jakoś wytrzymamy. Dziadyga też. Najwyżej jeszcze większej oskomy nabierze.

- A jak nie wydobrzeje? - powtórzył dziadek.

- To... spuścimy z ceny za uszkodzenie w transporcie i oddamy.

Słuchałam tego dialogu z sercem w gardle i gęsią skórka na całym ciele. Patronka miał rację! Zostałam porwana! Już widziałam oczyma duszy, jak obcinają mi palce, jeden po drugim, a jakiś tam mój absztyfikant targuje się o każdy grosz. Do ostatniego palca u ostatniej nogi! Ale... jaki absztyfikant, u cholery? Wystawiłam ostrożnie głowę spod pierzyny i spojrzałam w stronę kuchni. Babcia w ferworze zapamiętała

dyskusji nie zauważyła nawet, że chustka zsunęła się jej z głowy, ukazując.. kawał wielkiego, łysego łba! I nagle... Trrrrach! Wszystko, wszystko mi się przypomniało! Nawet koń! Usiadłam na łóżku i objęłam dłońmi pęczniejące skronie. Głosy w kuchni ucichły i nastąpiła koszmarne cisza.

- Patronko moja! Patronko! - zawołałam ściszym głosem. - Hej, gdzie jesteś, Luizie od siedmiu boleści!

- Jestem. - Z półcienia koło szafy wyłonił się biały młodzieniec.

- Słyszałeś? Słyszałeś, o czym oni tu gadali? - pytałam, jak w gorączce.

- Pewnie. Tyle że sam mówiłem ci o tym wcześniej.

- No dobra, ale ja jeszcze nic nie pamiętałam.

- A teraz pamiętasz?

- Wszystko! - wyrwało mi się nieco zbyt głośno i spojrzałam w popłochu na drzwi.

- Nie ma ich - uspokoił mnie Luiz. - Poszli na piwo, wrócą gdzieś w środku nocy. Powinnaś to wykorzystać i wiać, gdzie pieprz rośnie! Ja ci pomogę.

- A, nie! - Uśmiechnęłam się. - Teraz to ja mam do nich interes. A ty mi pomożesz!

•

III. Patronka od siedmiu boleści

Dzisiaj wykroilo mi się dużo wolnego czasu. „Babcia i dziadek” pojechali na targ. Jak tylko zniknęli mi z pola widzenia, zawezwałam moją patronkę. Pojawiła się, jak zwykle, w rogu przy szafie. Bez wstępów zażądałam uzupełnienia luk w mojej pamięci i zasypałam Luiza mnóstwem pytań. Okazało się, że rezyduję sobie we wsi pod Białymstokiem (o której podsłuchałam pod wychodkiem na leśnym parkingu), u ciotki Trombocytą, który właściwie ma na imię Jarek i aktualnie robi za moją babcię. Kilka dni temu zjawił się tutaj ze swoimi szemranymi kolesiami i jakąś półżywą niebogą, czyli mną, po czym za pomocą perswazji i innych środków nacisku wywiózł swoją ciotkę do innej ciotki.

Luiz odpowiadał na moje pytania, krążąc od okna do drzwi i z powrotem.

- A ten trzeci? - spytałam i chyba mi się udzieliło, bo zaczęłam krążyć w ślad za nim. - Powinien być tu jeszcze jeden!

- Wyjechał zaraz. Załatwia pewnie jakieś inne ciemne interesy, choć nie jest wykluczone, że czai się gdzieś w pobliżu... No to co, wiejemy?

- Nie mogę, choćbym chciała!

- Oszalałaś? Chcesz czekać, aż ci naprawdę poobcinają palce? A propos, kim jest ten facet, który ma za ciebie zapłacić?

- Mój narzeczony - odparłam ponuro. - I lepiej niech zapłaci!

- Dlaczego?!

- Bo tak naprawdę, to... ja sama się porwałam.

- Dlaczego?

- Dla okupu.

Luiz odwrócił się gwałtownie w moją stronę i stanął jak wryty. Nie spodziewając się tak nagłej zmiany na orbicie, rąbnęłam w niego całym ciałem, aż plasnęło.

- O Jezu - stęknął boleśnie. - Uważaj trochę, połamałaś mi wszystkie żebra!

- Poła... małam ci żebra? To ty masz żebra? - wydukałam w najwyższym zdumieniu i nie czekając na odpowiedź, przyłożyłam mu z całej siły jeszcze raz. Z pięści.

- Zwariowałaś? - kwiknęła Luiz. - Chcesz mnie zabić? Za co?

- Ty świniu! - krzyknęłam wzburzona. - Ty żywa, współczesna świniu!

- Ccco? Dlaczego mnie przezywasz?

- Dlaczego? O, proszę, dlatego! - Uszczypnęłam go z całej siły w lewy bok. - I jeszcze dlatego! I dlatego! - Wrzeszczałam i szczypałam Luiza, a on podskakiwał i pokwikiwał jak zarzynany prosiak.

- Gadaj mi tu natychmiast, kim naprawdę jesteś! - spytałam, kiedy oboje zmęczyliśmy się już do ostatniego tchu. - Oprychem? Jednym z nich?

- A skąd! - wysapał Luiz-nie-Luiz i opadł na krzesło. - Antek jestem. Przebywam tutaj agroturystycznie, że tak powiem.

- No to pięknie! Pięknie mnie nabrałeś, nie ma co!

- A co miałem zrobić? Przedstawić ci się z imienia i nazwiska? Musiałem jakoś... nawiązać z tobą kontakt.

- Udając moją patronkę? Świętą? Ty... bluźnierco!!!

- Sama podsunęłaś mi ten pomysł, jęcząc i wrzeszcząc pierwszej nocy. Zresztą, bliżej ci wtedy było na tamtą stronę niż na tę. Uważam, że to był bardzo dobry pomysł.

- Aha, oszukując mnie podle...

- Nie. Raczej nie przebierając w środkach. Żeby przywrócić ci pamięć.

Antek powoli, jakby z namysłem, zaczął opowiadać o sobie. W tym roku kończył studia, z tego co zrozumiałam, na jakimś kierunku humanistycznym. Od kilku lat spędzał tu każde wakacje. Wyciszał się w tej wiejskiej głuszy, nabierał dystansu do siebie, ludzi i świata. Dokładnie tak powiedział. Trombocyt, czyli Jarek, i jego chciał wywieźć razem z właścicielką chałupy, ale Antek się zaparł i został. Czuł się tu niemal jak u siebie, bo ciotka Jarka była też i jego ciotką, więc takie Antkowe prawo do panoszenia się w jej chałupie, jak i Jarkowe. Oczywiście pojęcia nie miał, co się tu szyje, więc obiecał do niczego się nie mieszać,

a nawet czuwać przy mnie w razie potrzeby. To chyba ostatecznie przekonało oprychów i dali mu święty spokój. Za szafą znajdowały się drzwi do pokoju Antka, co pozwalało mu wchodzić do mnie niespostrzeżenie. Nigdy nie pałał szczególną sympatią do tępego, aroganckiego kuzyna, toteż, jak tylko domyślił się jego niecznych planów, postanowił mu je udaremnić. Dopóki jednak nie pamiętałam niczego, nic nie mógł zrobić. Bo jakże mógłby mi wyperswadować ucieczkę spod opieki ukochanych dziadków!

- Luiza... - spuentował. - Ja nie wiem, ale mnie się wydaje, że ty jeszcze nie całkiem doszłaś do siebie...

- Doszłam, doszłam. I to jeszcze jak, niestety! Wszystko mi się przypomniało.

W ramach rewanżu opowiedziałam Antkowi o urodzinach w kasynie, o Straszonym Mafiozie, o Izydorze, podróży do Gdańska i wreszcie o mojej karkołomnej koncepcji z okupem. Sama nie wiem jak i czemu, wyspowiadałam mu się do gołej podszewki...

- I dlatego... Ja muszę mieć tę forszę, choćby nie wiem co! - rzuciłam na koniec. - Nie wyjadę stąd bez okupu!

- Ależ to fascynujące! - wyszeptał Antek w szczerym uniesieniu. - Nieprawdopodobne! Jak... w czeskim westernie! - Zaniósł się perlistym śmiechem.

- Dobrze ci rżec - warknęłam nieprzyjemnie. - Szkoda tylko, że nie siedzisz w mojej skórze!

- Wystarczy, że jestem w swojej - spoważniał nagle. - A czy twój tata wie, co się w ogóle z tobą dzieje?

- Nie. O, Boże!!! Nie!!!

- To na co czekasz, dzwoń do niego! - Podał mi swoją komórkę.

- Dzięki, mam swoją. - Wygmerałam ze stanika aparat wraz z ładowarką. - Kurczę, padła na amen! Nawiasem mówiąc, dziwię się, że doktor mi jej nie wymacał...

- Ja się nie dziwię. Zestaw jego rutynowych badań nie wykracza poza zmierzenie pulsu, ciśnienia i gorączki. Chociaż... Ciebie dodatkowo walnął w kolano, żeby sprawdzić, czy masz władzę w nogach... A teraz podłącz szybko tę ładowarkę do prądu, ja stanę na czatach. - Antek ściżył głos i jednym susem znalazł się przy oknie.

Kiedy usłyszałam w słuchawce głos tatusia, omal nie rozbeczałam się ze wzruszenia.

- Luizka! Dziecko moje - krzyczał. - Nic ci nie jest? Nic ci nie zrobili?

- Tatusiu, zostałam porwana!

- Podobno zostałeś porwana?! - darł się tatuś. - Dla okupu?

- Tak, tatusiu!

- Dlaczego?

- Dla okupu!!! - Nie zamierzałam, póki co, uświadamiać go dokładniej. - Izydor wie? Ma przygotować kasę. Czte... Pięćset kawałków. I złożyć w rowie. Jeszcze dam znać, gdzie konkretnie. Skąd wiesz o porwaniu?

- Izydor do mnie dzwonił! Ktoś mu kazał przygotować forszę i czekać na instrukcje.

- Niech on nikogo nie słucha, tatusiu! - wrzasnęłam wściekle. - Ja będę w tym pośredniczyć, przez... przez... rzeczownika porywaczy! Wszystkie inne telefony to jedna wielka blaga! Rozumiesz?!!!

W tym momencie Antek opuścił swój posterunek przy oknie, doskoczył do mnie błyskawicznie i użarł mnie w palec u wolnej ręki.

- Ałaaaa! - zaryczałam do telefonu. - Przestań, to boli!

- I pamiętaj! Ani słowa glinom - rzucił basem w słuchawkę i nie pytając o pozwolenie, rozłączył mnie z tatusiem.

- Oszalałeś? - Walnęłam go pod żebro.

- Nie - odparł spokojnie. - Uwiarygodniłem twoją historyjkę.

•

- Babciu - zaczęłam przynudzać przy kolacji. - Ja już jestem całkiem zdrowa. I muszę wreszcie iść do szkoły. Ty wiesz, jakie będę miała zaległości?

„Babcia” z „dziadkiem” spojrzeli znacząco na siebie i zaczęli zawzięcie wcinać. „Babcia” zaserwowała dziś golonkę na piwie, swojską, rzecz jasna. Pięć sztuk z jednego wieprzka.

- Ej! - ponagliłam. - Jutro idę do szkoły, chcecie, czy nie!

- Zobaczmy. Musimy najspierw pogadać z doktorem - wycedził flegmatycznie „dziadek”.

- To zawołajcie go, niech mnie zbada! Ileż tak będę siedzieć, jak głupia jakaś?

- Zobaczymy - powtórzył „dziadek” i napakował sobie gębę golonką.

Zaraz po posiłku wysłano mnie do siebie i w kuchni rozpoczęły się obrady. Niestety, tym razem nie usłyszałam ani słowa. Po jakiejś godzinie dostrzegłam sunący wzdłuż parapetu szary, pepitkowy kapelusz. To był doktor. Z kuchni dały się słyszeć jakieś chroboty, pomrukiwania, od czasu do czasu padało nawet niecenzuralne słowo.

- Chodź! - Drzwi otworzyły się i „babcia” skinęła na mnie wielką jak łopata dłonią.

- Drogie dziecko - doktor uśmiechnął się szeroko - doszliśmy do wniosku, nie bez pewnych zastrzeżeń, oczywiście, że możesz podjąć naukę.

- O??? - Wyraziłam szczere zdziwienie. - Naprawdę?

- Tak. Jednak dobrze by było, abyś pozostawała nadal pod ścisłą opieką. To znaczy... pod serdeczną opieką. Przynajmniej w drodze do szkoły i ze szkoły. Rozumiesz sama, to kawałek drogi, a ty nie jesteś może jeszcze całkiem... silna. Mogłabyś zemdleć albo coś...

- To żaden problem! Babcia mnie będzie odprowadzała!

„Babcia” jakby się zachłysnęła, szybko jednak zacisnęła usta i lekko spłoszowała na twarzy.

- Prawda, babuniu? - spytałam przymilnie.

- Prawda, wnusiu - odparł „dziadek” i wyrznął „babcię” pod stołem z buta.

- Wobec tego ja już będę się zbierał - oznajmił doktor w nagłym pośpiechu. - Wszystko idzie ku dobremu. Jeszcze najwyżej kilka dni i będzie jak nowa! - Dorzucił prędko i wyszedł.

- Gdzie są moje książki i tornister? - spytałam, rozglądając się ostentacyjnie. - Przecież przywiozłam książki! I zeszyty!

- Som... na strychu - wyskrzeczwała babcia. - Uszykuję ci wszystko na rano, nie bój nic!

- To cudownie, tak się cieszę! Tak bardzo się cieszę! Na poparcie swoich słów rzuciłam się kolejno „babuni” i „dziadkowi” na szyje.

Jak tylko „dziadkowie” wybrali się na swoją zwyczajową, wieczorną eskapadę, postanowiłam odwiedzić Antka. Wlazłam za szafę i ostrożnie

uchyliłam drzwi do jego pokoju. Antek klęczał przy łóżku z głową opartą o poduszkę. Na mój widok poderwał się i usiadł.

- Idę jutro do szkoły, wiesz? - pochwaliłam się.

- Słyszałem.

- Myślisz, że na serio?

- No pewnie.

- Jak to możliwe?

- Żona doktora jest dyrektorką w tutejszym gimnazjum, a na takiej wsi jak ta nie ma rzeczy niemożliwych. Dlaczego to robisz?

- Mówiłam ci przecież, muszę tu siedzieć, aż odbiorę forszę. Wszystko mam już zaplanowane z detalami.

- To wiem, ale ta szkoła... Po co ci to?

- Żeby utrzymać ich w przekonaniu o mojej zaćmie?

- Nie sądzę.

- Bo taka już ze mnie jajcara?

- To już prędzej. Albo raczej jędza - skrzywił się Antek, a następnie roześmiał.

•

Kiedy szłam rano do łazienki, na stole w kuchni leżały czerwono-granatowy plecak i komplet używanych książek do drugiej klasy gimnazjum. Były też zeszyty i piórnik. Wyrzałam przez okno. „Babcia” i „dziadek” stali koło drewnianej szopy i nerwowo gestykulowali. „Dziadek”, popychał „babcie” ku chałupie, ale ta jak bumerang wracała na miejsce. Wreszcie, po kilku takich powtórzeniach, „dziadek” złapał „babcie” pod szyję, pięścią drugiej ręki waląc ją w gębę. „Babcia” odwdzięczyła mu się podobnie, tyle że w brzuch. Teraz już poleciały cios za ciosem. W końcu „dziadek”, w porywie jakiejś dzikiej pasji, złapał „babcie” za poły rozwianej podomki, rymnął na glebę, a następnie, dosiadłszy na oklep od przodu, zaczął regularnie napażać po ryju. Patrzyłam na całą tę scenę z dużym zainteresowaniem.

- Hej, bo się spóźnisz do szkoły! - usłyszałam za plecami.

- Nie wiem, czy będzie mnie miał kto do niej zaprowadzić. - Ruchem głowy wskazałam za okno.

- Bez obawy - uspokoił mnie Antek. - Ten gatunek jest nie do zdarcia.

Istotnie, chwilę po tym „moi staruszkowie”, całkiem o własnych siłach, pojawili się w sieni.

- A ty co? - „Dziadek” spojrział na mnie spode łba. - Szykuj się, ósma dochodzi! Babcia z tobą pójdzie - rzucił za swoje lewe ramię, gdzie przycupnięta z lekka ukrywała się „staruszka”.

- Minuta. - Zgarnęłam do plecaka całe moje szkolne wyposażenie. - Jeszcze się tylko uczeszę i jestem gotowa!

Splotłam włosy w luźny warkocz i obejrzałam się krytycznie. Właściwie, przy dość dużym uporze mogłabym ujść za gimnazjalistkę. Dzisiejsze trzynastolatki bywały przecież i wyrosnięte, i biuściaste. No, może odróżniał mnie od nich kompletny brak makijażu czy kolczyka w dowolnym miejscu na twarzy... Pospiesznie dokonałam ostatniego sznytu, który polegał na maksymalnym obciążeniu dzinsów w dół i podkaszaniu bluzki celem wyeksponowania pępka. Niemal całkiem zadowolona ze swojego wyglądu zarzuciłam plecak na ramię.

- Możemy iść! - zawołałam w przelocie do „babci” i wybiegłam na podwórko.

Gospodarstwo ciotki Antka było nawet całkiem podobne do obejścia moich prawdziwych dziadków: niska, podłużna chałupa, chlew, stodoła i pies przy budzie. Jak to na wsi... W każdym razie, gdybym nie odzyskała pamięci, cały ten wiejski pejzaż długo utrzymywałby mnie w przekonaniu, że jestem u nich.

- Fo ty taka wadowolona? - spytała jakoś dziwnie „babcia”.

- A bo...

Już miałam odpowiedzieć, ale kiedy podniosłam oczy, formalnie zapomniałam języka w gębie. „Babunia” zamiast prawego oka miała olbrzymi, czarno-siny wulkan z niewielką szparką pośrodku. Nie mniej imponująco przedstawiały się jej nos oraz górna warga, dominująca chwilowo nad każdym pozostałym elementem twarzy. Właściwie nigdy bym nie przypuszczała, że ludzka warga jest w stanie rozrosnąć się aż do takich rozmiarów...

- Bo... cieszę się, że będę chodziła do szkoły - dokończyłam po dość długiej chwili. - Co ci się stało? - spytałam, jakbym nie wiedziała.

- Fsoła mie ujefała - odparła „staruszka” z pewnym trudem.

- Co ci zrobiła???

- Uscyfała mie!!!

- Aha... To przykre. Bardzo cię boli?

- Jaf jasny fuj! I fsestań się fyfytywać, bo nie mofe mufić.

I bardzo dobrze - pomyślałam, przyśpieszając kroku.

Szkoła wyglądała jak większość szkół, które znałam z widzenia: prostokątny, szary budynek z dwoma rzędami okien i wejściem pośrodku. Na niewielkim placyku oddzielonym od drogi żywopłotem kłębiło się mrowie rozwrzeszczanej młodzieży. Widocznie było jeszcze trochę czasu do dzwonka.

- Dzień dobry! - ktoś w przelocie złapał mnie za łokieć. - Ty jesteś pewnie tą nową uczennicą?

- Właśnie - odparłam, lustrując uważnie przysadzistą, niemłodą już kobietę, zwieńczoną od góry potężnym, kasztanowym kokiem.

Niewiasta musiała mieć już dobrze po czterdziestce, o czym ewidentnie świadczyła jej góra i czemu rozpaczliwie usiłował zaprzeczyć jej dół. Nauczycielka nosiła się bowiem krótko i frymuśnie.

- Bardzo mi miło. - Uśmiechnęła się krzywo. - Jestem dyrektorem tego gimnazjum i czekam właśnie na ciebie, aby cię powitać.

- Dzień dobry. - Dygnęłam grzecznie. - A to jest moja babunia. - Jednym gwałtownym krokiem w bok zaprezentowałam w pełnej krasie czającego się dotąd za mną Trombocyta.

Dyrektorka w pierwszej chwili cofnęła się w popłochu, bardzo szybko jednak odzyskała zimną krew.

- Witam. Mąż wspominał mi o pani. I o pani wnuczce, rzecz jasna - wytrajkotała i podała „seniorce” rękę.

„Babunia”, jak kto głupi, ucałowała ją szarmancko z głośnym mlaśnięciem. W międzyczasie rozległ się dzwonek.

- No cóż... Zapraszam wobec tego do klasy - zwróciła się do mnie dyrektorka, zezując podejrzliwie na „babunię”.

- Chodź ze mną babciu! - poprosiłam cicho. - Tylko na chwilę i tylko dzisiaj! Ja się wstydzę...

„Babcia” podreptała za nami z wyraźną niechęcią. I w takim właśnie komplecie stanęliśmy przed uczniami klasy drugiej be.

Dyrektorka przedstawiła mnie i poprosiła zwyczajowo, aby klasa przyjęła mnie serdecznie i pomagała, w czym się da. Gadała długo i kwiecicie, a w tym czasie moje koleżanki i koledzy oglądali mnie sobie kawałek po kawałku. Staralam się stać w taki sposób, aby raczej

w centrum ich uwagi pozostawała moja „babunia”, toteż kiedy Trombocyt usiłował schować się za moimi plecami, zmuszona byłam uskakiwać to w lewo, to w prawo. Dyrektorka, która chyba bardzo chciała być godnie wyeksponowana, musiała niestety podjąć narzucony przez nas płas, wzbudzając w młodzieży z trudem tłumioną radość.

- Ty! Ale ty masz babkę! Ja pierniczę! - Trącił mnie od tyłu jakiś koleś, kiedy po wyjściu dyrektorki wreszcie usadowiłam się w ławce.

- A co, nie podoba ci się? - syknęłam zaczepnie.

- Wygląda jak skrzyżowanie Angeliny Jolie ze Schwarzeneggerem!

- Pilnuj lepiej swojej babki. I siebie.

- Ale co ty?! Babka jest spoko, pełny szacun!

Młoda, suchotnicza polonistka, obserwująca nas od pewnego czasu, postanowiła położyć kres tej nieskrępowanej swobodzie wypowiedzi.

- Lepiarski! - Spojrzała na chłopaka spod cieniutkich brwi. - Skoro już jesteś taki wymowny, za chwilę oddam ci głos. A ty, nowa, lepiej zapoznaj się z zasadami uczestniczenia w moich lekcjach.

- Dobrze. - Dygnęłam grzecznie i usiadłam.

- Wobec tego, Lepiarski - zaprosiła chłopaka szerokim gestem na środek klasy - zaprezentujesz swoim koleżankom i kolegom treść „Balladyny” Juliusza Słowackiego, w taki sposób, w jaki utwór do ciebie przemówił.

- A... mógłbym z ławki? Na środku będę się krępował.

- Coś takiego? - zdziwiła się nauczycielka samymi brwiami. - A ja cię proszę na środek dlatego właśnie, żebyś nie czuł się skrępowany. Przy najmniej ruchowo. Będiesz mógł szerzej rozłożyć ręce w geście niewiedzy... Czytałeś?

- Tak.

- Doprawdy? A to niespodzianka! Więc zapraszam tym bardziej!

Lepiarski wolno i niechętnie spełnił polecenie nauczycielki.

- Słuchamy!

- Ale ja... nie mogę nic powiedzieć, bo utwór do mnie nie przemówił - oznajmił krótko.

- Tak myślałam. - Kobieta uśmiechnęła się błogo. - Przemówił dziad do obrazu, a obraz do dziada ani razu!

Klasa przyjęła jej dowcip z hałaśliwą radością. Lepiarski zmienił koloryt na twarzy z ładnej, złocistej opalenizny na średni mahoń. Chłopak

wyraźnie cierpiał tam, na środku. Pomyślałam, że gdyby nauczycielka mogła zobaczyć się teraz w lustrze, pewnie jak najszybciej odesłałaby go do ławki. Kontrastowała bowiem na tle ucznia w wyjątkowo niekorzystny sposób: on barczysty, śniady i ciemnowłosy, wysoki, strzelisty i zgrabny jak młody grab, ona blada, sucha i płaska, z kończynami jakby nie od tego kompletu, jak mandzurska wierzba. Płowe, a raczej spłowiałe włosy nosiły ślady pospiesznie zdjętych przed wyjściem z domu wałków. Długa spódnica w beżowo-rudą kratę miała pewnie na celu zamaskowanie chudych łydek i dodanie paru centymetrów w kościstych biodrach. Wełniany pulowerek założony na bluzkę z długim rękawem pełnił chyba podobną, maskująco - upiększającą rolę. Nie najlepiej jednak. Uśmiechnęłam się pod nosem.

- O, proszę! Tutaj widzę, że koleżanka przeczytała i wszystko wie! - Nauczycielka nieoczekiwanie znalazła się tuż obok mnie.

Wstałam i ruszyłam powoli na środek klasy. Po drodze próbowałam sobie przypomnieć, o czym była ta nieszczęsna „Balladyna”? Jednocześnie docierało do mnie, że nic mi przecież nie grozi, żadna pała, uwaga, kompletnie nic! Odetchnęłam z ulgą.

- Powiem tak: do mnie również ten tekst nie przemówił - oznajmiłam bez ceregieli.

- Taaak? Podobnie jak do kolegi? - spytała.

- Nie wiem, jak nie przemówił do kolegi. Do mnie może nie przemówił inaczej.

Polonistka jakby na chwilę zdrętwiała, po czym poprawiła pulowerek.

- Możesz... to jakoś uzasadnić, moje dziecko? - spytała z tym rodzajem słodczy w głosie, który nie wróżył niczego dobrego.

- To może... kolega powiedziałby najpierw, jak nie przemówił do niego, a ja się wówczas ustosunkuję. I uzasadnię. - Spojrzałam wymownie w stronę „kolegi”.

- Do mnie, proszę pani, to on nie przemówił w ogóle. A do koleżanki? - Tu Lepiarski zwrócił się jakby do mnie.

- No cóż. - Zamyśliłam się malowniczo. - Może nie aż tak, żeby w ogóle. Co to, to nie! Ale nie przemówił do mnie, że tak powiem... merytorycznie! - Wyłuskałam gdzieś z zakamarków pamięci to mądre i, jak mi się zdawało, uniwersalne słowo.

- Me... rytorycznie? - spytała nauczycielka.
- No. Sensu stricte.
- O! To, to! Do mnie nie przemówił zupełnie tak samo! - potwierdził gorliwie Lepiarski.
- Aha... A czy jest ktoś w tej klasie, do kogo utwór Słowackiego przemówił? I o czym traktuje?
- O malinach! - wyrwał się olśniony znienacka Lepiarski.
- I? O czymś jeszcze?
- O... mordach.
- Czyich mordach? - Nauczycielka uniosła w zdziwieniu brwi.
- No... ogólnie, o morderstwach. Generalnie dużo tam mordują.
- Mógłbyś wyrazić się precyzyjniej? Kto, kogo, dlaczego?
- Nie mógłbym, proszę pani, bo jak to czytałem, to zasłałem. Normalnie mnie zemdlilo!
- Ciebie też zemdlilo? - Polonistka zwróciła się do mnie.
- Mnie nie. Mnie zemdlilo, jak czytałem o tych malinach. Ciągłe mi się przypominało, jak kiedyś połknęłam taką wielką, włochatą glizdę, bo nie zauważyłam...
- Dość!!! - wrzasnęła nauczycielka. - Ty, Lepiarski, i ty...
- Korlacka - podrzuciłam uczynn timer.
- ... i ty, Korlacka, na jutro przygotujecie mi pisemnie szczegółową analizę tragedii Juliusza Słowackiego. Czy to do was przemówilo?
- Ale... mamy to zrobić razem, czy osobno? - uściśliłam.
- Razem. Jakby czasem ktoreś zaslało, będziecie się mogli nawzajem reanimować.

•

Po powrocie ze szkoły najpierw rzuciłam się na jedzenie, a następnie, nie czekając na wyjście „dziadków”, udałam się do Antka.

- Ostrożnie, chcesz wszystko zepsuć? - Chłopak delikatnie, ale stanowczo wypchnął mnie z pokoju.

Usiadłam więc po swojej stronie, tuż przy szafie, zostawiając sporą szczelinę w uchylonych drzwiach.

- Dzwoniłeś do tatusia? - rzuciłam za siebie.

- Tak. Twój... Izydor ma zgromadzić gotówkę najdalej za trzy dni.

Ustaliliśmy z Antkiem, że to on będzie używał głosu w pertraktacjach dotyczących okupu. On gadał z tatusiem, a tatuś z Izydorem. Trochę to szło na okrętkę, ale im bardziej było zawile, tym bezpieczniejsze.

- Trzy dni???

- A co, to dużo, czy mało?

- Nie wiem. Coraz bardziej mi się tu podoba...

- Jak było w szkole?

- No właśnie, tam mi się coraz bardziej podoba. Najfajniej było na polskim, reszta lekcji zleciała jakoś tak... niezauważalnie.

- Czyżbyś czuła niedosyt edukacji? - zakpił Antek.

- Przeciwnie, czuję przesyt. Ale jak się człowiek nie musi uczyć, wyglądać, zachowywać, starać, to szkoła wcale nie jest taka zła... Jak myślisz, czy nauczyciele wiedzą, na jakich ja tam jestem zasadach?

- Nauczyciele raczej nie... - zastanowił się Antek. - Może wie dyrektorka, ale pewnie też nie wszystko.

- To znaczy?

- Może wiedzieć, że cierpisz na amnezję i że twoja obecność w szkole ma charakter terapeutyczny. Ale nie sadzę, żeby doktor powiedział jej o porwaniu.

- To on wie?!

- Całkiem możliwe.

- Boże, mój Boże, co to się dzieje na tym świecie! - westchnęłam ze zgrozą. - Jacy ci ludzie nieuczciwi i pazerni na łatwy grosz!

- Ejże? - zarechotał Antek. - Jesteś pewna, że wiesz, co mówisz?

- Jeśli do mnie pijesz, to ja nie składałam przysięgi Hipokrytesa i nie wybrałam sobie zawodu, który z założenia ma nieść samo tylko dobro - fuknęłam urażona.

- Jakie to piękne - szepnął Antek. - Czekaj, muszę to sobie zapisać! Przysięga Hipokrytesa!

- Przestań! Nie rób sobie jaj! - warknęłam. - Mam problem.

- Jeszcze jeden?

- Jeszcze. Umówiłam się z chłopakiem na wieczór.

- Z klasy???

- No. A co?

- A nic. Takie rzeczy się przecież zdarzają. Między rówieśnikami.

- Głupi jesteś! - Walnęłam go na oślep. - Mamy razem przygotować analizę takiego jednego wierszyka. Polonistka się na nas uwzięła.

- Jania???

- A co? Znasz ją? Ciebie też uczyła?

- Nie, jest za młoda. Ale owszem, znam. Tu wszyscy się znają.

- To może wiesz, czemu ona taka wredna?

- Jania jest wredna? Nie mylisz jej czasem z kimś?

- Taka... wyprana, małokrwiasta blondynka z gałęziami zamiast rąk?

- No cóż, opis niezbyt miły, ale obrazowy. Rzeczywiście, to chyba Jania.

- Można wiedzieć, co cię tak dziwi?

- Bo rozmawiałem z nią nieraz. To cicha, skromna, uczynna, powiedziałbym, że nawet nieśmiała kobieta. I łagodna, jak mało kto!

- No to pewnie coś jej się stało w międzyczasie i zwredniała.

- Co takiego?

- Może przeżyła jakiś miłosny zawód? O! Może kochała się w tobie, a ty odtrąciłeś ją z zimną krwią?

Zazartowałam sobie głupio, ale Antek gwałtownie zmienił się na twarzy. Jakby potraktował to na serio...

- Posłuchaj, Luizo. Ja nie wiem, co się jej stało. I czy w ogóle coś się jej stało. Tyle ci tylko powiem, że nie możesz osądzać ludzi tak kategorycznie po jednym tylko spotkaniu.

- No dobra. - Spuściłam z tonu. - Może ona nie jest taka zła, na jaką wygląda. Tylko skrzywiona nieco.

- Że... co?

- Nie słyszałeś nigdy o skrzywieniach zawo....

Nagle dostrzegłam za oknem jakiś dziwny, ruchomy cień. A w każdym razie coś, czego nie powinno tam być.

- Antek! Widziałeś? Ktoś jest za oknem! - szepnęłam ze zgrozą.

- Jak mogłem widzieć? Przecież siedzę za szafą. Pewnie to jeden z naszych brysiów.

- Na pewno nie! Ich bym przecież rozpoznała w ciemno i po omacku!

- Więc może ten twój wieczorny amant?

- Nie!!! To było wyższe, chudsze i czarne. Same plecy!

Antek zamknął cicho oddzielające nas drzwi i poleciał zbadać teren. Nie wrócił już na tajne stanowisko, bo „babcia” akurat zawołała mnie na kolację.

•

Maciek Lepiarski jak na wiejskie warunki mieszkał sobie całkiem niegłupio. W dużym, ładnym domu urządzonej ze smakiem i bynajmniej nie skromnie.

- Właż, Malino! - Zaprosił mnie do środka. - Załatwimy ten wierszyk fachowo i bez ceregieli, a potem stukniemy po browarku. Co ty na to?

- A f łep fces, gófniasu? - usłyszałam tuż za sobą.

Trombocyt uparł się pójść ze mną i niestety nie dało się go przekonać.

- Przepraszam, nie zauważyłem pani - bąknął Maciek i tyrpnął mnie z łokcia. - Mogę wiedzieć, po jaką cholere przywlokłeś z sobą tę... architekturę?

- Zważ, o kim mówisz! - odszepnęłam z godnością. - To moja kochana babunia. Martwi się o mnie i tyle.

Maciek obejrzał się za siebie, jęknął cicho, po czym zaprosił mnie do swojego pokoju. „Babunia” włączyła się pierwsza.

- Mamy wszystko. - Wskazał w stronę otwartego komputera. - Już trochę szukałem. To jest streszczenie, a to pięęęęęka analiza. Ściągnęłam też oryginał, ale właściwie nie ma sobie tym co głowy zawracać.

- Pokaż!

Pochyliłam się nad wyświetlonym na monitorze tekstem. Wyglądało na to, że rzeczywiście mamy wszystko, czego nam potrzeba.

- To co? Drukujemy analizę? - spytał Maciek.

- Chwila, czekaj... czytam!

- A co tu czytać?

- Cicho bądź! - warknęłam niecierpliwie, ponieważ właśnie zaczęłam wciągać się w fabułę.

- Ale... - Maciek chciał jeszcze coś powiedzieć, jednak potraktowany przez „babcię” lekkim, wychowawczym kuksańcem, usiadł grzecznie obok mnie.

- No co ty?! Całe chcesz to przeczytać? - spytał ostrożnie po chwili.

- Tobie też by nie zaszkodziło. To nawet zupełnie nieźle jest, posłuchaj:

„Wściekłem się jako brytan uwiązany.
Bo też ja kiedyś byłem pan nad pany,
Stutysiącznemu narodowi miły,
Żyłem w purpurze, dziś noszę łachmany;
Muszę przeklinać. Miałem dziątek troje,
Nocą do komnat weszli brata zboje,
Różyczki moje trzy z łodygi ścięto!
Dziecinki moje w kołyskach zarżnięto!
Aniołki moje!... wszystkie moje dzieci! ”.

- No? I jak? - spytałam, ocierając ukradkiem kąciki oczu.

- Dawaj jeszcze kawałek! - zdecydował Maciek.

Czytałam i czytałam, aż mi żuchwa zaczęła trzeszczeć w zawiasach, a akcja utworu rozwijała się tak, że nie sposób było przestać.

- Twoja kolej! - skapitulowałam w końcu. - Paszcza mnie już boli.

- Eeee... - krygował się Maciek. - Ja nie potrafię tak jak ty, z wycuciem... Może jednak dokończ, co?

- Fłyfałeś, fo pofiedziała? Cytaj! - wyrwał się Trombocyt, o którego obecności dawno już zdążyłam zapomnieć.

Maciek, chcąc nie chcąc, zamienił się ze mną miejscami i podjął przerwany wątek. Nawet nieźle mu szło, choć rzeczywiście, nie umiał zbyt ładnie dzielić głosem tekstu na role.

- Ty! To dobre jes! Dafaj to jesce ras! - zażądał w pewnym momencie Trombek.

Spojrzałam za siebie. „Babunia” siedziała pochylona maksymalnie w stronę monitora, ze szklanym, niewidzącym wzrokiem i intensywnym rumieńcem na zdeformowanej gębie.

- No to ryplej - zwróciłam się do Maćka, poprawiając jednocześnie „staruszce” zsuniętą na oczy chustkę.

- Ale... odkąd? - spytał Maciek.

„Babka” bez słowa dźgnęła grubym paluchem we właściwe miejsce na monitorze. Maciek odchrząknął i zaczął czytać:

„A pytasz, kto ja jestem?... to historia długa;

*W naszym kościełku stały ogromne organy,
Mój tata grał na dudach; pięknie grywał pijany,
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił;
Do tego był balwierzem i wieś całą golił,
Golił i grał na dudach, bo golił w sobotę,
Na dudach grał w niedzielę; a miał taką cnotę,
Że nie pił, kiedy golił, a pił, kiedy grywał.
I wszystko szło jak z płatka. Wtem kogut zaśpiewał
I mój ojciec małżeństwem z żoną los zespolił.
Panna młoda wąż miała, ojciec wąż ogolił”.*

- He, he, niezły miglanc ten Grabiec! - rozradował się Trombocyt. -
Dawaj dalej!!!

Kiedy Maciek doszedł do scen w wiejskiej chacie, zmieniłam go, uznając, że nie odda wystarczająco dobrze babskich emocji. Z wyczu-
ciem wcielałam się w rolę wdowy, Balladyny i Aliny.

*„Siostro, jesteś blada, sina
Kalinko moja! Co tobie? Co tobie?
Czemu ty blada? Ach! Jak to okropnie!
Przemów choć słówko! Usiądźmy tu obie!”.*

Wołałam z przejęciem, miejscami zawodząc głośno, to przycichając
jakby z lękiem.

- A fo fizda! - przejął się Trąbek. - Ona ją zaciufa! Jak fum cyf!
Za zbanek malyn!

- Spoko, babka! - uciszył go Maciek cały w nerwach. - No, dawaj,
Luizka! - ponaglił.

- Dafaj, dafaj!!! - Trąbek przełknął głośno ślinę i odruchowo zmienił
pozycję.

Oczy piekły mnie już niemiłosiernie, a kiedy zaczęły łzawić, poprosi-
łam Maćka, żeby znów mnie zmienił. I nawet dobrze, bo teraz zaczęły
się naprawdę straszliwie piekielne sceny, w których bardziej wskazany
był męski głos.

- Nie! Ale fredna szmija! Suka jenna! - przeżywał Trombek każdora-
zowy, morderczy eksces Balladyny.

- Cicho, babka, bo się zgubię!!! - strofował go Maciek i wracał prędko do lektury.

A gdy doszło do ostatniej sceny, w której, jak zrozumiałam, Ballady na miała sama siebie osądzić, wstałam i zupełnie spontanicznie wpa-
dłam Maćkowi w słowo, wchodząc w rolę Kanclerza:

*„Ona zaprawdę winna ogniem żywym
Być obrócona na węgiel piekielny.
Osądź ją... Osądź!
Jak Bóg nieśmiertelny,
Winna jest sądu.
Pociąć ją na ćwierci”.*

- Winna jest śmierci!!! - zawyliśmy zgodnie wszyscy troje, wydając wyrok niepodlegający żadnemu odwołaniu.

- Ja cie fromole - przemówił Trombek po pierwszym szoku. - Niezły ten fryminał, kurza jefo mać. To teras f szkołach na fryminałach uczom?

- No - potwierdziłam z powagą. - Ale jazda, co nie, babuniu?

Trombek siedział z podpartym oburącz łbem i kiwał się w zamyśle-
niu na boki.

- Drukuj teraz prędko tę analizę, bośmy się zasiedzieli, jak nie wiem co! - trąciłam Lepiarskiego.

- Zaraz... - Spojrzał na mnie mętным wzrokiem. - Niech no się tro-
chę... otrząsnę!

- Otsąsnąć cię? - spytała uczynnie „babka”, na co Maciek sam z sie-
bie wstał i zabrał się za drukowanie.

Wracaliśmy z „babką” w kompletnym milczeniu. Noc była gęsta nad nami i tylko gdzieniegdzie dało się słyszeć poszczekiwanie psa. W żadnej chałupie nie paliło się już światło. Nagle poczułam, jakby ktoś skra-
dał się gdzieś w pobliżu. Rozejrzałam się na boki. Teraz usłyszałam już całkiem wyraźny szelest w przydrożnych krzakach. Niewiele myśląc, skoczyłam do rowu. Przez moment zamajaczyła mi przed oczami jasna, owalna plama jakiejś obcej gęby, a potem były już tylko plecy, które błysnąwszy w świetle księżyca czarnym, skórzanym płaszczem, znikły w ułamku sekundy.

- Co ty fyplafias! - zeźliła się „babcia”. - Stało ci się co? - spytała, rozgarniając krzaki.

- Eeee... Nie. Nic mi się nie stało. Potknęłam się po prostu - wyjaśniłam, otrzepując portki z trawy i ziemi.

- No ufazaj, jak lezies, siermięgo! - pouczyła mnie z troską w głosie.

•

IV. Straszny Mafiozo wyłazi z ukrycia

Do szkoły przyszedłam niewyspana jak mało kto. No, może jeszcze Lepiar-ski był w podobnej kondycji. Po naszym wyjściu obalił podobno z wrażeń-wia wszystkie browary, które miał uszykowane dla nas dwojga, czym nie omieszkał mi się pochwalić zaraz w szatni.

- No to co, może dziś jakoś brykniesz tej swojej... fortecy i spotkamy się po lekcjach sami? - Mrugnął do mnie swawolnie.

- Jeszcze raz uwłoczysz mojej babci, to popamiętasz sobie do końca życia! - warknęłam ostrzegawczo. - A w ogóle, z takimi jak ty spotykam się wyłącznie służbowo - dodałam wyniośle.

- Akurat - roześmiał się Maciek z niedowierzaniem.

- Właśnie, że akurat - potwierdziłam z powagą. - I... szkoda twojego czasu, bo ja chyba dzisiaj wyjeżdżam...

- Co ty? - Maciek był wyraźnie w szoku. - Przecież dopiero przyjechałaś!

- Nie szkodzi. Ale wyjeżdżam i gdybyś mógł, nie mów o tym nikomu...

- To znaczy... Dajesz nogę, czy tak?

Zamiast odpowiedzi westchnęłam tylko i zamyśliłam się głęboko. Wczoraj, kiedy wróciłam do chałupy, Antek oznajmił, że dograł wszystko w kwestii okupu. Ktoś od Izydora miał dziś o siedemnastej wrzucić paczkę z forszą do rowu między kapliczką i starą akacją. Sprawa komplikowała się trochę, gdyż mój niepociumany narzeczony powiedział dokładnie to samo oprychom. Bo wydzwanialiśmy do niego w stereo: raz my, raz oni. I wszystko mu się popieprzyło. Mogło więc być całkiem ciekawie, ale Antek miał podobno jakiś genialny plan...

- Ej! dzwonek! Ogłuchłaś? - Maciek od dłuższej chwili szarpał mnie za ramię. - Idziemy!

W drodze do klasy dreptał przez cały czas dokładnie obok mnie, gapiąc się jakoś tak dziwnie.

- Fajna jesteś, wiesz? - wyznał na progu. - Powiedz, że z tym wyjazdem to ściema?

- Wiem, że jestem fajna - odparłam. - I z wyjazdem to nie ściema.

- Właściwie, to ja cię rozumiem - szepnęła, siadając za mną w ławce.
- Gdybym miał taką babkę, to też bym jej bryknął!

- Lepiarski! - ucieszyła się Jania, która akurat weszła do klasy. - Widzę, że aż cię rozpiera, żeby dziś znów podzielić się z nami swoją wiedzą!

Maciek bez słowa wytoczył się na środek klasy i przyjął postawę oczekująco-zaczepną.

- Patrzcie państwo! - wykrzyknęła polonistka, jakby trochę zbita z tropu. - Mamy tutaj ochotnika!

- No przecież pani kazała, to przyszedłem - stwierdził flegmatycznie i przestąpił z nogi na nogę.

- Wobec tego, proszę bardzo! Co myśmy... tu... e... mieli?

- Analizę - podrzucił Maciek.

- Ano tak. Analizuj więc, Lepiarski! - Jania w ostentacyjnej pozie niecierpliwego oczekiwania zastygła przy biurku.

Maciek referował z pamięci. Szło mu widać zbyt gładko, bo polonistka wcinała mu się w wypowiedź od czasu do czasu, podpytując o różne postaci, miejsca i zdarzenia. Chłopak jednak odpowiadał bezbłędnie, z dużą pewnością w głosie oraz pozie. Słuchałam tego dialogu z wielką przyjemnością, czekając, kiedy Jania będzie musiała ostatecznie i nieodwołalnie skapitulować. Maciek był w tej rundzie po prostu nie do pobicia.

- A ty, Korlacka, z czego się cieszysz? - Nie mając w co zęby wbić, Jania zahaczyła o mnie. - Zaraz i tobie oddam głos i będziesz mogła popisać się wrodzoną inteligencją. Bo nabyć się jej, niestety, nie da. Ani sięgnąć z komputera.

- Ja? Ja... się cieszę, bo... - Dość niechętnie wstałam z ławki. - Bo... o...

Miałam coś powiedzieć, ale kompletnie uleciało mi z głowy na widok tego, co dostrzegłam za oknem. Za jedną z topoli ukrywał się nieudolnie jakiś osobnik w czarnym skórzanym płaszczu...

- Dość tego - warknęłam przez zęby. - To jest zwyczajne, chamskie prześladowanie, w biały dzień!

Złapałam plecak i z hukiem wybiegłam na zewnątrz. Maciek, niewiele myśląc, zrobił to samo, a za nim owczym pędem cała reszta klasy, zostawiając przy biurku samotną i pewnie totalnie ogłupiałą Janię. Może, gdybym była sama, dopadłabym tego zaczajonego huncwota, ale on, najpierw słysząc, a potem widząc taką masę rozwrzeszczanego ludu, zawinął się na pięcie i uciekł. I jak zwykle, zdążyłam go sobie obejrzyć tylko od zadniej strony.

- Co jest, Malina? - spytał zdyszany Maciek, dopadając mnie przy furtce.

- A, nic. Idę wcześniej do domu. Mówiłam ci przecież, że dziś wyjeżdżam.

- Tak... gwałtownie? - zdziwił się Maciek.

- No.

- Szkoda. Fajnie by było, jakbyś została.

- Też tak myślę, ale jak to mówią, komu w drogę, temu talon na benzynę!

Przybiliśmy z Maćkiem piątkę i udałam się w swoją stronę, a on i cała reszta zawiedzionego społeczeństwa wrócili do szkoły. Właściwie nie planowałam tak wczesnego powrotu, ale skoro tak wyszło, to wyszło. Trochę się obawiałam, że „babka” będzie się wściekała, bo nie czekałam na jej obstawę, ale cóż było robić? Wlokłam się więc jak najwolniej, przy okazji rozglądając się na wszystkie strony.

Trombocyta zastałam w kuchni obierającego ziemniaki. Trochę się powkurzał, ale ogółem nie było aż tak źle. Powiedziałam, że boli mnie brzuch i muszę się jak najprędzej położyć. W gruncie rzeczy zaszyłam się u siebie i natychmiast zastukałam do Antka.

- Ojciec do ciebie wydzwania. - Podał mi komórkę przez szparę w drzwiach.

- Czemu?

- Skąd mam wiedzieć? Nie odbierałem.

- Oddzwonię!

Pełna złych przeczuć wybrałam numer tatusia. To musiało być coś rzeczywiście ważnego, bo umówiliśmy się, że to ja będę do niego dzwoniła, a on do mnie nie.

- Córku, nie jest dobrze - rzucił tatuś nerwowo w słuchawkę. - Mafiozo się pokazał!

- Cccc...o? - Jęknęłam ze zgrozą. - Bił cię? Torturował?!
- Nie. Najpierw zadzwonił, że przyjdzie, a potem przyszedł.
- Mogłeś go nie wpuszczać!
- Ale wpuściłem...
- No i? Co ci zrobił? Mówże wreszcie!
- Eeee, szkoda gadać.
- Bo???

- Chciał swoją forszę, rzecz jasna. No to naściemniałem mu trochę. Że był u nas włam i że...

- Że?

- Że cię porwano. Razem z jego forszą. Trochę to głupie, co nie? - zawahał się tatuś.

- Bardzo głupie, tatusiu. Idiotyczne!

- Więc nie wiem, czy uwierzył, czy nie... Tak czy siak poszedł sobie. Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotu?

- A niech, cię tatuś! - Pokojarzyłam prędko ostatnie fakty. - Chyba jednak uwierzył. Jak on w ogóle wygląda?

- Straszliwie - jęknął tatuś. - Jak rasowy bandyta: wielkie bary, zimne, stalowe oczy, okrutny grymas na mściwej gębie...

- Dość, bo mi słabo!

W jednej chwili uzmysłowiłam sobie, że owe tajemnicze plecy muszą ani chybi należeć do Mafioza. A kiedy sobie przypomniałam, że dziś pod szkołą prawie mu na nie wskoczyłam, ciarki przeszły mi po grzbiecie.

- Ale córeczko... Ja pomyślałem sobie, że skoro już i tak jesteś porwana, i że pilnują cię te trzy kreatury, to właściwie tymczasem nic ci nie grozi! - tłumaczył się tata.

- Tymczasem... - mruknęłam pod nosem i wyłączyłam telefon.

- Sie porobiło - skomentował Antek, który przez cały czas podsłuchiwał z uchem przy słuchawce.

- No właśnie. Słuchaj, a ten, co się kręcił wczoraj przy oknie? Zobaczyłeś go?

Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, Antek zatrzasnął drzwi. W sekundę później do pokoju wtoczył się Trombocyt przepasany kuchennym fartuszkim. Ledwie zdążyłam rzucić się na łóżko.

- Obiad dziś będzie wcześniej - oznajmił całkiem już wyraźnie.

- Ja chyba nie będę jadła, babciu - jęknęłam płacząco. - Trochę się prześpię. Nie budź mnie, dobrze?

- Jak tam sobie chcesz! - burknęła „babcia” i wyszła.

- Ależ ty masz słuch! - rzuciłam w chwilę potem przez drzwi. - Radar się formalnie chowa!

- Owszem - odparł Antek z drugiej strony. - Nie narzekam.

Nagle, dosłownie w jednej chwili głos uwiązał mi w gardle. Za oknem znów pojawiła się jakaś gęba, tym razem w pełni krasy i wcale jakby niezaczajona. W pierwszym odruchu miałam przyrznać w nią doniczką, ale na szczęście dość prędko ją zidentyfikowałam jako własność Maćka Lepiarskiego.

- Co ty tu robisz? - syknęłam, uchylając lufcik.

- Nic. Jajca są w szkole, tyle ci tylko chciałem powiedzieć.

- Jakie jajca?

- Dyra zawiesiła Janię.

- Co???

- Bo ona myśli, że ty się poczułaś urażona. Że ci Janka po swojemu nawtykała i nie wytrzymałaś psychicznie. Dlatego tak wyleciałaś. I w ogóle, wszyscy.

- Ale... to bzdura jakaś!

- Dla niej to nie bzdura. Jania ryczy, aż jej kości gruchoczą, a dyra się nad nią pastwi.

- No dobra, ale skąd ona wie, co zaszło w klasie? I skąd jej coś podobnego do kokoniastego łba przyszło?

- No wiesz... Takiego przemarszu ludności nie dało się ukryć. Więc dyra wypytała Baškę. Tę tłustą, z rzadkimi zębami. Ona zawsze chętnie odpowiada na pytania. O ile oczywiście nie dotyczą tematu lekcji.

- I?

- I wyszło na to, że Jania notorycznie poniża uczniów i się nad nimi pastwi moralnie.

- Przesada - syknęłam przez zęby. - I... gruba nadim... pretacja!

- Co z tego? Dobrze jej tak, chudej zołzie. Do tej pory używała sobie na każdym do woli, niech sobie dyra poużywa teraz na niej. Kiedy jedziesz?

- Zaraz. To znaczy, nie teraz, później. Idź mi stąd!!! Zaczekaj za stołką, zaraz tam będę.

Uturlałam prędko z pierzyny podłużny wał i przykryłam niedbale narzutą.

- Zaraz wracam! - rzuciłam w stronę szafy.

- A ty dokąd? - W drzwiach od pokoju Antka pojawiła się wąska szczelina, a w niej jedno Antkowe oko. - Za trzy godziny odbieramy kasę, zapomniałaś?

- Nie zapomniałam. Pół godzinki i jestem z powrotem.

Antek mamrotał coś jeszcze, ale ja, nie zważając na niego, cicho uchylałam okno i wyskoczyłam na zewnątrz.

- Bieguniem! - krzyknęłam w przelocie do przycupniętego za stodołą Maćka. - No, dawaj!

- Dokąd?

- Do szkoły!

Leciałam jak torpeda, nie mając nawet czasu filować na boki za jakimś ewentualnym złoczyńcą. Dyre dopadliśmy kiedy akurat wychodziła z pokoju nauczycielskiego, za nią krok w krok dreptała Jania, pobekując z cicha w chusteczkę.

- Dobrze... że panią... zastaliśmy... - wydyszałam jej w przepastny dekolt.

- Korlacka? Lepiarski? - zdziwiła się dyra, a Jania w wyraźnym popłochu schowała się za jej plecami.

- No tak. Bo mnie tutaj kolega Lepiarski przekazał - wypchnęłam Maćka przed siebie w charakterze dowodu rzeczowego - że zawiesiła pani w obowiązkach panią polonistkę i to podobnie z mojego powodu.

- Powiedzmy, że pani Przetak nie zastosowała się do moich zaleceń - wycedziła dyrektorka z namysłem. - A tobie o co chodzi?

W tym miejscu uświadomiłam sobie pewną trudność: dyra przecież się nie przyzna, że przyjęła mnie do szkoły całkiem na dziko, na specjalnych prawach, w ramach terapii, którą zalecił jej własny mąż. Pewnie nawet dała gronu jakieś specjalne wytyczne, a ta oto chlipiąca mimoza sponiewierała mnie już na pierwszej lekcji... A skoro tak, nie przyzna się również, że byłam powodem tak bolesnego cięcia na żywym organizmie ciała pedagogicznego. Wysiliłam więc maksymalnie całą swoją dyplomację.

- Ja wiem, że pani, jak mało komu, leży na sercu dobro wszystkich uczniów - zaczęłam przymilnie. - A także poziom ich edukacji i ten...

całokształt stosunków nauczycieli do uczniów i odwrotnie. Chciałam powiedzieć, że pani Janina Przetak jest bardzo dobrą nauczycielką, przyjazną i eee... ką...pę...tętną! Dzięki niej oboje z kolegą Lepiarskim mamy całą „Balladynę” w jednym małym paluszku. Jak pani nam nie wierzy, to proszę nas przepytąć! – wywaliliam jednym tchem i spojrzałam ukradkiem na zegarek.

– Taaak? – zdziwiła się dyrektorka i spojrzała niepewnie na łkającą Janię.

– Tak. A panią bardzo przepraszam. – Dygnęłam w stronę coraz bardziej widocznej polonistki. – Że tak wyleciałam z lekcji, ale to... za potrzebą. O, teraz znów muszę lecieć!

I było to niemal zgodne z prawdą, tyle że moja potrzeba miała charakter nie tyle fizjologiczny, ile finansowy. Musieliśmy po prostu dorwać z Antkiem paczkę z forszą, zanim uczynią to oprychy. A czas leciał... Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, puściłam się pędem przez korytarz. Maciek poleciał za mną.

– Słuchaj! – rzuciłam przez ramię w jego stronę. – Zostaw mnie teraz, dobrze?

– Dobrze – zgodził się i nadal laźł za mną.

– Ej, czego chcesz? Mam coś ważnego do załatwienia. – Zatrzymałam się nagle w miejscu.

– Dziwna jesteś – oznajmił, patrząc mi w oczy.

– Bo?

– Czegoś się ujmowała za tą lelują? Może by ją wylali...

– Może i tak. A może nie. Ona ci już długo nie dokuczy, masz to jak w banku. I chyba o to chodziło, nie?

– Ale miałyby za swoje! Chyba powinna ponieść jakieś konss... ekwencje!

– No, ja nie wiem... – Skrzywiłam się, widząc już oczami duszy konsekwencje tych konsekwencji. – A skąd wiesz, co by było potem? Może Jania by się załamała, rozpiła, zeszła na psy, zaczęła grzebać w śmietnikach i oddawać się miejscowym menelom za szklankę denaturatu i kawałek bułki z pasztetówką. Byłbyś zadowolony?

– Nie... – odparł Maciek po dobrej chwili.

– Więc sam widzisz. A teraz już naprawdę muszę lecieć. Trzymaj się, Lepiarski! – Strzeliłam mu na odchodne żółwika i pognałam przed sie-

bie.

Maciek posłusznie zawrócił i udał się w kierunku przeciwnym. Dochodziła szesnasta. Zostało mi akurat tyle czasu, żeby się spakować i omówić z Antkiem szczegóły akcji. Nagle, kiedy miałam już skręcać z głównej drogi na ścieżkę prowadzącą do chałupy, coś zimnego i śliskiego wyhamowało mój bieg i pociągnęło w krzaki. Nie byłam w stanie się poruszyć, na szyi miałam założonego ciasnego nelsona, drugi punkt styyczny z napastnikiem stanowiła mocno obłapiona przez niego talia. Przy czym oba fragmenty jego żelaznych łapsk odziane były w czarne, skórzane rękawy...

- Tylko nie krzycz! - wysapał mi za uchem. - Nic ci nie grozi. Pójdziemy teraz pomaleńku w stronę samochodu.

Na tyle, na ile byłam w stanie, rozejrzałam się na boki. Parę metrów ode mnie, przy polnej drodze stało niewielkie, srebrne auto. Dziwne jakieś... Takiego jeszcze nigdy dotąd nie widziałam.

- O, siet! - mruknęłam pod nosem, czując, że nie mam szans wywinąć się z tej zasadzki. Byłam w strasznych łapach Straszego Mafioza!

I nagle stał się cud. Łapy na moim ciele wyraźnie zelżały i w chwilę potem zalegający mi na plecach napastnik osunął się po mnie, miękko padając w trawę. Kolejny szok nie pozwolił mi ogarnąć sytuacji, więc kiedy jakaś inna siła pociągnęła mnie gwałtownie ku drodze, nabrałam całkiem mimowolnego rozpędu.

- Hej! Nic ci nie jest?!!

Teraz dopiero spojrzałam w stronę, z której nadeszła nieoczekiwana pomoc. To był... Maciek!!!

- Co ty tu robisz?! - wrzasnęłam w biegu. - Miałeś, zdaje się, wrócić do domu?

- Miałem. Ale nie wróciłem i myślę, że nie powinnaś mnie za to ochrzaniać. Kto to był?

- Albo ja wiem? Zabiłeś go? Czym?

- Plecakiem.

- Na śmierć?

- Nie, przyćmiłem trochę tylko.

- Wracamy! - Zrobiłam nagły w tył zwrot. - Ja muszę go sobie obejrzeć!

- Oszalałaś? - Maciek zawrócił mnie z powrotem. - A jak się ocknie? Nie ma mowy! Leć szybciej!

- Okej - wysapałam z trudem. - A ty... go... widziałeś?

- Nie, bo padł mordą w trawę. Szybciej!

- Nie mam już siły - jęknęłam. - Nie dolecę! Musimy gdzieś przecze-
kać!

- Chodź. - Maciek pociągnął mnie w stronę pierwszej lepszej stodoły. Padłam bez tchu na siano i spojrzałam na zegarek.

- A niech to szlag! - zakląłam ze złością. - Już po czwartej! No to ka-
pa. Maciek, masz telefon?

Maciek bez słowa podał mi aparat i spojrzał z jakimś dziwnym błyskiem w oku. Wybrałam numer komórki Antka.

- Słuchaj mnie uważnie - rzuciłam w słuchawkę, zezując na mocno zaniepokojonego chłopaka. - Tak się porobiło, że ja już nie zdążę... wrócić na metę. Proszę, zbierz moje fanty i udaj się bezpośrednio do... punktu zero. Tam się spotkamy. Bez odbioru.

- Daleko stąd do kapliczki? - spytałam Maćka, który przez cały czas gapił się na mnie, mrugając nerwowo oczami.

- Nie... Jakieś... osiemset metrów.

- To dobrze. Za chwilę stąd wyjdę i się tam udam. Ale ty już za mną nie pójdziesz! - zastrzegłam groźnie.

- Tak jest! - zameldował służbiście. - Ja będę ubezpieczał tyły!

- Niczego nie będziesz ubezpieczał. Wrócisz po prostu grzecznie do domu! Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc w tamtym... zdarzeniu, ale dość już na tym. Zrozumiano?

- Tak jesssst!

- A tobie co? - Zmierzyłam chłopaka z góry na dół, bo jak na mój gust, zaczął zachowywać się jakoś dziwnie.

- Ja się wszystkiego domyśliłem - szepnął, pochylając się w moją stronę.

- O? A czego niby?

- Sorki, ale przecież ty... nie jesteś żadna gimnazjalistka. I ta... twoja babka... To przecież regularny facet, w dodatku z giwerą pod fartu-
chem! A która babka nosi na co dzień pod kiecką gnata? Bo moja raczej nie. I jeszcze ten dziwny typ w czarnej skórze... Powiedz - Maciek jesz-
cze bardziej zniżył głos - to jakaś tajna operacja?

W życiu bym nie przypuszczała, że chłopak cokolwiek kojarzy i pojęcia nie miałam, jak mam się odnieść do historyjki, którą w oparciu o swoje domysły wytworzył.

- Tak, to tajna operacja - przyznałam po krótkim wahaniu. Bo właściwie, z prawie czystym sumieniem, mogłam tak określić czekające mnie zadanie.

- Ja nikomu nie powiem! - zadeklarował się Maciek sam z siebie. - Możesz być pewna, słowa nie pisnę!

- Wiem, wiem! - Objęłam go mocno za szyję. - Równy z ciebie facet. I świetny kumpel.

•

Przy kapliczce byłam dwadzieścia minut przed czasem. Forsa miała być rzucona w rów punktualnie o siedemnastej, więc oprychy pewnie postanowiły zjawić się tu w ostatniej chwili. Uważnie badałam teren, żałując jak cholera, że nie zdążyliśmy z Antkiem ustalić szczegółów.

W odstępnie kilkunastu metrów rów przecinały dwa kamienne mostki z wmontowanymi od spodu betonowymi rurami. Tak się składało, że ich umiejscowienie pokrywało się z grubsza z odcinkiem pomiędzy kapliczką a akacją. Zajrzałam pod spód. Obie rury były drożne i, dzięki Bogu, prawie całkiem suche. Niezbyt chętnie, jednak w poczuciu wyższej konieczności wpełzłam do jednej z nich, maskując otwór wiechciem narwanej w tym celu trawy. Zastanawiałam się teraz, kiedy i gdzie zaczają się oprychy. Spróbowałam posłużyć się ich logiką i wyszło mi na to, że będą tkwili po przeciwnej stronie drogi. Dla lepszej widoczności. Jeśli dadzą mi choć jedną minutę, zanim rzucą się na łup, forsa będzie moja!

Czekałam z zapartym tchem i bijącym sercem. Dochodziła siedemnasta, ale im bliżej, tym bardziej czas zwalniał... Od intensywnego wpatrywania się przed siebie oczy zaczęły mi łzawić i szczypać. Wystraszyłam się, że jak przyjdzie co do czego, dostanę jakiejś zaćmy i nic nie zauważę. I kiedy zaczęłam już dokładnie drętwieć z wrażenia i zimna, tracąc nadzieję, że wysłannik Izydora w ogóle tu trafi, usłyszałam głucho pacnięcie i dostrzegłam tuż przed sobą niewielką, szarą paczkę. Mój plan nie przewidywał rozglądania się dookoła. Ruszyłam przed siebie na czworakach. Złapałam paczkę, błyskawicznie rozdarłam papier, by sprawdzić, co naprawdę zawiera i zadowolona z oględzin przeczołgałam się ku kolejnej rurze. Nie tracąc czasu, wpełzłam do środka, za-

mierzając tym sposobem jak najbardziej oddalić się od miejsca akcji. Oczekiwałam jakichś odgłosów pogoni czy innego tumultu, ale nic takiego się nie działo. Parłam więc wciąż przed siebie, zastanawiając się, czemu, do cholery, nie ma jeszcze Antka? Ale kiedy po raz trzeci przejechała mi nad głową stara, popielata skoda, skojarzyłam, że to może być on. W końcu obiecał, że skombinuje jakiś wóz...

Wystawiłam ostrożnie głowę, a potem, jeszcze ostrożniej całą resztę. Stałam bokiem za jakimś niezbyt okazałym drzewem i podjęłam obserwację terenu, w każdej chwili gotowa z powrotem wskoczyć w rów. Jakies dwieście metrów ode mnie stał zielony mercedes van, wokół którego biegało trzech mocno zdenerwowanych mężczyzn. Bo oto... po przeciwnej stronie drogi, na skraju łąki stała wielka, łaciata krowa, a z jej rozanielonej mordy zwisał spory kawał szarego papieru...

- Wskakuj! - Nie wiadomo jak i skąd pojawił się nagle przy mnie popielaty gruchot. - No! - ponaglił Antek. - Nie fascynuj się, tylko włącz!

- Ale nam wyszło, widziałeś? - Wskazałam w stronę goniących w piętę oprychów. - Oni chyba myślą, że krowa im forszę zeżarła. Pewnie kombinują, jak jej łapy do gardła wsadzić. Jeszcze ją uszkodzą! Biedna krowa...

- Nie sądzę - odparł Antek z uśmiechem. - Bo to nie jest krowa. To jest byk.

•

V. Narzeczony

- No więc? Dokąd teraz? - zapytał Antek.

- Kurczę, sama nie wiem... Masz moje rzeczy?

- Mam wszystko. To co robimy?

- Najpierw muszę wpłacić tę kasę na konto tatusia. I to niezwłocznie. A potem... do Izydora.

Antek spojrzał na mnie z jakimś dziwnym uśmiechem.

- Po co? Przecież masz dokładnie to, czego od niego chciałaś. Kasę na dług. Wszystko poszło zgodnie z twoim planem. Nie musisz już za staruszka wychodzić.

- Tak, ale...

Spojrzałam na niego z ukosa. Właściwie do tej pory ani razu się nie zastanowiłam, czemu tak uparcie i konsekwentnie mi we wszystkim pomagał, bo chyba sama niechęć do kuzyna-oprycha tu nie wystarczała.

- A ty czemu mi tak we wszystkim pomagasz, co? - spytałam, zamiast łamać sobie nad tym głowę.

- Bo jestem miłym, uczynnym i bezinteresownym facetem?

- A kto cię tam wie! - warknęłam przez zęby.

- Ja, oczywiście. - Uśmiechnął się szeroko. - A zatem matrymonium gerentofilium nadal aktualne?

- Nadal.

- Bo?

Antek ewidentnie kpił sobie ze mnie. Dlatego nie zamierzałam mu się tłumaczyć.

- Bo ciągle jeszcze mi mało! On podobno pływa w złocie, a ja mam zamiar popływać razem z nim!

Odpowiedziałam, jak mi się zdawało, dokładnie w taki sposób, jakiego po mnie oczekiwał.

- Tobie też mogę trochę odpalić - dorzuciłam złośliwie.

- A, nie, dziękuję. - Antek wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Ja działam z całkiem... innych powodów.

•

Hotel, w którym rezydował Izydor, odnaleźliśmy bez większego trudu. Byłam świadoma, że nie wyglądam tak olśniewająco, jak na zdjęciu, które mu z tatusiem wysłaliśmy, ale to może nawet i dobrze. W końcu powinnam chyba nosić jakieś ślady dramatycznych przeżyć.

- Chodź ze mną! - Uczepiłam się rękawu Antka, kiedy recepcjonista podał mi numer apartamentu Izydora. - Proszę!

- Po co?

- Dla dodania mi otuchy... A ty będziesz miał ubaw jeszcze przez jakiś czas. Okej?

- W jakim niby charakterze?

- Nie wiem jeszcze, ale coś zmyślę.

- A, nie, dziękuję. W tym miejscu, niestety, kończy mi się trasa. I poczucie humoru.

Antek spojrzał na mnie z jakąś nieoczekiwaną powagą, uściśnął mnie więcej niż serdecznie i wyszedł.

Zanim odważyłam się zastukać w drzwi apartamentu, wzięłam głęboki oddech i przeżegnałam się w skupieniu.

- O!?- powitał mnie mężczyzna, który po dość długiej chwili wyłonił się ze środka.

Facet był stary, bardzo szczupły, a nawet wręcz kruchy... Siwe włosy i bardzo jasna cera sprawiały wrażenie, że jakby tak mocniej dmuchnąć, rozwiałyby się niczym majowy obłoczek.

- Dzień dobry. - Dygnęłam nieśmiało. - Jestem Luiza.

- Lu... iza! - Staruszek rozłożył szeroko ręce z długimi, przezroczystymi palcami i objął mnie serdecznie. - Moje dziecko! Tak się trapiłem o tobie! Puściły cię? Dzięki Bogu, że cię puściły te wstrętne obuzy! Co za makabra musiałas ty przeżyć, biedaczyno!

- Nie mówmy o tym, proszę - szepnęłam ponuro. - Może... innym razem.

- Oczywiście, jak ty życysz... Sama taka tu przyjechałaś, jedyna?

- Nie, ktoś pomógł mi się tutaj dostać.

- A gdzie on? Wy pewno męczone i głodne? Ja zaraz dyktuję podawać żywność.

Izydor spojrział na mnie z czułą troską.

- Musiał już jechać. Ma przed sobą jeszcze kawał drogi.

- Ależ nie ma on problemu zostać tu! Pokoju jest mnóstwo. Ty wróć jego być może - zachęcił gościnnie staruszek. - Szkoda przemieszczać się po nocy.

- Chciałam, ale on się uparł.

- Ojej - zmartwił się Izydor. - Jak obowiązek ma, to ja nie cisnę.

Rozpakowałam swoje rzeczy w pokoju wskazanym przez Izydora i wskoczyłam do wanny. Ciepła, aromatyczna woda szybko ukoiliła moje rozedrgane myśli i sponiewierane ciało. Postanowiłam nie zastanawiać się nad tym, co będzie, bo i po co? Byłam tutaj, bo sama sobie wyszykowałam taki los. I tyle. Izydor owszem, tak jak przewidywałam, okazał się leciwym staruszką, ale za to całkiem sympatycznym. I wyglądało na to, że bardzo mu na mnie zależy...

Kiedy wyszłam z łazienki, „narzeczony” oczekiwał mnie przy suto zastawionym stole. Dawno nie widziałam takich delicji, jeśli w ogóle niektóre spośród nich widziałam kiedykolwiek. Rzuciłam się na jedzenie bez szczególnych ceregieli i kurtuazji. Izydor przez cały czas przyglądał mi się z niekłamaną przyjemnością.

- Muszę przejawić, że jesteś jeszcze bardziej estetyczna, jak na tym landszaftu, co mi przysłałaś - odezwał się w końcu.

- Dziękuję - szepnęłam zawstydzona i poczułam, że się rumienię.

Głupio mi się zrobiło, że komplementuje mnie akurat w chwili, kiedy obżeram się jak ostatni wieprzek.

- No, no... - Izydor poklepał mnie po dłoni. - Nie żenuj się, moja droga, uroda to przecie żaden obciach!

- O... Obciach?

- Obciach. Mój kierowca tak powiada. To źle?

- A, nie. Bardzo dobrze! - potwierdziłam skwapliwie.

- Jak ty będziesz męczona, to mów, zawołam facetkę, żeby zrobiła ci łóżko.

- Przecież sama sobie mogę zrobić. - Spojrzałam na niego zdziwiona. - Wystarczy tylko kołdrę odrzucić.

- A co, niedobra ona, ta... kołudra? - zaniepokoił się Izydor.

- Skąd! Bardzo dobra! Chciałam tylko powiedzieć, że sama umiem posłać łożko.

- Jak sobie wiesz. - Uśmiechnął się, ukazując rząd równych i chyba swoich własnych zębów.

- A... kiedy pogadamy? No, wie pan, o... przyszłości?

- Ja nie pan żaden dla ciebie jestem. Izydor, zwyczajnie.

- Przepraszam...

- Nie trzeba, turkaweczko. - Znów poklepał mnie po dłoni. - Podobasz mnie się. Bardzo dużo mnie się podobasz!

Znów, nie wiem czemu, zaczerwieniłam się po same uszy, co najwyraźniej zyskiwało w oczach Izydora sporą aprobatę.

- Porozmawiamy jutro albo po jutru, jak wypoczniesz. Mamy czas.

Szczerze mówiąc, wolałabym już dziś wiedzieć, co i jak, ale nie wypadało naglić, żeby sobie Izydor nie pomyślał Bóg wie czego. Posiedzieliśmy jeszcze trochę, gawędząc raczej o niczym, a kiedy powieki zaczęły mi w sposób widoczny opadać, Izydor osobiście i, jak się okazało, bezinteresownie zaprowadził mnie do sypialni. Nie miałam już ani krztyny siły na nic, toteż rozmowę z tatusiem w celu poinformowania go o forsie na koncie zastąpiłam zdawkowym SMS-em.

•

Nowy dzionek zapowiadał się nad wyraz optymistycznie, począwszy od całkiem przyzwoitej pogody za oknem. I mojego przebudzenia. Tuż po otwarciu oczu, zamiast spodziewanego madejowego łoża w wiejskiej chałupie ciotki Trombocyta, rzeczywistość zaserwowała mi mięciutki tapczan w luksusowym hotelu. I te zapachy. Zapachy były zupełnie inne niż te, które w ostatnim czasie towarzyszyły mojemu przebudzeniu: znacznie... mniej organiczne. Subtelne, ulotne... Jeden błysk przypomnienia ostatnich wydarzeń natychmiast postawił mnie na nogi. Z radością pobiegłam do eleganckiej, sąsiadującej z moim pokojem łazienki i skorzystałam z całego dobrodziejstwa.

Izydor czekał już na mnie w saloniku, i, jak stwierdził na dzień dobry, dosłownie nie mógł się „naczekać”.

- Ja nie wiem, co młode damy lubiejają robić w ciągu dnia - zagaił, nalewając mi kawę do filiżanki - ale pomyślałem sobie, że może ty chciała-by zrobić jakie nabytki?

- To znaczy? - spytałam, nie będąc pewna, co ma na myśli.

- No... Jakiś przodzievek, gdyby ty miałaś chęć nabyć. Szaty jakie. Ja wszystko uposażę, of course.

- Ale ja nie wiem, czy tak wypada...

- Wypada! - rozochocił się staruszek. - Bardzo wypada! Ja po śniadaniu zawołam mojego szofera, on pewnie wie, gdzie tu jakie szopy są.

- Szo...py?

- Yyyy... - Izydor spojrzał na mnie zmartwiony. - Nie szopy?

- No, ja nie wiem... Może i szopy - zgodziłam się, gdyż w zasadzie było mi wszystko jedno. O ile można było można w nich kupić sensowny „przodzievek”.

Po śniadaniu okazało się, że Izydor musi dokądś pilnie się udać i nie może wybrać się ze mną na zakupy. Uznał jednak, że mogę pojechać z samym szoferem, bo, jak stwierdził, Kazimierz był jego „mocno spolegliwy człowiek”. I tak też wyglądał: ubrany w granatowy mundur z mnóstwem srebrnych guzików, wysoki, korpulentny, z gładziuteńko wygoloną twarzą. W dłoni dzierżył czapkę od frymuśnego, szoferskiego kompletu.

- Zapraszam panią do samochodu - oznajmił sztywno i puścił mnie przodem.

Samochód wyglądał dokładnie jak i szofer: wielki, granatowy, z licznymi, połyskującymi srebrem ozdobnymi duperelami. Kiedyś, jak każdej młodej dziewczynie, marzyła mi się taka scena, ale teraz było mi formalnie łyso i wstyd.

- Słuchaj no pan, panie Kazimierzu, czy jak tam... - szepnęłam do niego, zapierając się w drzwiach limuzyny. - Nie moglibyśmy pojechać na te zakupy tramwajem albo czymś innym, normalnym? I w ogóle, czy nie mógłby się pan ubrać jak człowiek?

Kazimierz spojrzał na mnie z góry z jakimś dziwnym błyskiem w oczach.

- Nie - odparł zdawkowo i otworzył drzwi jeszcze szerzej.

Chcąc nie chcąc, usadowiłam się w środku, a czułam się jak totalna idiotka. Z tym, że teraz podwójnie.

- Dokąd życzy pani sobie pojechać? - spytał szofer, manewrując zręcznie swoją kolubryną w sporym ruchu ulicznym.

- Nie wiem - mruknełam ponuro. - Izydor mówił, że jest pan spolegliwy i wszytkowiedzący.

- Na imię mam Kazimierz i tak proszę się do mnie zwracać - oznajmił, nie komentując pozostałej części mojej wypowiedzi.

Samochód zatrzymał się na parkingu wielkiego centrum handlowego. Kazimierz obszedł go dookoła i otworzył mi drzwi. Postanowiłam się do niego nie odzywać. Czułam się mocno urażona takim traktowaniem. Uniosłam więc wysoko głowę i ruszyłam przed siebie. Spacerowałam od sklepu do sklepu, oglądając pobieżnie prezentowane na wieszakach i manekinach ciuchy. Do tej pory raczej rzadko zdarzało mi się poszaleć w takich salonach, no, chyba że tatuś miał fart. Teraz, kiedy mogłam pozwolić sobie dosłownie na wszystko, ten wygalowany, łązący za mną krok w krok kierowca psuł mi swoim nachalstwem całą frajdę. No więc chodziłam, oglądałam, czasem brałam coś do ręki, po czym odkładałam na miejsce.

- Czy pani niczego nie raczy nabyć? - spytał szofer gdzieś około południa.

- Obawiam się, że nie raczę! - odparłam wyniośle.

- O? A dlaczego? - zdziwił się uprzejmie.

- Gdyż w niczym nie zagustowałam!

- Czy mamy wobec tego zmienić sklep? Może zechce się pani udać do galerii?

- Nie!!!

- A może...

- Nie! - przerwałam mu chłodno. - Możemy już wracać.

- No to pan Izydor się zmartwi - zasepił się Kazimierz. - Liczył na to, że zrobi pani jakieś... satysfakcjonujące sprawunki. I spędzi miło czas.

- No to się zmartwi - mruknełam i ruszyłam ku wyjściu.

Nie podobał mi się ten szofer. Zdecydowanie mi się nie podobał. Przez całą drogę powrotną obserwowałam go kątem oka i rosnęło we mnie przekonanie, że nie jest on tym, za kogo chciałby uchodzić. Czyli zwykłym, ludzkim szoferem... A kiedy parkował auto przed hotelem, byłam już niemal pewna, że jest człowiekiem Mafioza. Albo wręcz samym Mafiozem. Wysiadłam więc bez jednego słowa i udałam się na górę, do apartamentu Izydora. Na szczęście zdążył już wrócić.

- Och, jak to miło cię widzieć! - ucieszył się na mój widok. - Ja się spodziewałem, że ty będziesz zakupać do wieczora!

- Do wieczora? - zdziwiłam się.

- Ano, bo wy, niewiasty macie taki... interes. Pokażesz mi go?

- Cccc...ooo? - Zmroziło mnie na karku. - Co mam pokazać?

- Przyodziewek. Co ty go kupiła.

- Ach - westchnęłam z ulgą. - Niestety, nic nie kupiłam.

Izydor spojrział na mnie wielkimi, wytrzeszczonymi oczami.

- Jakże to? Nic a nic?

- Nic a nic.

Po chwili widocznego namysłu Izydor podszedł do mnie i ucałował mnie w rękę.

- Ja dobrze wybrałem. O, jestem pewien na mur z betonu, że trafiłem wprost do samego sedna! I niech sobie Żaneta mówi, co chce, ja to wiem i basta!

- To znaczy?

- Oj, ja to wiem, ja to wiem... - Uśmiechnął się tajemniczo.

Ale ja nie wiedziałam. Ani tego, co on wiedział, ani tego, co planuje względem mnie, ani w ogóle nic już nie wiedziałam. Świadoma byłam tylko jednego: że skoro sama wpakowałam się w to piwo, muszę je teraz wypić. Zła na siebie i na cały świat rozsiadłam się przed ogromnym, plazmowym telewizorem. Bo przecież, jakby nie było, mój plan się powiodł! Izydor wybecalował kasę na okup. Forsa spoczywała na koncie tatusia i czekała spokojnie na wizytę Mafioza. Koniec, kropka, finito bambuczito. Tylko że... łyso mi jakoś było wywinąć się teraz z tego interesu. Nie wiem czemu, ale czułabym się wówczas, jakbym tę kasę Izydorowi ukradła... I choć nie mogę powiedzieć, abym obecnie czuła się lepiej, to z całą pewnością nie czułam się tak, jak mogłabym się czuć, gdybym mu związała... Chyba byłam po prostu w sytuacji bez wyjścia. Na domiar złego Izydor okazał się całkiem sympatycznym staruszką, był czuły, dobry, hojny i zapatrzony we mnie jak w bóstwo. Szkoda. Bo gdyby na ten przykład wylazła z niego jakaś ostatnia chamota, ani bym się za nim obejrzała! Uciekłabym z czystą krwią i zimnym sumieniem. Ale skoro było, jak było, formalnie nie mogłam. Uznałam więc, że czas mi się powoli godzić z faktem, iż niedługo zostanę panią Izydoro-wą, z całym, wynikającym z tego bagażem praw i obowiązków...

Po obiedzie mój narzeczony znów gdzieś wyjechał, zostawiając mnie całkiem samą. Zadzwoiłam do tatusia.

- Wpłynęła ci kasa? - spytałam bez zbędnych ceregieli.

- Tak! - potwierdził radośnie. - Córuś, jesteś... niezawodna! Jak to zrobiłaś?

- Izydor mi dał - odparłam kwaśno. - Ale mu o tym nie mów, jakby co.

- To on nie wie, że ci dał? - zdziwił się tatuś.

- Wie, ale nie wie komu i na co. Na wszelki wypadek, gdybyście się spotkali, omijaj ten temat szerokim łukiem. Okej?

- Okej.

- Rozliczyłeś się z Mafiozem?

W słuchawce zapanowała niezręczna cisza.

- Nie rozliczyłeś się???

- Bo widzisz... córuś...

- Tato!? - wrzasnęłam bez opamiętania. - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że znowu przerznięłaś całą kasę?

- Nie, ależ skądże, nie - zaprzeczył szybko i gorliwie. - Po prostu on się już więcej nie pokazał. A ja nie wiem, jak go szukać.

- Ale on wie, gdzie szukać ciebie.

- No... niezupełnie...

- Bo?!

- Bo ja się muszę teraz... jak gdyby... ukrywać.

- Na miłość boską, tatuś, nie słab mnie, dobrze? O co znowu chodzi?

- O co chodzi? - Tata ożywił się znienacka. - To może ty powiesz mnie, o co chodzi? Teraz płacze mi się tutaj ta twoja ochrona i twierdzi, że jestem im winien za straty moralne! Podliczyli mnie na osiem i pół patyka!

- To im daj! Na koncie masz tyle, że wystarczy dla wszystkich oprychów i krwiopijców.

- Ale... cóżeś ty im zrobiła, dziecko moje? - wyjęczał tatuś. - Bo przecież między Bogiem a prawdą oni cię do tego Gdańska nie dowieźli, tak? Bo ktoś im cię porwał sprzed nosów?

- No... Taaak... - potwierdziłam ostrożnie, nie chcąc się wdawać w zbyt skomplikowane dla tatusia szczegóły.

- W takim razie gównem im dam!

- A ja ci mówię, daj im, czego chcą - poradziłam dobrodusznie.

- O, nie! Ten dodatkowy szmalec to ja bardzo ładnie zainwestuję. Zobaczysz!

- Rób sobie, co chcesz - zeżliłam się. - Tylko potem mi nie mów, że ci nie mówiłam!

- No dobra, ale ja tu tylko o sobie jak ostatni samolub, a jak tam twój narzeczony? - Tatuś obcesowo zmienił temat.

- Ujdzie. Sympatyczny nawet.

- I widzisz? Wszystko się jeszcze ułoży, zobaczysz. Niedługo będziemy szczęśliwi, jak nie wiem co!

- No, ja też nie wiem. Tak czy inaczej, trzymaj się tatuś, nie ma wyjścia!

- Ty też się trzymaj, córeczko. I daj znać, kiedy ślub!

- No właśnie - mruknęłam pod nosem, rzucając się na tapczan. - Dziś się chyba w końcu dowiem...

Czekałam na Izydora, napędzając się niechcący coraz bardziej czarnymi myślami. Bo w ogólnym bilansie strat i zysków tych drugich jakby było coraz mniej... Dług jak był, tak jest, teraz nawet jeszcze większy. Morderczy inwentarz uganiający się za tatusiem pomnożył się o trzy sztuki. A ja... wciąż byłam panną na niepożądany wydaniu, przy czym teraz nie bardzo wiadomo, w imię czego...

Dochodziła północ, a mój narzeczony wciąż nie wracał. Wyjrzałam przez okno. Na parking trwał jeszcze spory ruch, ale granatowej limuzyny nigdzie nie było. Nagle dostrzegłam na podjeździe samochód, który już gdzieś widziałam... Niewielki, srebrny i dziwaczny. Właśnie miałam zacząć łamać sobie głowę, gdzie i kiedy się z czymś takim zetknęłam, kiedy z jego wnętrza wyłonił się facet... w czarnym, skórzanym płaszczu! I jak babcię drypcię, nie wiem, jak to zrobił, ale ani przez moment nie zobaczyłam go od frontu...

- Jasna cholera! - zakląłam pod nosem, czując, jak podłoga ugina mi się pod stopami.

W chwilę potem rozległo się pukanie do drzwi.

- Niedoczekanie twoje! - warknęłam, tocząc przed sobą stylową komodę celem stworzenia dodatkowej barykady.

Pukanie nie ustawało, przeciwnie, było coraz bardziej natarczywe. Już prawie dopchnęłam mebel do celu, kiedy drzwi otworzyły się same z siebie. Serce podeszło mi do gardła.

- Przepraszam, że tak wtargam, ale... - Izydor stanął na środku pokoju i rozejrzał się ciekawie - ale... niepokoiłem się niewiele, bo ty nie rozwierała - dokończył. - Stało się co? Umeblowanie cię nie kontentuje?

- Ależ nie, konten...tttuje, jak najbardziej - odparłam z ulgą. - Zaraz zapcham to na miejsce. - Wskazałam na komodę.

Izydor spojrzał na mnie z troską w oczach i tak jak stał, w długim wełnianym płaszczu i rękawiczkach, przysiadł na wytaszczonej przeze mnie meblu.

- Ty jesteś groźna, prawda? - zapytał.

- Ccc... co?

- No, masz lęki jakie?

- Nie, skąd? Czego miałabym się lękać? - Roześmiałam się sztucznie, bo przecież nie mogłam opowiedzieć mu o Mafiozie i związanych z nim machlojkach.

- Czy ktoś ciebie nachodził na pokojach? - drążył.

- Nie, nikt mnie nie nachodził! Tylko ktoś pukał i ja... na wszelki wypadek postanowiłam się zabezpieczyć.

- Moja ty biedaczyno. - Izydor przytulił mnie i pogładził po głowie. - Jeszcze parę dni i już nigdy nic nie będziesz się bała! Moje słowo ci daję!

- Tak? - Spojrzałam na niego niepewnie.

- Tak! To miała być eee... suprajz, ale rzeknę. Sposobię dla nas domostwo! Stare moje, rodzinne, ale ono pilnej odnowy wymagało. Tam ty będzie zupełnie niegroźna. Zobaczysz.

Przy kolacji pociągnęłam jeszcze temat „domostwa”, licząc na to, że dowiem się przy okazji czegoś więcej. Na przykład, kiedy odbędzie się nasz ślub...

- To jest dom trochę całkiem duży, ale bardzo niebrzydki - uśmiechnął się Izydor z zadowoleniem. - Wkoło wiele zieleniny porasta. On stoi na wsi, na czystym powietrzu i na dobrej przyrodzie. Podoba ci się, zobaczysz!

- Bardzo się cieszę. Już się nie mogę doczekać, kiedy zobaczę to cudowne miejsce!

- O tak, akuratnie ty powiadasz: cudowne miejsce!

- I... tam odbędzie się nasz ślub? - spytałam niemal z grubej rury.

- Tam - potwierdził Izydor z powagą. - Tam też kościół bardzo ładny jest, gotykowy. Nieduży i taki... taki... mizerny.

- To pięknie. A kiedy ten ślub?

- Za miesiąc. Uprzednio nie da się. Rada mu jesteś?

- Pewnie, że oczywiście - odparłam wymijająco.

- Widzisz i jeszcze jedna jest taka sprawa, co ci rzeknąć muszę - zaczął Izydor ostrożnie, a ja zamieniłam się w słuch. - Ty nie brzydz się moich pieniędzy wydawać, jak ja proszę. Ja z otwartego serca proszę. To nie żaden wstyd dla ciebie, my już jak familia jedna jesteśmy... Pojmujesz mnie?

- Tak...

- Więc weź sobie jutro Kazimierza, pojedź, gdzie mu każesz, i kup, co zechcesz. Ja nie chcę widzieć ciebie z gołymi rękami!

- Dobrze - obiecałam i aż ciarki mnie przeszły ze zgrozy, gdy pomyślałam, że mam się tak własnowolnie włóczyć po mieście sam na sam z domniemanym złoczyńcą.

•

Izydor wyszedł zaraz po śniadaniu, „ażeby doglądać prac na domostwie”. Przedtem wydał jeszcze szoferowi telefoniczną dyspozycję, by ten był gotowy do wyjazdu o wpół do dziesiątej. Kiedy Kazimierz o wyznaczonej godzinie zjawił się pod moimi drzwiami, miałam ochotę wyskoczyć z siebie i uciec, pozostawiając na progu cielesną powłokę dla zmylenia pogoni.

- Przepraszam, czy coś się pani stało? - spytał jak zwykle z chłodną uprzejmością.

- Nie, nic mi się nie stało - odparłam w podobnym tonie.

Przecież nie mogłam dać znać po sobie, że przeraża mnie jego... płaszcz z czarnej skóry! I w ogóle, nic nie mogłam. Bo niby z jakiego normalnego powodu miałabym odmówić wyjazdu na te zakupy? Albo zatrzaskać mu drzwi przed nosem? Albo... rąbnąć go w łeb błękitnym,

porcelanowym wazonem? Nie, nie mogłam zrobić nic, co dałoby się racjonalnie wytłumaczyć Izydorowi...

- Jedną chwileczkę - oznajmiłam godnie i wróciłam po wazon.

Niestety, nie zmieścił mi się do torebki. Po krótkim namyśle zamieniłam go na nieco mniejszą, ale cięższą kryształową karafkę.

- Możemy jechać! - zadysponowałam.

- Dokąd sobie pani dzisiaj życzy?

- Tam gdzie wczoraj.

- Ale wczoraj... nic się pani nie spodobało.

- Nie szkodzi. Może dzisiaj będą inne ciuchy. Albo ja będę miała inny gust.

Kazimierz spojrział na mnie z zainteresowaniem. W zasadzie miałam w nosie, co sobie pomyślał. Chciałam zrobić wreszcie te cholerne zakupy, choćbym miała brać jak leci, żeby mieć już je z głowy. Oczywiście, o ile uda mi się tę głowę dowieźć z powrotem... Centrum handlowe, jak sądziłam, dawało mi na to pewną gwarancję ze względu na lokalizację i duże zagęszczenie klientów. Ale szofer nie jechał w stronę centrum handlowego... Przez chwilę kluczył między starymi, obstrupiałymi kamienicami, a potem zatrzymał wóz w podejrzanym zaułku.

Trudno - pomyślałam. On mnie tu teraz zarzeza, ale to też jest w końcu jakieś wyjście z mojej skomplikowanej sytuacji... Już się prawie pogodziłam z tą myślą, przywołując na osłodę beztroskie wspomnienia z dzieciństwa, kiedy nagle stało się coś niepojętego. Kazimierz wyskoczył z limuzyny i rzucił z siebie koszmarny płaszcz. Pod spodem miał zwyczajne dżinsy i jasną, cywilną kurtkę.

- Według życzeń! - oznajmił, uchylając drzwi. - Tramwaju, niestety, nie posiadam, ale jeśli wczoraj mówiła pani serio, na wszelki wypadek ubrałem się jak człowiek.

- Boże jedyny! - jęknęłam, nie wierząc oczom ani uszom.

- Ale mam też uniform, gdyby zmieniła pani zdanie - dodał pośpieszenie.

- Nie, tak jest dużo lepiej - szepnęłam, zrzucając z piersi stukilowy ciężar.

Kazimierz, jak na moje oko chyba poczuł się podobnie. Wskoczył rażno za kierownicę i ruszył z powrotem w stronę cywilizowanego kawałka miasta.

- Dawno pan... dawno pracujesz u Izydora? - spytałam ośmielona jego ludzkim wyglądem.

- Będzie... z siedemnaście lat! Dawniej jeździłem na pekaesie, ale potem ruszyłem w świat za chlebem i taka fucha mi się trafiła. U rodaka.

- W świat, czyli gdzie?

- To pani nie wie? Do Ameryki. To stamtąd pan Chlebobierski postanowił wrócić do starego kraju. A ja razem z nim. Praca ta sama, płaca ta sama i w dodatku wśród swoich. Życ, nie umierać!

- Czemu postanowił wrócić? Źle mu tam było?

- E, nie! Było mu bardzo dobrze. To znaczy, materialnie. Tylko rodzina, że tak powiem, zaczęła mu się rozłazić. Bo widzi pani, rodzice Izydora wyjechali z Polski zaraz po wojnie, kiedy w kraju zaczęli panoszyć się komuniści. Zabrali z sobą tyle, ile dało się ukryć za pazuchą, i pognali przed siebie. Po prostu nie mieli innego wyjścia. Izydor był wówczas małym dzieckiem i wszystko, co dziś wie o ojczyźnie, zostało mu wpojone przez nich, gorących patriotów. Dla niego Polska to raj, to świętość. Dlatego przez cały czas towarzyszył mu jakiś niepokój, jakiś pęd do tego kraju, ale ciągle coś go zatrzymywało: a to interesy, a to syn, to znów pani Żaneta. I wreszcie teraz, jak mu się rodzina zaczęła rozłazić, postanowił spędzić wszystkich do Polski w obawie, żeby kolejne pokolenie Chlebobierskich nie zakotwiczyło na stałe w Ameryce.

- Jakie... pokolenie???

- No, następne. - Kazimierz wzruszył ramionami i zatrzymał samochód. - Jesteśmy na miejscu - oznajmił, otwierając mi drzwi.

Podreptałam za nim bezmyślnie, postanawiając nie pytać już o nic, żeby nie wyjść na taką, która wychodzi za mąż całkiem w ciemno, dla samych pieniędzy.

Dziś, kiedy Kazimierz wyglądał i zachowywał się zupełnie normalnie, mogłam znacznie lepiej skupić się na wybieraniu garderoby. Dzięki temu już w pierwszym sklepie kupiłam trzy sukienki i apaszkę. Zaraz potem wpadły mi w ręce prześliczna bluzka, dwie torebki i para eleganckich czółenek.

- Miły ten Izydor, prawda? - Nie wytrzymałam długo w swoim postanowieniu.

Ale to nie było przecież pytanie. Raczej podpucha.

- O, tak! - potwierdził z zapałem Kazimierz. - Bardzo miły. I w ogóle dobry człowiek. Uczciwy, wyrozumiały.

- A dlaczego ci każe chodzić w takich głupich liberiach?

- Nie on. Pani Żaneta jest taka wrażliwa na punkcie form. U niej nie ma uprosć! No to pomyślałem sobie, że pani też pewnie będzie... Ale dzięki Bogu, że nie. Więc aż do jej przyjazdu mogę wyglądać... jak człowiek! - Roześmiał się swobodnie.

- Pani Żaneta? A kto to jest? - odpuściłam sobie dyskrecję na całego.

To samo imię wymienił wczoraj Izydor, ale jego nie śmiałam zapytać. Kazimierz spojrział na mnie jak na niedorozwiniętą.

- Pani Żaneta jest żoną pana Izydora. Panią Chlebobierską.

- Wychodzimy - wyszeptałam zduszonym głosem i nie oglądając się za siebie, pocałowałam naprzód.

Pod koniec tej marszruty roztelepane nogi odmówiły mi posłuszeństwa i oklapłam ciężko na drewnianej ławeczce pod wielką, sztuczną brzozą.

- A ja? W jakim charakterze tu jestem? - spytałam sadowiącego się obok mnie szofera.

- W charakterze synowej, oczywiście - odparł z niemałym szokiem w oczach.

- Sy... no...wej???

- No tak. Z tego, co mi wiadomo, jest pani narzeczoną syna pana Izydora. Ale teraz sam już nie wiem... Może coś źle zrozumiałem?

Szok w oczach Kazimierza ustępował powoli pełnemu grozy zdumieniu.

- Wiesz co? - Poderwałam się z ławki.

- Tak? - spytał niepewnie.

- Wracamy! Chyba muszę kupić jeszcze kilka ciuchów.

•

W tym jednym momencie mój świat zyskał całkiem nową perspektywę. Młody Chlebobierski, z tego, co zdołałam wyciągnąć od Kazimierza, miał dwadzieścia parę lat i był podobny do ojca. Nie miał więc innego wyjścia, musiał być przystojny! Izydor jeszcze dziś przecież nosił ślady niewątpliwej męskiej urody, choć nieco przywędłej i pomarszczonej.

Jeszcze do wczoraj pespektywa ślubu była dla mnie nad wyraz przykra, teraz stała się pożywką dla rozpasanej kobiecej wyobraźni. Gryzła mnie tylko jedna, jedyna wątpliwość: czy ja spodobam się jemu?

Zaraz po powrocie z zakupów spróbowałam sobie na nią odpowiedzieć, stając przed lustrem w rozmaitych kombinacjach nabytych licznie ciuchów. I chyba nie miałam się czego obawiać. Urodę na szczęście w dużej mierze odziedziczyłam po zmarłej matce, która według słów tatusia była wprost powalająco piękną kobietą. Nie byłam pewna, czy jestem piękna powalająco, w każdym razie moja figura, bujne, jasne włosy, błękitne oczy i pełne, kształtne usta od dziecka zapewniały mi przychylność ludzką, nieco później natomiast już wyłącznie męską, przy lepsz lub gorzej skrywanej niechęci ze strony babskiej połowy świata...

Na powrót Izydora wystroiłam się w długą, połyskliwą suknię w kolorze czerwonego wina i zwiewny jak mgiełka szal barwy o ton ciemniejszej. Upięłam również włosy i zrobiłam bardzo delikatny makijaż.

Staruszek o mało udarem nie przypłacił tego mojego gestu dobrej woli.

- O Panie Chrystusie jeden! - wykrzyknął na mój widok i raczej wbrew sobie usiadł z impetem w fotelu.

- Nie podobam ci się? - spytałam z przejęciem.

- Ależ nie, jesteś... Taka *beautiful*! Przecudna! Prze... uro... dziwa...

- Więc dlaczego płaczesz? - spytałam, dostrzegając z przerażeniem cieknące mu po policzkach łzy.

- Bo... Coś mnie się... Przypomniałaś. Ale nic. To żadna sprawa już. Dawno było...

- Ale... co? - spytałam zmieszana.

- Mniejsza z tego. Nieważne! Pójdź tu do mnie. - Izydor wyciągnął przed siebie drżące dłonie i okręcił mnie dookoła. - Przepiękna uroda! Przecudnie piękny *look*!

Uśmiechnęłam się skromnie i obróciłam jeszcze raz.

- Jutro przeprowadzamy się - oznajmił triumfalnie. - Na starego, dobrego hausa!

- Już jutro?

- A to dobra wiedza dla ciebie, albo zła? - spytał przekornie.

- Bardzo dobra! Świetna! - wykrzyknęłam w euforii, rzucając się staruszkowi na szyję.

- Ja przyślę ci dziewczkę do zapakowania i zaraz *morning* wyruszamy do domu! A naonczas pójdziemy na tańce. Muszę cię przecież pokazać na świat!

•

Wieczorem Izydor zaprosił mnie do eleganckiej, hotelowej restauracji, w której wystrojeni jak pingwiny czterej faceci pobrzękiwali smętne bluesy, a jakaś sklejona z sobą para kiwała się płynnie na boki. W lokalu panował senny półmrok, kelnerzy uwijali się cichutko, a siedzący przy stolikach goście prowadzili bezdźwięczne dialogi. Izydor od razu złapał za kartę menu i nazamawiał tyle, że stół omal się nie ugiął na i tak już krzywych nogach. Po kilku podobnych kolacjach w jego towarzystwie tak wykwintne i wyszukane potrawy nie robiły już na mnie szczególnego wrażenia. Jadłam więc powoli i z dystynkcją, przepijając małymi łydkami wytrawnego wina. Wyobrażałam sobie, że odtąd tak właśnie będzie wyglądało moje zwyczajne życie u boku o wiele młodszej wersji towarzyszącego mi dziś mężczyzny...

- Ty nie smakujesz? - Izydor wpadł mi w początek niezłe zapowiadającej się wizji.

- A, nie! Smakuję, jak najbardziej! To znaczy... wszystko mi smakuje.

- Może w takim razie nie gustuje tobie lokal? Ty podjarana jakaś jesteś, kiedy ja widzę...

- Pod... jarana? - Spojrzałam na niego w roztargnieniu.

- Coś niedobrze ja mówię? - Zaniepokoił się. - Ty unerwiona mocno, ja chciałem rzec.

- Skądże, wszystko jest w porządku, zamyśliłam się tylko trochę.

Izydor najwyraźniej chętnie uczył się języka ojczystego, ale ten przedwojenny, który wpoili mu rodzice, w pomieszaniu ze slangiem zasłyszonym w kraju, dawał czasem zaskakujące efekty.

- O czym ty zamyśliłaś, gdy można słyszeć?

- O tym, że już niedługo całe moje życie się odmieni.

- Czy tobie to zadaje męki? - Izydor spojrzał na mnie z troską.

- Nie, raczej... zdumiewa. Bo jeszcze całkiem niedawno na myśl by mi nie przyszło, że tak prędko zostanę mężatką, że opuszczę tatusia, dom, rodzinne miasto...

- A rodzicielka? Jak ja mogę zapytać, *of course*.

- Moja mama zmarła, jak miałam półtora roku. Od tej pory zostaliśmy sami. Tata już się nie ożenił, poświęcił się mojemu wychowaniu.

- Och, to bardzo silny osobnik musi być ten twój tata. - Izydor westchnął w zadumie. - Silny i oparty.

- Uparty? - Sprecyzowałam.

- Nie. Umiący się... oprzeć.

- To znaczy?

- Ja też... kiedyś utraciłem żonę, bardzo dobrą i piękną, co mnie obumarła za młodu. Ale nie umiałem się oprzeć i wdałem się w drugie małżeństwo z damą, równie... e... piękną. - Izydor westchnął, po czym uklonił mi się z galanterią. - Ale dość na tem. Zatańczymy?

W zasadzie chętnie posłuchałabym dalej tej historii, ale skoro Izydor nie chciał więcej powiedzieć, podałam mu rękę i wyszliśmy na parkiet. Przez chwilę kiwaliśmy się w rytmie bluesa, ale widać nie bardzo to starszkowi odpowiadało, bo przeprosił mnie na moment i poszedł do „orkiestrmajstra”. Zaraz potem grajkowie wycięli jurnego rock and rolla, wskutek czego Izydorowi natychmiast ubyło co najmniej pół wieku. Jedną ręką złapał mnie w pasie, drugą obrócił dookoła i ruszyliśmy w tany. Zawsze uważałam, że mam świetne wyczucie rytmu i wystarczy mi tylko złapać wątek, a zatańczę każdy taniec. Teraz jednak trudno było mi za moim partnerem nadążyć: osobno szalały jego nogi, osobno ręce, osobno korpus. Ale kiedy tylko udało mi się odkryć pewną prawidłowość tego szatańskiego układu, poszliśmy jak burza! Po chwili dołączyły do nas inne pary i na półmartwej dotychczas sali zapanował istny młyn. Sztywni kelnerzy chyłkiem przemykali pomiędzy stołami, własną pierśią zasłaniając noszone potrawy i napoje, taneczne rozpasanie rozprzestrzeniało się bowiem na każdy wolny metr podłogi.

- Ale... zadałeś... czadu... - wydyszałam Izydorowi wprost do ucha.

Staruszek najwyraźniej potraktował moje słowa jak osobisty komplement i zaczął mną wywijać ze zdwojoną energią. Skapitulowałam pierwsza. Pokazałam mu na migi, że mam już dość i muszę usiąść. Wychyliłam duszkiem dwa kieliszki wina, po czym nie nadawałam się już do niczego. Owszem, mogłabym trochę pogadać, a jeszcze lepiej posłuchać, najchętniej czegokolwiek o moim przyszłym małżonku, ale na ten temat Izydor nie puścił pary z ust. Trochę mnie to dziwiło, ale w końcu już niedługo miałam go zobaczyć i poznać osobiście. A skoro tak, nie

naciskałam. Poczułam się za to okrutnie zmęczona, co chyba było widać i słyszać, gdyż Izydor ogłosił niezwłoczny koniec imprezy.

Do pokoju weszłam na ostatnich nogach i już od drzwi zaczęłam rzucać z siebie odzienie. Począwszy od pantofli na koszmarnie wysokim obcasie. Nagle gdzieś w kącie pokoju rozległ się wysoki i przeraźliwy pisk, do którego nie wiedzieć jak i kiedy dołączył mój własny. Zapaliłam światło i zastygłam jak słup telegraficzny. Oto przed toaletką siedziała jakaś obca dziewczucha, najprawdopodobniej spacyfikowana moim czółenkiem i darła się wniebogłosy. Miała na sobie... moją najlepszą nową suknię, moje pantofle i moją torebkę pod pachą!

- No, Kopciuszku, po balu! Północ minęła, pora zmienić szaty! - wrzasnęłam groźnie. - A w ogóle, coś ty za jedna? He?

Dziewczyna zerwała się na równe nogi, jakby chciała uciekać, zrobiła to jednak tak nieszczęśliwie, że delikatny, szafirowy materiał opięty do granic możliwości na jej obfitym zadku strzelił dokładnie na środku, jak błyskawica przesywająca na pół granat burzowego nieba. Na to wszystko amatorka cudzej garderoby zaniósła się niepohamowanym szlochem, przerywanym jakimś niezrozumiałymi wyrazami.

- Przep... Bo ja... Ejććć!!! Bo... Ojeje, bo... ojeje, ojejeju, ała!!!!

- Cicho!!! - Potrząsnęłam nią mocno. - Proszę natychmiast przestać biadolić i powiedzieć, kim się jest, co się robi u mnie w pokoju i dlaczego jest się w moich ciuchach?! - zażądałam kategorycznie.

Dziewucha wyciszała się powoli i stopniowo, a kiedy już zupełnie ucichła, a jej ciałem przestały wstrząsać niekontrolowane drgawki, wybałuszyła na mnie oczy i otworzyła szeroko usta.

- Bo ja... Pracuję u pana Izydora i on mnie tu przysłał, żebym spakowała pani rzeczy. Ale... Ale to było takie pięęęęęękne! - Rozdarła się od nowa. - I... i... nie mogłam się oprzeeeeć. Ja wiem, że źle zrobiłam i że mnie pani wyrzuci. I że nie powinnam o nic prosić, bo to byłaby bezczelność. Ale... proszęęęęę!!!

Dziewucha przypadła gwałtownie do moich nóg i zaczęła całować mnie po rękach. Przy okazji spostrzegłam, że nie była aż tak młoda, jak mi się zdawało.

- Proszę, niech pani mnie nie wyrzuci przed świętami! A potem niech mnie pani wyleje na zbitą twarz. Zasłużyłam! Proszęęęę!!!!

- Ej! Wstawaj kobieto i nie jazgocz po nocy, bo ludzie śpią! - Spróbowałam unieść ją z klęczek, ale ona była przyczepiona do mnie jak kleszcz. - Albo wstajesz, albo cię maznę! - zaproponowałam polubownie.

Dziewucha podniosła się z dużymi oporami, po czym stanęła naprzeciw mnie i zgięła się w pól.

- Skoro ci się tak bardzo spodobała moja sukienka, to weź ją sobie. Może jakoś da się to pozszywać. I szoruj do siebie, czy gdzie cię tam Izydor ulokował. Dobranoc!

- Jak to? - Uniosła głowę z niedowierzaniem.

- Tak to. Tylko już nie wyj, bo mi się słabo robi. Zmęczona jestem.

- Potrąci mi pani za nią z pensji, tak?

- Nie.

- Ojej! I... mogę zostać do świąt?

- Możesz zostać w ogóle.

Na wszelki wypadek odsunęłam się kilka kroków w tył, spodziewając się kolejnego aktu fizycznej wylewności. Ale dziewczucha się nie poruszyła, nie mrugnęła nawet jedną powieką. I nie powiedziała ani słowa. Zwyczajnie, zastygła w żywy kamień. Nie bardzo wiedząc, co z tym fantem zrobić, po chwili namysłu zaszłam ją od tyłu i delikatnie wypchnęłam za drzwi.

•

- Proszę pani, proszę pani! - usłyszałam to jakby gdzieś z daleka, po czym coś delikatnie szarpnęło mnie za ramię. - Pan Izydor nagli, żeby już wstać! Samochody podjechały!

Usiadłam półprzytomna na łóżku i pierwsze, na czym oparłam swój mętny wzrok, było dziewczuchą, którą zastałam wieczorem w swoim pokoju.

- Ale o co chodzi? - spytałam niemrawo.

- No bo to dziś wyjeżdżamy do Bogusława, nie pamięta pani? Wszystko już przygotowane. Kazano mi panią obudzić i sprowadzić na dół.

- Zaraz! Kto to jest ten Bogusław? I czemu taki raban robi bladym świtem? Stało mu się coś, czy zapaliło?

- Bogusław to jest rodzinna wieś pana Izydora, proszę pani. - Dziewucha jednym obmierzłym gestem rozsunęła zasłony. - Dziś przeprowadzka. I w ogóle, bardzo przepraszam, za to co powiem, ale jest już kwadrans po dwunastej.

- Jezu! - Wyskoczyłam z łóżka na równe nogi. - Czemu nikt mnie wcześniej nie obudził?

- Ja zachodziłam, proszę pani, ale pani tak smacznie spała, że nie miałam sumienia. Myślę, że szybko to nadrobimy. Ja spakuję rzeczy, pani w tym czasie weźmie kąpiel, a śniadanie... to już chyba będzie na miejscu.

- Nie trzeba, już wszystko spakowałam.

Dziewucha obejrzała krytycznie przytachane wczoraj nesesery.

- Wobec tego trochę poprawię. Bardzo pani głodna? Może ja przyniosę coś szybciotko z kawiarni... Chociażby kawę i ciastko?

- Nie!!! Jakoś przeżyję. I nie paniuj mi tu co drugie słowo. Luiza jestem.

- Oj, nie, proszę pani! Absolutnie, w żadnym przypadku... Ja Amanda jestem i tak proszę na mnie wołać. Ale pani, to pani! A do pani nie można, ot, tak, jak do bądź kogo...

Machnęłam niecierpliwie ręką i zaszyłam się w łazience, zostawiając Amandę z jej nadgorliwym poczuciem obowiązku i dobrych manier. Chłodna kąpiel szybko przywróciła mnie do rzeczywistości. A zatem to dziś... Dziś będzie wstęp do nowego rozdziału mojego życia, w nowym otoczeniu, w nowym domu... Przeprowadzka. A potem ślub, może wcześniej jakieś zaręczyny, a jeszcze później jakieś dzieci. I wszystko w tak zawrotnym tempie! Właściwie powinnam być pełna obaw, ale z drugiej strony, to nieznanne, które rysowało się przede mną, było takie kuszące... A że nieznanne? W końcu uczciwa, wieloletnia znajomość partnera wcale nie gwarantuje wspólnego dożywania, na to nie ma reguły. Nie gwarantuje niczego. A ja mam przynajmniej już teraz zapewniony solidny byt materialny, sporą szansę na sensownego małżonka i mocne wsparcie w przyszłym teściu. To bardzo dużo, jak na życiowy start. Tylko ten mój luby... Byłam go tak strasznie ciekawa, że czasem chciało mi się krzyknąć z niecierpliwości...

Opuszczałam łazienkę z twardym postanowieniem, że jeszcze dziś zapytam o niego Izydora.

- Idziemy, proszę pani? - Amanda czekała już na mnie spakowana do ostatniej wsuwki do włosów. - Pan Izydor się pewnie już nie może doczekać.

- E, tam. Bogusław nie zajac, nie ucieknie - odparłam filozoficznie i przemocą wyrwałam dziewczusze z rąk połowę bagażu.

Okazało się, że chyba jednak zajac. Izydor, zazwyczaj tak spokojny i opanowany, krążył nerwowo dookoła limuzyny, a jego blade zwykle oblicze zdobił niepokojący pąs.

- O, jesteś, moje dziecko! - rozradował się na mój widok. - Jedźmy więc prędko! Auta z dobytkiem ja już posłałem precz. Niechajże najemne dziewczki wypróżnią je zawczasu!

- To on trzymał w hotelu całe umeblowanie? - spytałam Amandę szeptem.

- Ale skąd! Tylko swoją podręczną garderobę.

- Aha - przyjęłam do wiadomości i zajęłam miejsce w samochodzie.

Bogusław położony był jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Gdańska na południowy wschód. Wiodły do niego głównie podrzędne, mało uczęszczane trakty i podłe, leśne drogi. Ale takie właśnie widoki były prawdopodobnie jak najbardziej zgodne z wyobrażeniem Izydora o ojczyźnie. Świadczyły o tym bezbrzeżny zachwyt malujący się na jego obliczu i ciche, radosne westchnienia. Formalnie, jakby ktoś specjalnie na jego użytek zatrzymał czas...

- Już będziemy dojeżdżać - poinformował mnie w pewnym momencie z nabożną czcią. - Patrz teraz na lewy sajd, jest tam najpierw ogródek, a potem dom nasz. Patrz! Widzisz tego płota z kamieniów?

- Bardzo... piękny... - Nie byłam pewna, czy mam się zachwycać płotem, czy powinnam poczekać, aż zobaczę dom i ogródek. Ale Izydorowi było chyba wszystko jedno.

- Prawda? Prawda, że uroczysty? - Cieszył się jak dziecko.

Ogródek, jak się wkrótce okazało, był rozległym, zadrzewionym parkiem, a dom ogromnym pałacem.

- Tu jest cudownie! Przepięknie! - wykrzyknęłam całkiem spontanicznie i szczerze.

- Nieprawda że? - ucieszył się Izydor z błyskiem w oczach.

A kiedy limuzyna zajechała z chrzęstem na zwirowy podjazd, wyobraziłam sobie, że jestem Rebeką przybywającą do Manderley.

I ze wzruszenia formalnie mi mowę odjęło. Izydor patrzył we mnie jak w tęczę, urzeczony moim urzeczeniem, które było jakoby dokładnym odzwierciedleniem jego własnych uczuć.

- Oj, dobrze ja wybrałem, dobrze. - Poklepał mnie czule po dłoni. -
I niech sobie Żaneta mówi, co chce!

•

VI. Ups! A to się porobiło...

- Teraz pani będzie tu panią, prawda? - spytała rozpromieniona Amanda, układając w szafie moje rzeczy.

- W całym tym wielkim domu? E, chyba nie - odparłam z powątpiewaniem. - To dom Izydora. On jest tu panem.

- Ale jak pani wyjdzie za młodego i urodzi mu dziecko, pan Izydor zapisze wam cały majątek. Tak się mówi, w każdym razie.

- Nie wiem, Amando - westchnęłam. - Ja w ogóle mało wiem. Pan Izydor pisywał do mnie tak zawile, że ja aż do tej pory myślałam...

- Że?

- Że to jego żoną mam zostać - wyznałam ponuro.

Moje wyznanie rozbawiło Amandę do tego stopnia, że po długim i uciążliwym ataku śmiechu dostała czkawki.

- Za... euczk... pana... Izydora, euczk? A to dopiero! A co by on, euczk, z panią Żanetą zrobił? Chyba musiały ją otruć, euczk, bo po dobrej woli by się to nie odbyło! Euczk. Przepraszam. Nie powinnam tak mówić.

- Nie szkodzi. Właśnie na to liczę, że mi co nieco powiesz. Jeśli zechcesz, oczywiście.

- Ja? - Amanda rozejrzała się strachliwie dokoła. - Ja... nie powinnam, ale... Niech pani pyta, o co zechce. Bo ja dla pani wszystko! Ja normalnie, jakby pani co kazała, to dosłownie wszystko!

- Bez przesady - mruknęłam pod nosem. - Ale chciałabym przynajmniej wiedzieć, kim jest ten mój przyszły mąż, jak wygląda i w ogóle... Miałam zamiar spytać o niego Izydora, ale jakoś mi niezręcznie. Czy ty go kiedykolwiek widziałaś?

- No pewnie, nieraz! - Amanda wzruszyła ramionami. - Bo ja tu u państwa jestem, jak tylko z tej Ameryki zjechali. Będzie już... jakie sześć lat! Siedem prawie.

- To oni już tyle czasu są w kraju? - zdziwiłam się. - I kto, jeśli można wiedzieć?

- Pan Izydor, zzzz... z... e... synem. Ale oni nie mieszkają teraz razem, bo starszy pan tak różnie, to w tym hotelu, to w innym, ale głównie doglądał budowy tego domu.

- Budowy? A nie remontu? Myślałam, że to jakiś jego rodowy pałac...

- No, niby tak - przyznała niechętnie Amanda. - Tyle że ten rodowy nie był taki okazały. Wiem, proszę pani, bo miejscowa jestem. A że po tamtym został tylko fundament, to sobie pan Izydor pofolgował. Ja myślę, że ten dom po prostu rósł przez lata w jego wyobraźni. No i taki urósł właśnie...

- A ta cała... Żaneta? Nie przyjechała razem z nim?

- Nie, pani ma dojechać niebawem, jak już wszystko będzie na tip-top. To wielka dama! Ja jej nigdy nie widziałam, ale wiem od Kazimierza. - Amanda zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu. - Baaaardzo wielka dama.

- Aha. To fajnie. Ale miałaś mi opowiedzieć o moim narzeczonym - wróciłam do interesującego mnie tematu.

- Młody pan się kształci. Pan Izydor chciał, żeby studiował w ojczyźnie, no to studiuje. Dlatego rzadko tu bywa. Mieszka w Warszawie, w akademiku, a żeby więzi międzyludzkie z rodakami nawiązać.

- I? Jaki on jest? Słyszałam, że podobny do ojca?

- Podobny. I przystojny. Miły, dobrze wychowany.

- Czemu w takim razie sam nie poszukał sobie żony, tylko Izydor musiał anonse do gazet dawać?

- A, bo im wszystkim tak do żeniaczki. Pod górkę. Pan Izydor ultimatum dał, że jakby co, to sam sobie synowej poszuka. I poszukał. Bo on chce jeszcze w starym kraju wnuków doczekać. Za punkt honoru sobie wziął, żeby ród Chlebobierskich w ojczyźnie odnowić, a że już nie jest taki młody, w końcu się wściekł i wziął sprawy w swoje ręce.

- Eee... jakim wszystkim? - spytałam, bo coś mi zgrzytnęło w tej jej opowieści.

- Jakim... wszystkim? - Amanda zamrugła głupio oczami.

- Powiedziałaś, że im wszystkim do żeniaczki pod górkę.

- Ja?

- No.

- To znaczy... młodemu panu Chlebobierskiemu. Tak chciałam powiedzieć. Że pod górkę.

- A co on na to? Na taką żonę z woli ojca?

- Nie wiem. Nic chyba, skoro plany są już tak daleko posunięte. Pewnie jest za.

- Aha.

- No to ja już powiedziałam wszystko, o co pani pytała. Ale jakby co, to pani wie, że ja dla pani...

- Wiem - wpadłam jej w słowo, nie chcąc już słyszeć tych żenujących deklaracji.

- Bo pani taka ludzka dla mnie, taka dobra... - parła dalej, niezrażona. - Gdzie ja bym taką drugą robotę dostała, gdyby mnie pani wyrzuciła wtedy? U nas jak okiem sięgnąć żadnych szans, a ja synka małego mam.

- A mąż? Bezrobotny?

- Nie... - westchnęła Amanda ponuro. - Ale on sam ma czwórkę własnych.

- To znaczy, że razem piątkę wychowujecie???

- Gdzieżby! Tamte on z żoną swoją chowa. Co mnie do nich?

W tym momencie zadzwonił mój telefon. Amanda dyskretnie zostawiła mnie samą, zresztą i tak nie zamierzałam drążyć jej zawitych relacji rodzinnych. Telefon był od tatusia.

- Luiza!!! - wrzasnął bez żadnych wstępów. - Mam go z głowy! Był, dałem mu forszę i się odczepił raz na zawsze!

- Komu dałeś? - spróbowałam uściślić, gdyż uganiających się za tatusiem wierzycieli było co najmniej kilku.

- Mafiozu!

- To super - westchnęłam z ulgą. - I odczepił się? Na zawsze? Skąd wiesz?

- Bo go spytałem.

- Aha... A oprychy? Też się odczepiły?

- Niestety... Dosłownie nie mam już siły tak się ukradkiem wszędzie przemykać. Nawet na targ nie mogę wyjść, żeby w trzy karty zagrać. O kasynie mowy nie ma. Kapitał mi topnieje, ręce z nerwów latają... - biadolił tatuś.

- Przecież ci mówiłam, żebyś im dał te osiem kawałków, masz na tyle!

- Niedoczekanie ich skurczykońskie! Gameni i nieudaczników! A za co, ty mi powiedz? Dowieźli cię? Nie dowieźli. To gównu dostaną.

- A ty będziesz do końca życia kanałami chodził! - ostrzegłam. - Ja bym im dała, choćby dla świętego spokoju!

Nie mogłam przecież tatusiowi powiedzieć, że te nieszczęsne bałwany zostały na tym interesie znacznie bardziej poszkodowane niż ja z tatusiem razem wzięta. Żal mi było tatusia, to oczywiste, ale nie miałam na to wpływu. Poza tym nie znajdował się w sytuacji bez wyjścia, tym razem akurat miał forsę i mógł się od nich w pięć minut uwolnić.

- Ostatni raz ci mówię - westchnęłam do słuchawki. - Daj im ten hajc, bo się nerwowo wykończysz. A nie warto. Tym bardziej, że już nie długo będziesz miał majątnego zięcia i bieda nam nie grozi.

- Figa z makiem!!!

- Okej - skapitulowałam. - A w ogóle, wyobraź sobie, że nie wychodzę za starego Chlebobierskiego.

- Nie? Ale przecież za kogoś wychodzisz, prawdaż?

- Prawdaż. Za jego syna.

- O? Ale to chyba... lepiej?

- Lepiej. Tylko ja się pytam, jakim cudem?

- Chyba... nadprzyrodzonym... - szepnęłam z przejęciem tatuś.

- I ja tak myślę - odparłam z ironią. - W końcu to ty od początku załatwiałeś sprawę, więc wiesz lepiej. Zaraz pošlę ci SMS-em mój nowy adres. I zadzwonię, jak ustalą konkretną datę ślubu. Mam nadzieję, że starczy ci do tego czasu kryjówek i melin.

Tatuś pożegnał się ze mną wylewnie, aczkolwiek w twardym uporze niewypłacania oprychom pieniędzy. Zdenerwował mnie tym bezgranicznie, z drugiej zaś strony poznałam ich trochę i byłam pewna, że żadne poważniejsze uszkodzenie cielesne mu raczej nie grozi. Ogarnęłam się więc szybko i zeszłam na obiad.

Zasiedliśmy z Izydorem na dwóch końcach ogromnego stołu. On, promienny, emanujący wielką szczęśliwością i zamyślony. Ja - rozpalona emocjami, rozdarta pomiędzy tatusiem i moim przyszłym ślubnym. Nasze stany ducha nie sprzyjały konwersacji, podobnie jak rozmiar stołu. Uśmiechaliśmy się więc tylko do siebie od czasu do czasu, spożywając

posiłek w całkowitym milczeniu. Wychodząc z jadalni, Izydor przytulił mnie mocno, bez jednego słowa. Zamierzałam pójść do siebie, by w samotności zebrać myśli, ale mijając po drodze wielkie, oszklone drzwi prowadzące na balkon, znalazłam sobie lepsze miejsce. Niebo nade mną było pogodne i usiane gwiazdami. Moje niebo, nad moim domem... Wciąż nie chciało mi się w to wierzyć. Rozejrzałam się dookoła, na tyle, na ile pozwoliło mi nikłe światło ogrodowych latarenek, próbując jakoś umiejscowić siebie w tym pałacowym przepychu. Nagle ogród zrobił się znacznie bardziej wyraźny, jakby oświetlony czymś jeszcze. Światło stało się coraz jaśniejsze i jaśniejsze. Wtem dwuskrzydłowa, kuta w metalu brama otwarła się na oścież i przed dom zajechała taksówka. Stała dokładnie w cieniu balkonu, znacznie ograniczając moją widoczność. Przechyliłam się z ciekawością przez balustradę. Taksówkarz wyjął z bagażnika walizkę i razem z nią oraz kimś jeszcze zniknął w ciemnościach.

- Tony! - usłyszałam radosny okrzyk Izydora. - A to ci niespodziewajka! Witaj w domu, synu!

Na dźwięk tych słów omal nie wypadłam na zewnątrz. Opuściłam swoje stanowisko na drżących nogach i udałam się do siebie. Ledwo zdążyłam poprawić włosy i upudrować nos, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. To był Izydor. Przyszedł sam.

- Luizo, dziecko moje - przemówił wzruszony. - Ja do salonu proszę, tam ktoś oczekuje na ciebie!

Ruszyłam za nim w milczeniu, z sercem w gardle i żołądkiem na wysokości miednicy.

- Zapoznaj Tonego, moja droga, swego niedługiego małżonka!

W salonie nie było nikogo. W pierwszej chwili pomyślałam, że tym razem Izydor się nie przejęczył i mój narzeczony w istocie był na tyle „niedługi”, że aż trudny do zauważenia. Rozejrzałam się więc uważnie, ale nadal nikogo nie dostrzegłam. Izydor mimo to postanowił dokonać prezentacji.

- A oto i mój syn, Tony! - oznajmił z dumą staruszek.

Wówczas zza odwróconego tyłem do wejścia fotela, kawałek po kawałku, fragment po fragmencie, zaczął wyłaniać się mój luby.

- Aaa... An... tek... - wyszeptałam ze zgrozą i osunęłam się w czarną otchłań.

•

Ocknęłam się na sofie w swoim pokoju. Nade mną majaczyły dwie stro-
skane twarze: Izydora i Amandy.

- Żyje! Dzięki ci dobry Lord! - wykrzyknął z ulgą Izydor.

- Żyje! - ucieszyła się Amanda.

- Żyję - potwierdziłam autorytatywnie.

- Dlaczego ciebie zemdliło? Czy mój syn zdał ci się obrzydliwym? -
zmartwił się staruszek.

- Skądże - zaprzeczyłam słabym głosem. - To z wrażenia.

- Ale ze złego wrażenia czy z dobrego? - dociekał.

- Po... prostu z... wrażenia - wyjąkałam.

Izydor spojrzał na mnie przenikliwie.

- On mówić by z tobą chciał, lecz ja nie wiem, czy ciebie nie zemdli
znów.

- Dobrze. Chętnie z nim pomówię, ale czy moglibyśmy... sam
na sam?

- Zaczekam za drzwiami, jakby co - podłapała z reflekssem Amanda.

- Okej. Ja jego zawezwę - zgodził się Izydor i skinął ręką na Amandę.

Nie zdążyłam przywołać ani jednej sensownej myśli, przygotować
ani jednego słowa, kiedy do pokoju wszedł Antek. Wyglądał jakoś ina-
czej. Nie widziałam go raptem kilkanaście dni, powinien być więc do-
kładnie taki sam, ale nie był. I nie potrafiłam określić, w czym rzecz.
Wiedziałam tylko jedno: to nie był sen. Antek, ten Antek, który jak nikt
poznał najciemniejsze zakamarki mojej duszy, okazał się synem Izydora.
Akurat on, jak by nie było nikogo innego na świecie!

- Cześć Luizo - przywitał się i usiadł przy mnie na sofie.

- Cześć Tony - spróbowałam nadać swojemu głosowi ton cynicznie-
wesołkowaty.

- A więc spotykamy się znowu - stwierdził odkrywczco.

- Co dla ciebie jest z pewnością równie szokującą niespodzianką, jak
dla mnie, prawda? - spytałam zaczepnie.

- Nieprawda.

- No właśnie. Możesz mnie wobec tego oświecić, w co tu się gra?
I co ty w ogóle robiłeś na tej wsi, zamiast siedzieć w Warszawie i stu-
diować, jak ci ojciec przykazał?

- Zaraz, po kolei. - Antek założył ze spokojem nogę na nogę i spojrział mi w oczy. - Po pierwsze, zostaliśmy zaocznymi narzeczonymi za twoją aprobatą i zgodą. Co prawda sądziłaś, że masz wyjść za mojego ojca, ale ponieważ personalnie nie miało to dla ciebie większego znaczenia, nie poczuwałem się do obowiązku wyprowadzenia cię z błędu. Po drugie, owszem, głównie mieszkam w Warszawie, ale tylko w ciągu roku akademickiego. Wakacje w miarę możliwości, to znaczy czas wolny od praktyk i innych zajęć związanych ze studiami, spędzam u ciotki, na wsi. Jedynej mojej żyjącej krewnej ze strony matki.

- A teraz? Ciągłe jeszcze masz wakacje?

- No właśnie - westchnął Antek. - I tak, i nie...

- To znaczy?

- To znaczy, że poniekąd i owszem - uciął krótko i dość mętnie.

- Wiesz co? - spytałam w nagłym przypiływie odwagi. - W życiu nie wpadłabym na to, że ty to ty, ale skoro tak się złożyło, to słucham!

- Czego? - zdziwił się Antek. - Mam ci się oświadczyć? O ile wiem, zrobił to już mój tata...

- Nie kpj sobie! Możesz mi teraz wygarnąć, jeśli chcesz. A chcesz, prawda?

- Nie.

- Nie? - Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami. - Wobec tego... ja ci wygarne! Dobrze wiesz, że zamierzałam wyjść za mąż wyłącznie dla kasy. Pomogłeś mi obrobić własnego ojca na pięćset kawałków. Mało tego, własnoręcznie mnie jemu przywiozłeś! Pod nos! A w ogóle, jeśli przed chwilą miałam zamiar czuć się wobec ciebie niezręcznie, to figa z makiem! Wcale się nie czuję!

- I słusznie - zgodził się Antek, oglądając z uwagą paznokcie.

- Ccc... co? - zdumiałam się po raz kolejny. - A więc nie potępiasz mnie? I nie usłyszę od ciebie ani jednego złego słowa?

- Nie.

- Bo?

- Bo akurat całkiem nieźle się składa, że trafiliśmy właśnie na siebie. Ja na ciebie, a ty na mnie.

Spojrzałam na niego z namysłem.

- Znowu żarty sobie ze mnie robisz?

- Nie.

- Więc co teraz będzie?
 - No jak to? Ojciec zaplanował na sobotę nasze zaręczyny.
 - A... potem?
 - Potem... będziemy żyli długo i szczęśliwie. I ty, i ja. I cała nasza rodzina.
 - Nie wierzę ci. W ani jedno słowo. Jakieś to wszystko... naciągane. I nienaturalne.
 - Owszem - zgodził się Antek. - A co ty byś chciała? Żeby było spontanicznie? Romantycznie, tajemniczo...
 - Przestań!
 - W porządku. Ale miej świadomość, że to jest związek odgórnie zaplanowany!
 - Wiem przecież - szepnęłam cicho.
 - Nie martw się. - Antek nagle spuścił z tonu i pogładził mnie po policzku. - Będzie dobrze, zobaczysz! Przy mnie nie zginiesz. Miałaś się już okazję o tym przekonać.
 - Tak uważasz? - spytałam niemrawo.
 - Jestem pewien. A pewność to najwyższy stopień wiary.
 - Ja też... w to wierzę. Tylko jaki jest w tym twój interes?
 - Może... podobny do twojego?
- Antek puścił do mnie oko i wyszedł, nie mówiąc nawet dobranoc.

•

Rano zastałam obu panów Chlebobierskich przy stole w jadalni. Wyglądało na to, że właśnie kończyli jeść śniadanie.

- Witaj, moja droga. - Izydor poderwał się na mój widok. - Nie nakażalem budzić ciebie, bo pewnie miałaś mocno utrapioną noc. Czy wyczęłaś niewiele?

- Tak, wypoczęłam. Całkiem wiele nawet - odparłam i spojrzałam z ukosa na Antka.

W tej jednej chwili pojęłam, na czym polegała różnica pomiędzy Antkiem-synem-Izydora i Antkiem, którego poznałam na wsi. To była kwestia nieznannej mi do tej pory powagi na jego twarzy. Nieznanej i niezwykłej, która nie wynikała z potrzeby chwili, ale raczej z głębi ducha. Z jakiejś udręki... Zobaczyłam go teraz w zupełnie innym świetle: nie był już chłopcem skorym do żartów i głupot, był młodym, interesującym

mężczyzną... Przeraziła mnie ta konkluzja. A jeśli ja się w nim zakocham, a on we mnie nie? Jeśli dla niego nasze małżeństwo jest tylko i wyłącznie szansą na przejęcie ojcowskiego majątku? Nie, to niemożliwe – skarciłam się w duchu. Antek nie jest taki. Przecież trochę go znam...

- Ty dobrze się samoczujesz? - Izydor wziął mnie za rękę. - Zasiadaj, proszę. Zaraz każę podać tobie przykrycie.

- Nakrycie. - Antek uśmiechnął się do mnie i podsunął mi krzesło. - A to dla ciebie, na dobry początek dobrego dnia. - Wręczył mi wielką, pąsową różę na długasnej łydydze.

- Dziękuję - szepnęłam i zarumieniłam się pod kolor trzymanego w dłoni kwiatka.

- Czy ona nie jest uroczysta? - ucieszył się Izydor. - Doprawdy, słodka to dziewczyna!

- Owszem, tato. Urocza i słodka - potwierdził Antek.

- Chyba muszę wyjść do ogrodu pilnie. - Izydor podniósł się z krzesła. - Ogrodnik będzie wsadzał tujów i muszę to sobie unaocznic. A ty trzymaj swojej dziewczynie towarzystwo. - Spojrzał znacząco na syna.

- Tata trochę... nie za bardzo operuje językiem - roześmiał się Antek po jego wyjściu. - Ale da się go zrozumieć.

- Ty za to mówisz doskonale, mimo że urodziłeś się i wychowałeś w Stanach - stwierdziłam.

- Jemu to zawdzięczam. Chodziłem wyłącznie do polskich szkół, a studia podjąłem już w kraju. Ale nie będę cię zanudzał. Co chciałabyś dziś robić?

- Dzisiaj jest dancing w domu kultury - wtrąciła się Amanda, która akurat wносиła moje „przykrycie”. - Więcej atrakcji tu nie ma. No, chyba żeby do miasta pojechać...

- Pójdziemy? - podłapał pomysł Antek. - Taka wiejska impreza może być nawet całkiem zabawnym doświadczeniem.

- Jak chcesz - odparłam bez entuzjazmu, ponieważ słowo „doświadczenie” zgrzytnęło mi jakoś nieprzyjemnie.

To był właśnie ten wyraz, którego zawsze mi brakowało przy próbach określenia moich relacji z Antkiem. Właśnie... Często odnosiłam wrażenie, że on robi na mnie jakieś psychologiczne eksperymenty...

- No cóż, skoro decyzję pozostawiasz mnie, to pójdziemy. O której jest ta impreza? - zwrócił się do Amandy.

- O dziewiętnastej, ale lepiej iść wcześniej, żeby miejsce zająć przy stoliku.

Do samego wieczora Antek nie odstępował mnie niemal na krok. Zaraz po śniadaniu oprowadził mnie po całym domu, od piwnic aż po strych, powtarzając rodzinne anegdoty i inne historyjki zasłyszane od ojca. Zwiedziliśmy również ogród, a potem najbliższą okolicę. Gawędziliśmy przy tym o wszystkim i niczym, starannie unikając tematu zahaczającego o naszą wcześniejszą znajomość. A właściwie Antek unikał, co dało się dość wyraźnie odczuć. Odkrywałam go przy tym zupełnie na nowo. Teraz dostrzegłam z całą wyrazistością jego zielone oczy, ładnie wykrojone usta, szczupłe, delikatne dłonie i zgrabną, choć dość szczupłą sylwetkę. Kilka razy nawet wydawało mi się, że zaraz mnie pocałuje. Ale nie zrobił tego, choć sprzyjających okazji było bez liku. Widać dobre, arystokratyczne wychowanie zrobiło swoje... Koniec końców sama nie mogłam się już doczekać wyjścia na zabawę, gdzie, jak sądziłam, będę mogła przytulić się do niego chociaż w tańcu.

Kiedy nadeszła pora szykowania się do wyjścia, dopadł mnie nie lada dylemat. Nie mogłam pokazać się tam przecież w żadnej z moich wieczorowych sukien. Usiadłam przed lustrem i wgapiłam się w swoje odbicie, na próżno próbując skupić się na sobie. Bo ostatnio coraz częściej, nieproszony i niezapowiedziany, wkradał się w moje myśli Antek. Bardzo chciało mi się teraz oddać tym myślom, ogarnąć nasze wcześniejsze spotkanie, połączyć tamtego Antka z tym dzisiejszym i ocenić go jako mężczyznę. Mężczyznę... mojego życia! Ku mojemu zaskoczeniu chłopak podobał mi się coraz bardziej. Kłuło się we mnie jakieś niepojęte uczucie i aż bałam się je nazwać po imieniu...

- Ale na to masz jeszcze czas - szepnęłam do lustra. - A na wybór kiecki na dancing nie za wiele!

Czując, że sama nic nie wydumam, wezwałam na pomoc Amandę.

- Najlepiej będzie, jak pani ubierze się normalnie - poradziła.

- Czyli jak?

- No... Dżinsy i bluzka. Ale bluzka nie zwyczajna, tylko jakaś strojnieszka. Z dodatkami. I makijaż.

Wspólnie wyłuskałyśmy z szafy odpowiednią, „strojniejszą” bluzkę i dobrałyśmy do niej właściwy komplet błyskotek. Amanda była zachwycona.

- Boże, gdybym ja miała taką urodę, jak pani, to... - Jęknęła, nie kończąc zdania.

- To co? - Spojrzałam na nią z rozbawieniem. - Sądysz, że byłoby ci lepiej w życiu?

- No pewnie!

- Więc wyobraź sobie, że uroda nie ma tu nic do rzeczy. No, może ludzie patrzą czasem na ciebie łaskawiej, w autobusie na przykład. Ale w życiu i tak musisz zapracować na swoje, jak każdy.

- Jakże to? - Amanda ze zdziwienia otworzyła usta.

- A tak. Urodę, owszem, możesz wykorzystać na początek. Ale potem w każdym jednym przedsięwzięciu zdana już jesteś tylko na to, co masz w głowie, a nie na głowie... Bo, jak mawiają najstarsi górale, nie sztuka upolować słońia. Sztuką jest go utrzymać...

- No co pani... - wydukała Amanda.

- Mniejsza z tym. - Spojrzałam na jej pełne zdumienia oblicze. - A poza tym nie pleć bzdur, bo przecież i tobie niczego nie brakuje.

- Dobrze to pani powiedziała. Nie brakuje - przyznała ponuro Amanda, demonstrując dość obfite sadełko na biodrach i brzuchu.

- Przeszkadza ci to?

- Ba! Czasem nie mogę patrzeć na siebie!

- To weź i schudnij - poradziłam jej logicznie.

Dziewczyna spojrzała na mnie z jeszcze głępszą miną niż przed chwilą.

- Akurat...

- A ty co myślisz, że ja mam szczupłą sylwetkę jakimś nadprzyrodzonym sposobem? Mam, bo się pilnuję. Owszem, to przykre, kiedy człowiek musi odmówić sobie jakichś pyszności, ale jeśli ktoś ma w jedzeniu największą przyjemność, to niech się potem nie dziwi, że nie ma przyjemności w oglądaniu się w lustrze.

- I myśli pani, że ja mogłabym...

- Pewnie, że byś mogła. Bo tusza jest jedyną rzeczą w naszym wyglądzie, która zależy wyłącznie od nas. Wystarczy, że przestaniesz jeść ko-

lację i zrezygnujesz ze słodyczy. Głowę daję, że za dwa tygodnie po oponce nie będzie śladu!

- Serio?

- No chyba mówię, prawda?

Jeszcze trochę, a zaczęłabym Amandą potrząsać, dla lepszego przywołania moich słów. Zanim jednak do tego doszło, usłyszałam ciche pukanie do drzwi. To był Antek, całkowicie gotowy i zwarty. Zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół i zrobił jakąś nieokreśloną minę.

- Coś niedobrze? - spytałam, mając na myśli swój image.

- Ależ nie. Jesteś... bardzo... atrakcyjną dziewczyną - wyznał z niejakim trudem.

- Tak uważasz? - Spojrzałam mu przenikliwie w oczy.

- Stwierdzam po prostu obiektywnie fakt. A z faktami się nie polemizuje - rzucił kolejnym dyskusyjnym komplementem i ujął mnie pod ramię.

•

Amanda nie wyraziła się dość ściśle. Dancing okazał się bowiem zwyyczajnym, wiejskim festynem, tyle że nie pod gołym niebem, lecz w ogromniastym namiocie. Na podwyższeniu z desek stał żywy zespół muzyczny grający popularne, krajowe i zagraniczne szlagiery we własnej interpretacji. Można tu było kupić piwo, watę cukrową i popcorn. Dzięki temu, że przyszliśmy w miarę wcześniej, udało nam się zająć miejsca przy masywnym, drewnianym ławo-stole. Na wstępie dowiedziałam się jeszcze jednej, nowej rzeczy o moim narzeczonym: Antek nie pił alkoholu. Ani kropelki. Wziął więc piwo z sokiem tylko dla mnie i dużą torbę popcornu dla nas obojga. W tańcu w najmniejszym stopniu nie dorównywał swojemu ojcu. Wybierał kawałki bardzo znane i średnio szybkie, ruszał się co prawda dość zgrabnie, ale zupełnie bez fantazji. I... bez przytulania. Prowadził tradycyjnie, jedną ręką przytrzymując moją dłoń, drugą zaś ostrożnie obejmując mnie w talii. Rozmawialiśmy na tematy ogólne, głównie komentując to, co działo się dookoła. Antek był wesoły i dowcipny, chwilami bawił mnie niemal do łez. W sumie było całkiem fajnie i nawet nieźle znosiłam te taneczne ślamazary, dopóki w przerwie dla zespołu nie puszczono muzyki z płyt. I kiedy ze stojącego tuż za moimi plecami głośnika rozległ się „Złoty deszcz”, utwór, przy

którym jeszcze jako małolata szalałam w dyskotekach, coś formalnie we mnie pękło. Ten kawałek, choć może już nieco przebrzmiały, był w stanie oderwać mnie od każdej podłogi.

- Chodź, zatańczymy to sobie! - Pociągnęłam Antka za rękę.

- Nie, Luizo. Przepraszam, ale ja nie gustuję w takich utworach - zaparł się od razu kategorycznie.

W głowie szumiało mi piwo, we krwi tętniła ulubiona muzyka i bardzo, ale to bardzo chciało mi się zatańczyć z moim chłopakiem.

- Antek! Ten jeden raz! - prosiłam. - Tylko ten jedyny!

- Nie. - Pokręcił zdecydowanie głową. - Ale jak chcesz, zatańcz sama. Nie mam nic przeciwko temu.

No to żałuj - pomyślałam i natychmiast wbiłam się w krąg tutejszej młodzieży, oddając swoje ciało szalonym rytmom. Po chwili spostrzegłam, że krąg jakby nieco się przerzedził, albo raczej rozstąpił i cała gawiedź wgapia się we mnie, próbując naśladować moje ruchy. Pewnie po raz pierwszy widzieli na żywo uczciwy, miastowy taniec... Zdopingowana maksymalnie, dałam z siebie po prostu wszystko, do ostatniego tchnienia. Zaraz potem zmęczona, ale całkiem z siebie rada usiłowałam dopchać się do swojego stolika. Nagle, jakąś niewytłumaczalną siłą z powrotem znalazłam się w samym środku ludzkiej ciżby. Coś najwyraźniej trzymało mnie z tyłu za pasek od spodni.

- No kicia, a teraz zatańczysz ze mną. - Jakiś mocno woniejący promilami drab odwrócił mnie gwałtownie w swoją stronę, z całej siły przyciskając spoconą pierś do mego biustu.

- Dziękuję panu, ale nie jestem tu sama - zaproponowałam kulturalnie.

- No przecież nie będziem tańczyć we trzech! - zarechotał drab.

- Ani we trzech, ani we dwóch!!! - ryknęłam, przekrzykując muzykę.

- Nie żartuj sobie, perła. - Facet uparcie inhalował mnie alkoholowymi wyziewami. - Jeśli chłopak grzecznie prosi dziewczynę do tańca, to dziewczyna mu nie odmawia. Taki u nas zwyczaj.

- A u nas, mój panie, zwyczaj jest całkiem inny. - Niewiele myśląc, wyrzuciłam go z otwartej dłoni w czerwony pyzior.

- To ty... taaaak? - Gościa formalnie zatchnęło z wrażenia. - Ano, zobaczmy!

Złapał mnie boleśnie za przegub dłoni i powłókł ku wyjściu. Zaczęłam krzyczeć, kopać i wierzgać. Byłam pewna, że Antek nie ma szans

ani wypatrzeć mnie w tym tłumie, ani usłyszeć, robiłam jednak, co mogłam. Wtem jakiś inny zbir walnął z pięści mojego oprawcę, ten oddał mu natychmiast, częstując przy okazji jego sąsiada, ów przyrznął kolejnemu i tym sposobem rozgorzała wokół mnie regularna zadyma. Mój niedoszły tancerz uwijał się jak w ukropie, grzmocąc to tu to tam, czynił to jednak, wciąż trzymając mnie za rękę. Jedyne, co mogłam zrobić w tej sytuacji, to patrzeć, skąd nadchodzi cios i w porę się uchylać. I szczerze mówiąc, dość marnie widziałam swój los. – Patronko święta, ratuj! – szepnęłam w rozpacz. W tym momencie mój amant padł jak podcięty, wypuszczając mnie z żelaznego uścisku.

– Nic ci nie jest? – Usłyszałam tuż za sobą.

– Chyba nie – odparłam niepewnie.

– Chodź, wyjdźmy stąd! – Tajemniczy zbawca pchnął mnie lekko ku drzwiom.

Podreptałam za nim posłusznie, czując, że nie mam lepszego wyjścia.

– Pokaż. – Chwycił mnie ostrożnie za rękę i obejrzał je od końców palców aż po łokcie. – Nic ci nie będzie – zdiagnozował naprędce. – Raptem dwa siniaki i lekkie otarcie naskórka.

– Dziękuję – zreflektowałam się wreszcie. – Muszę wracać, bo...

Chciałam powiedzieć, że mój narzeczony się o mnie niepokoi, ale kiedy uniosłam głowę i spojrzałam mu w twarz, formalnie wbiło mnie w ziemię. To była najpiękniejsza męska twarz, jakąkolwiek w życiu widziałam! Idealnie harmonijna, począwszy od jej doskonałego kształtu, poprzez niewiarygodnie piękne oczy, zgrabny nos, cudowne usta – aż po opadający na ramiona gąszcz brązowych włosów. Na moje nieszczęście światło bijące z wnętrza sali oświetlało chłopaka w każdym szczególe. Jego sylwetka, postawa, wzrost – wszystko to na chwilę kompletnie zamieszało mi w głowie.

– Bo? – ponaglił, nie doczekawszy się końca mojej wypowiedzi.

– Bo... muszę – dokończyłam głupio, nadal jednak tkwiąc w miejscu.

– Szkoda. – Uśmiechnął się uroczo. – Tak ciekawie zaczęta znajomość chyba nieźle rokuje na przyszłość.

– Na... przy... szłość? – wyjąkałam całkiem już bez sensu.

– Właśnie. – Chłopak powiódł opuszką palca po moim policzku, obezwładniając mnie tym samym na amen. – Jestem Michał. A ty?

- Luiza - szepnęłam, modląc się w duchu o siłę i wytrwanie.

- Cała drżysz... Zimno ci?

Michał sięgnął gdzieś za siebie, po czym okrył mnie troskliwie... czarnym, skórzanym płaszczem!

- O Boże! Nie!!! - Błyskawicznie ocknęłam się z odrętwienia, zrzuciłam z siebie straszliwy rekwizyt i pognałam przed siebie.

Antka znalazłam tam, gdzie go zostawiłam, przy stoliku.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał nieświadomy niczego.

- Dobrze?! - wrzasnęłam histerycznie. - Byłam w oku Cyklopa! W samym środku bitwy!

- Jezu... - wyszeptał ze zgrozą. - Co się stało? Jesteś cała?

- Mniej więcej. Tutejsze chłopcy się pobili. I nadal pewnie się grzmocą. Chodźmy stąd, zanim rozpęta się ogólna rzeź!

- Oczywiście. Zadzwońię po Kazimierza.

Antek objął mnie czule i wyprowadził na zewnątrz, a potem szybko wybrał numer szofera. Ten pojawił się, według mojego odczucia, z prędkością światła.

- Słuchaj... Czy ty znasz miejscowych ludzi? - spytałam już spokojnie, sadowiąc się w limuzynie.

- Nie bardzo. Już prędzej tata, ale najlepiej zna tu wszystkich Amanda. Czemu pytasz? Czyżby coś ci się stało? - zaniepokoił się.

- Nie... Ja tak tylko. Bez powodu.

Antek, dręczony najwyraźniej wyrzutami sumienia, przez całą drogę trzymał mnie za rękę i przytulał troskliwie. Po powrocie do domu pożegnał mnie jednak pod drzwiami mojego pokoju, wcześniej stukrotnie się upewniając, że nic mi nie jest i przepraszając po stokroć za ten niefortunny wieczór. Mimo że sytuacja aż się prosiła, nie pocałował mnie. Zrobiło mi się smutno. Bo w końcu manieri manierami, ale teraz taki czuły gest z jego strony bardzo by mi się przydał...

W łazience obejrzałam uważnie swoje ręce i policzyłam siniaki. Nie było aż tak źle, bluzka z dłuższym rękawem powinna wszystko zamaskować. Usiadłam na brzegu wanny i puściłam wodę. Nie chciałam myśleć o moim przystojnym wybawcy. Ze wszystkich sił starałam się odwracać od niego swoją uwagę, ale on wciąż z uporem pojawiał mi się przed oczami. Te jego oczy... Uśmiech... Dotyk... I... ten cholerny, skó-

rzany płaszcz! Wszystko to razem przewyższało moją zdolność logicznego myślenia. Kim on, u diabła, był?

- Bo się pani przeleje - oznajmiła Amanda, wsuwając głowę w drzwi.

- Ccc... co? - spytałam, wzdrygając się na to jej nagłe najście.

- Woda. Niech pani zakręci.

- Rzeczywiście - mruknęłam i zakręciłam kurek.

- Wpadłam zobaczyć, czy pani czegoś nie potrzebuje.

- Nie... A, tak! Potrzebuję! Bardzo potrzebuję! - Złapałam ją za ramię, wypchnęłam z łazienki i usadziłam w fotelu.

- Tak? - Wytrzeszczyła na mnie oczy.

- Tak! Powiedz mi, kim jest taki młody, przystojny facet z długimi włosami, w czarnym, skórzanym płaszczu!

Amanda spojrzała na mnie jakoś dziwnie, rozdziawiła usta i kilkakrotnie złapała powietrze jak wyjęta z wody ryba.

- No? Znasz go?

- A... czemu? - wyjąkała w końcu.

- Tak sobie. Znasz go, czy nie?

- Nie - wyszeptała i ni z tego, ni z owego zaczęła płakać. - Pój...dę już. Doooo... branoc - wyłkała, unosząc się z fotela.

- Ej! - Złapałam ją w przelocie za rękę. - Pamiętasz, jak mówiłaś, że dla mnie wszystko?

Amanda w milczeniu skinęła głową.

- No więc? Dlaczego beczysz, zamiast mówić mi tu szczerą prawdę?

W tym momencie rozryczała się na całego, chlipiąc i pobekując bez opamiętania.

- Niiiiii... eee znam go - wyzipała, po czym odsunęła mnie gwałtownie i wybiegła z pokoju.

Nie zatrzymałam jej, choć czułam wyraźnie, że łże. Postanowiłam z innej beczki. Nie mogłam tego zostawić odłogiem przed snem. Złapałam więc za komórkę i wybrałam numer tatusia.

- Tatusiu, bez względu na to, gdzie teraz jesteś i co robisz, skup się, proszę. Musisz odpowiedzieć mi na bardzo ważne pytanie! - rzuciłam jednym tchem w słuchawkę.

- A może by tak zacząć od dobry wieczór? - skrytykował mnie na wstępie.

- No, nie wiem, czy dobry, to będzie zależało od twojej odpowiedzi.

- Skoro tak, to wal - zaproponował. - Jestem skupiony.

- Powiedz mi, proszę, ale bez żadnego ściemniania i ubarwiania, jak wygląda Mafiozo!

- Uuuu... Nieciekawie. Ale parzecież już ci kiedyś mówiłem. Coś się stało?

- Mówiłeś, ale ogólnie. Teraz opisz mi go w szczegółach! - zażądałam. - Jest wysoki czy niski, chudy czy gruby, stary czy młody, łysy czy kudłaty? Jak chodzi ubrany? Czym jeździ?

- Wysoki, średnio chudy i średnio kudłaty. Raczej młody - wyliczał tatuś z namysłem. - Ma straszny wzrok, szpiczasty nos i takie... krwiożercze zęby. Jeździ zarąbistą furą, nigdy jeszcze takiej nie widziałem. Jasny metalik. Ubiera się w czarny, skórzany płaszcz. Miał go na sobie za każdym...

- Wystarczy! - przerwałam mu, w obawie, że zaraz zemdleję. - Tatusiu... - wyszeptałam słabo.

- Tak, córeczko?

- Ty mu naprawdę dałeś tę kasę?

- Naprawdę!!! Nie jestem przecież głupi!

- Wierzę ci. Tylko...

- Tylko co?

- Nic. Martwię się trochę.

- O co?! Jak ci mówię, że dałem, to dałem! - wnerwił się tatuś.

- No tak... Ale teraz masz przecież nowy dług, u nowych bandytów... I to mi... jakby spać nie daje - wycofywałam się niezręcznie.

- Dług?! Nic nie jestem chamom winien! I nic nie dostaną!

- Jeśli nadal masz z nimi kłopoty, przyjeżdżaj do mnie. Możesz to zrobić w każdej chwili.

- Serio?

- Serio. Kiedy tylko zechcesz.

- Pomyślę o tym, córeczko.

- No to pa, tatusiu. Kocham cię - zakończyłam ciepło, bo ostatnio ja-koś nie składało nam się na czułości.

- Ja też cię kocham, córeczko. Bywaj zdrowa.

I wszystko stało się jasne. Przerazająco jasne. A więc... miałam okazję po raz pierwszy zobaczyć Mafioza od frontu! Wysoki, szczupły. Długowłosy. I nie szkodzi, że tatuś jego oczy nazwał strasznymi, nos szpiczastym, a zęby krwiożerczymi. On tak go widział, po prostu. Ze strachu. We mnie wzbudził na pierwszy rzut oka zgoła inne emocje, ponieważ nie wiedziałam, kim jest. Ale teraz już wiem. Potwierdzała to choćby histeria Amandy, jaką zareagowała na moje pytanie o niego. I jeszcze ten jego samochód... I płaszcz... Niestety, nie było już miejsca na wątpliwości. Ale to dobrze. Bardzo dobrze. Bo skoro tatuś zwrócił mu depozyt, nic nam już nie groziło z jego strony. A ja przynajmniej wiedziałam, kim jest. I mnie... też już nic nie groziło.

•

Jeszcze niedawno wydawało mi się, że jak tylko dotrę na miejsce mojego matrymonialnego przeznaczenia, wszystko, co było przedtem, przestanie mnie dotyczyć. A przynajmniej doskwierać... Że mój tajemniczy, majątny i wpływowy narzeczony będzie rozwiązaniem zarówno tatusiowych problemów, jak i moich. Tak jakoś to widziałam w każdym razie. Jedynym ciemnym obłokiem na lazurowym niebie mojej przyszłości miało być ewentualne pożycie cielesne z obleśnym fizycznie starcem... Ten obłok rozwiął się jednak niespodziewanie ku mojej wielkiej uldze i radości. Ale ponieważ w przyrodzie musi być równowaga, los, stawiając na mojej drodze młodego, przystojnego faceta, dorzucił paru rzeźmieszków różnej maści i garstkę niewielkich, lecz denerwujących kłód pod nogi.

Nazajutrz po nieszczęsnej zabawie okazało się, że termin zaręczyn uzależniony jest od przyjazdu pani Żanety, w związku z tym uległ przesunięciu do nikomu nieznaney daty. Trochę mnie to wytrąciło z równowagi. Osobiście wolałabym dłużej zaczekać ze ślubem, w końcu matka to matka, na ślubie raczej konieczna, ale na zaręczynach niezupełnie.

- Ja wiem, że co wróbel w garści, to nie gołąb na dachu - zażartował Antek na widok mojej miny. - Ale bez obecności matki rodu nic się u nas nie odbywa. I chyba pora, byś się zaczęła do tego przyzwyczajać.

- Słyszałam o ojcach rodu, ale o matkach jakoś nie bardzo - stwierdziłam, ignorując jego żarcik. - Chyba, że u pszczoł...

- Matka to matka, a ojciec to ojciec - podsumował lakonicznie.

- Właśnie, a gdzież to się twój tata wymyka ostatnio w czasie kolacji? - spytałam, uświadamiając sobie przy okazji, że Izydor jakby coraz częściej znika z domu.

- Tata? Wyobraź sobie, że odkrył w sąsiedztwie koleżankę z dzieciństwa. - Antek uśmiechnął się dwuznacznie. - Wspominają pewnie mioniony czas.

- Serio? I rozpoznał ją po tylu latach?

- Z wyglądu? Raczej nie sędzę. Zgadali się pewnie jakoś po prostu.

- To chyba fajnie, nie? Najpierw odbudował dom, potem odnowił starą znajomość. Pewnie jest bardzo szczęśliwy z tego powodu...

- Bardzo - potwierdził z powagą. - I dobrze.

- Ja też... chciałam być szczęśliwa. Z tobą... - szepnęłam nieśmiało. - Jak myślisz, czy nam się uda?

- Owszem. Taki właśnie mam plan.

Nieco to dziwnie zabrzmiało, ale przyjąłam jego zapewnienie w jak najlepszej wierze. Jednak jeszcze tego samego wieczoru poczułam się trochę odstawiona na boczny tor. Izydor swoim zwyczajem zniknął zaraz po obiedzie, Antek natomiast schował się w swoim pokoju, by, jak powiedział, „przegryźć na spokojnie sytuację”. Zostawiona samej sobie nie bardzo umiałam się odnaleźć. Nie mając nic lepszego do roboty, udałam się na poszukiwanie Amandy, a potem choćby Kazimierza. Ale, rozstąp się ziemio - wszyscy jakoś dziwnie przepadli. Był tylko Antek, który w czterech ścianach „gryzł się z sytuacją”, co zupełnie wykluczało go chwilowo z życia towarzyskiego. Po chwili namysłu narzuciłam na ramiona kurtkę i wyszłam przed dom, by porozmawiać z gwiazdami. Dni były coraz krótsze i mimo iż zmierzch nie zapadł jeszcze zupełnie, niebo usiane było jasnymi, cichymi towarzyszkami mego osamotnienia. Wzniosłam twarz ku górze, starając się oddychać miarowo i głęboko. Kiedyś gdzieś wyczytałam, że w ten sposób da się czerpać z kosmosu energię, dzięki której można realizować najbardziej niedościgłe marzenia... Niestety, nie pamiętałam dokładnie, co jeszcze powinnam zrobić, a szkoda, bo dziś akurat dokładnie wiedziałam, czego chcę... Daleka od swojego dotychczasowego życia, tatusia, tamtejszych, nieistotnych znajomości, głupich uciech i przyziemnych potrzeb, całym sercem zatęskniłam za miłością. Taką prawdziwą, porywającą, odwzajemnioną... Czulałam, że jestem gotowa na wielkie uczucie. Jak dobrze wysuszony

mech, któremu wystarczy mała iskierka, by wystrzelić w górę jasnym, gorącym płomieniem. Czekałam na tę iskierkę. Czekałam na... Antka. Jakiś bardziej osobisty gest z jego strony, potwierdzenie moich tęsknot i nadziei. A wówczas nie trzymałabym już na wodzy swoich uczuć i pokochałabym go jak szalona, całą sobą, bez granic i hamulców...

- Hej! - usłyszałam nagle jego głos.

Rozejrzałam się dookoła, ale nigdzie go nie dostrzegłam. Przekonana, że się przesłyszałam, spróbowałam wrócić do swoich rozważań.

- Hej, hej! - Głos dał się słyszeć znowu.

Tym razem wiedziałam, że to nie halucynacja. Antek najwyraźniej mnie wołał. Ruszyłam więc w kierunku, z którego, jak mi się zdawało, dobiegło mnie kolejne „hej, hej”. Zbliżyłam się ostrożnie do rosnących w głębi ogrodu srebrnych świerków i zaczęłam każdy po kolei obchodzić dookoła. Wołanie się już nie powtórzyło.

- Bawisz się ze mną w chowanego? - krzyknęłam zniecierpliwiona.

Panująca na dworze szarówka, spotęgowana cieniami drzew i krzewów, w tym miejscu ogrodu przeradzała się w niemal całkowity mrok. Poruszałam się prawie po omacku.

- Gdzie ty jesteś, do jasnej Anielki?! - spytałam, dając mu do zrozumienia, że takie igraszki nie bardzo mnie bawią.

- Tu! - Nagle poczułam na swojej dłoni silną, męską dłoń. Antek przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. Poczułam szybkie bicie jego serca i ciepły oddech na włosach. Zaparło mi dech i zmiękły kolana.

- Pocałuj mnie - zażądałam szeptem.

Dotyk jego ust do końca pozbawił mnie równowagi. Jeszcze przed chwilą tak złąkniona męskiej czułości, teraz czerpałam z niej bez tchu i opamiętania. To było coś, czego nigdy dotąd nie zaznałam. Czułam, jak sypią się iskry krzesane z jego warg i dłoni, jak sprawiają, że płonę żywym ogniem. Przyłgnęłam do niego całym ciałem i objęłam go za szyję. I wtedy... natrafiłam na coś, czego w żadnym razie nie powinno na niej być!

- Ty nie jesteś... - wyszeptałam, a jego usta zdławiły niewypowiedziane słowa.

Złapałam za opadający mu na plecy „koński ogon” i szarpnęłam mocno.

- Nie jesteś Antek!!! - krzyknęłam, korzystając z chwilowej swobody.

- Nie - przyznał beztrąsko, ale nie wypuścił mnie z ramion.
- Przecież wyraźnie słyssałam głos Antka!
- Możliwe, ale to był mój głos. Jestem Michał. Pamiętasz mnie?

Oczywiście, że pamiętałam, jakże by nie! Facet z dancingu, mój obrońca, a jednocześnie gangster i rzezimieszek! Na taką bezczelność wściekłam się do granic możliwości.

- Ty świnió! - wrzasnęłam. - Jakim prawem? Jakim cholernym prawem mnie prześladowiesz? Jesteś wszędzie, gdzie się tylko ruszę, napaadasz na mnie, zniewalasz?

- Ja bym powiedział, że to ty ciągle stajesz na mojej drodze i jesteś wszędzie, gdzie się pojawię - stwierdził ze spokojem, przez cały czas obejmując mnie ciasno.

- Nie, to już... jest największa bezczelność, jaką... w... życiu słyssałam! - Ze złości zaczął mi się łamać głos.

- Może tak to wygląda. Z pozoru. Ale prawda jest inna: jesteś mi po prostu przeznaczona, Luizo.

- Lu... izo? Skąd wiesz, jak mam na imię?

- Wiem. Ja w ogóle... dużo wiem.

- Taaaak? - Wnerwiłam się tym jego oświadczeniem. - Ja też dużo wiem. Na przykład to, kim jesteś!

- Naprawdę? - Teraz wyczułam w jego głosie wyraźny niepokój, a uścisk w mojej talii znacznie zelżał.

Jednym ruchem wyrwałam się z jego objęć i pociągnęłam go w stronę nikłego światła. Chciałam zobaczyć teraz jego twarz.

- Oczywiście! - kontynuowałam z satysfakcją. - Jesteś oprychem i bandytą z jakiejś szemranej mafii, który gnębił mojego tatusia. Co, nie kojarzysz? Oddałeś mu jakąś brudną kasę na przechowanie, a potem dręczyłeś i zastraszałeś!

Michał milczał przez chwilę, a potem wyszczerzył w uśmiechu rząd białych, równych zębów. Zupełnie nie krwiożerczych...

- Wiesz co? - Roześmiał się pełną piersią. - Czuję, że będę musiał z twoim tatusiem porozmawiać. A tymczasem pozdrów go ode mnie, okej?

- Więc jednak... ty to ty? - spytałam zaskoczona, że tak gładko się do wszystkiego przyznaje.

- No cóż... Trudno byłoby mi zaprzeczyć. Ja to ja i nie ma tu miejsca na wątpliwości.

- Kpisz ze mnie? Chodzi mi o tę hecę z moim ojcem i podejrzaną forszą. Brałeś w tym udział?

- Tak - odparł całkiem swobodnie.

- Więc skoro dostałeś z powrotem swój łup, odczep się od nas raz na zawsze! - warknęłam ostrzegawczo. - Bo...

Nie dokończyłam. Michał znów mnie objął i zamknął usta pocałunkiem. Miałam ochotę go zabić. Za te wszystkie uczucia, które we mnie wzbudzał. Dlatego, że stałam jak ciele, pozwalając mu się całować i obściskiwać, ale przede wszystkim za to, że... nie miałam siły mu się przeciwstawić. Dopiero myśl o Antku przywróciła mi cały rozsądek.

- Przestań! - jęknęłam, odpychając go lekko. - Wynoś się i zejdź mi z oczu! Jak śmiesz mnie tak bezczelnie i po chamsku całować?!

- Po chamsku? - zdziwił się Michał. - Przecież sama prosiłaś.

- Ponieważ myślałam, że to mój narzeczony! Jestem zaręczona i niedługo wychodzę za mąż - dorzuciłam na wszelki wypadek.

- O, to lepiej zachowaj w pamięci ten dreszcz emocji w moich ramionach. Na długo.

- Bo?

- Po prostu: nie licz za bardzo na niego w... tych kwestiach.

Te słowa ostudziły już do zera mój romantyczny zapach. Odepchnęłam chłopaka od siebie i zrobiłam dodatkowo kilka kroków w tył.

- Ty podstępna gangreno - syknęłam złowieszczo. - Nie wyobrażaj sobie, że twoje pułapki i fortele robią na mnie jakiekolwiek wrażenie. I nie wyobrażaj sobie... cokolwiek się tam w twoich chorych myślach łączy. Kim ty w ogóle jesteś, oprócz tego, że jesteś opryszkiem i zbójem?

- Jestem... zombi. I rozpaczliwie próbuję wrócić do życia - objaśnił z nagłą powagą, odwrócił się i odszedł.

•

VII. Wycieczka do Zamku Zombich

Wróciłam do domu w przekonaniu, że wszystko, co mi się przydarzyło, mam wypisane z detalami na twarzy. Antek siedział przy stole w jadalni i jadł samotnie kolację.

- Prze...praszam - bąknęłam na jego widok. - Jakoś tak... zasiedzia-
łam się w ogrodzie.

- To ja przepraszam - odparł wesoło. - Powinienem był zaczekać
na ciebie, ale jestem głodny jak stado wilków! I cieszę się, że czujesz
się tu swobodnie. Nie krępuj się, rób, na co masz ochotę. Jesteś u sie-
bie.

W przeciwieństwie do Antka nie miałam ochoty na nic do jedzenia.
Skubałam więc bezmyślnie to i owo, unikając raczej kontaktu wzroko-
wego.

- Gdzie Izidor? - spytałam z oczami wbitymi w zwisający z widelca
plaster sera.

- A gdzieżby, jak nie u pani Marty? Wyobraź sobie, że ona pichci mu
specjalnie jakieś tutejsze, dawno zapomniane potrawy.

- Znaczący się, przez żołądek do serca? - wyrwało mi się. O kurczę, za-
pomniałam, że on jest żonaty. Z matką Antka, w dodatku.

- Ummm - potwierdził beztróska. - Metoda stara jak świat. I skutecz-
na.

- No, nie wiem... Gdybym ja ci coś ugotowała, skutek mógłby być ra-
czej odwrotny.

- Nie ma takiej potrzeby - zaśmiał się i ogarnął dłonią zastawiony
stół.

- Ja to mam szczęście - stwierdziłam z westchnieniem i bez cienia
radości w głosie.

- Co masz na myśli? - Antek spojrzał na mnie uważnie.

Otarłam serwetką usta wrzuciłam ją na nietknięty talerz i podeszłam do okna. Antek wstał i wolno ruszył w moją stronę.

- Coś nie tak? - spytał.

- Nie. Nie wiem - odparłam, nie odwracając się w jego stronę. - Niaby wszystko w porządku, jesteście dla mnie tacy mili, tacy... rodzinni, a jednak czuję się tu jakoś dziwnie! Ja rozumiem, że przecież nie mogę niczego dla siebie wymagać, czy nawet oczekiwać, ale... sama nie wiem!

W tej rozterce, której nie do końca powodem był on sam, zrobiłam nagły półobrót i zawisłam mu na szyi.

- Czy ty w ogóle coś do mnie czujesz? - spytałam, zaglądając mu w oczy. - A jeśli nie teraz, to czy jest jakaś szansa na później?

Antek stał bez ruchu, ale nie spuścił wzroku, z którego, niestety, nic nie dało się wyczytać.

- Odpowiesz mi? - spytałam szeptem i dotknęłam ustami jego ust.

Wówczas Antek ujął mnie za ramiona i delikatnie odsunął od siebie. Jednocześnie od strony drzwi dał się słyszeć nieziemski rumor. To była Amanda, która właśnie upuściła stertę talerzy.

- Przepraszam - szepnęła przestraszona i zaczęła zbierać z podłogi żniwo swej niezdarności.

- Nie szkodzi - odparłam za nas oboje i zupełnie nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, udałam się do siebie.

Usiadłam w fotelu i zaczęłam się zastanawiać, czy Antek odepchnął mnie, bo usłyszał dźwięk upadających naczyń, czy Amanda upuściła naczynia, bo zobaczyła, co zobaczyła... I właściwie na tym mogłabym poprzestać, gdyż źródło tych niewyjaśnionych zdarzeń właśnie zjawiło się w moich drzwiach. Wystarczyło zapytać...

- Jeśli cię uraziłem, to wybacz - zaczął Antek sam z siebie. - Ale to było takie... niespodziewane!

- TO zawsze jest niespodziewane - stwierdziłam smętnie. - Nie wiesz o tym?

- Tak, tak - potwierdził skwapliwie. - Ale przyznasz sama, że nasza sytuacja jest trochę... nietypowa. - Antek kucnął przy mnie i położył mi głowę na kolanach. - Musimy dać sobie trochę czasu - ciągnął. - Chciałbym, żebyś wiedziała o jednym: z pewnością nie zamierzam cię unieszczęśliwić i zrobię wszystko, żeby tak się nie stało. Ale tymczasem

i ja muszę oswoić się ze swoim położeniem, rozegrać tę kwestię, najlepiej jak potrafię. Spójrz na to i od mojej strony: ojciec za wszelką cenę postanowił mnie ożenić. Ciosał mi o to kołki na głowie, jak tylko doszedłem do odpowiedniego wieku. Ale wówczas ja sam jeszcze nie wiedziałem, czego chcę, nie byłem pewien, czy akurat żona i dzieci są tym, czego mi w życiu najbardziej potrzeba. Czujesz to?

- Tak - szepnęłam, nie przestając gładzić go po głowie.

- Latem tego roku spełnił swoją groźbę i sam zaczął szukać mi kobiety. Byłem pełen najczarniejszych myśli. Tam, na wsi, próbowałem zdystansować się, znaleźć jakieś wyjście z tej patowej dla mnie sytuacji...

- I co? Znalazłeś?

- Tak! Kiedy się zorientowałem, że chodzi o ciebie, odczytałem to jako dar z nieba. Bo przecież sama zjawiała się pod tamtym dachem! A ja nie wierzę w przypadki. Zwłaszcza w takie niepojęte...

- A w cuda wierzysz?

- Owszem. I w... opatrność boską. Wtedy kamień spadł mi z serca, bo wierz mi lub nie, poczułem w tobie bratnią duszę!

- We mnie? Bratnią? - zdziwiłam się. - W krętacze i oszustce chcące wzbogacić się przez małżeństwo?

- Nie, nie tak. W zagubionej, naiwnej dziewczynie, której nikt nie pokazał, jak żyć...

Przez chwilę zastanowiłam się nad tym, co powiedział, i dostrzegłam w jego słowach rację. Bo tatuś rzeczywiście nigdy nie uczył mnie, jak żyć. On mnie uczył, jak przetrwać...

- Wiesz co? Jesteś najfajniejszym facetem, jakiego udało mi się spotkać na swojej drodze - stwierdziłam w zadumie.

Antek uniósł głowę i spojrzał mi w twarz.

- Bardzo bym chciał, żebyś nigdy nie zmieniła zdania. - Ucałował moje dłonie i wyszedł, zamykając cicho za sobą drzwi.

•

Amanda kręciła się koło mnie przez cały wieczór jak kot z pęcherzem. Jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła, albo się bała. Na koniec uparła się, że pomoże mi pościelić łóżko i niemal przemocą wdarła się do mojego pokoju.

- Czy pani go kocha? - wyrwała się znieczeka, tłukąc wściekle to poduszkę, to kołdrę.

- Kogo? - spytałam w zamyśleniu.

- No... Pana Tonego, oczywiście!

- Antka? Nie wiem. Tak mi się zdaje, ale jeszcze nie jestem pewna - westchnęłam ciężko.

- A to nie za prędko? Dopiero go pani zobaczyła na oczy i już, szast-prast, miłość jak nie wiem co!

- Przecież jest moim narzeczonym. A to chyba cokolwiek zmienia, prawda? - Spojrzałam na nią podejrzliwie. - A tobie o co chodzi, jeśli można wiedzieć?

- Ano... Bo pani przecież wie, że ja dla pani wszystko!

- Wiem. I co dalej?

Amanda przysiadła na brzegu łóżka i zwiesiła dłonie aż do samej podłogi.

- Ja też się tak kiedyś zakochałam. Bez pamięci, sensu i logiki - wyznała desperacko. - A potem to już pani wie: ciąża, bezsenne noce, a nawet próba otrucia się. Długo trwało, zanim doszłam do siebie i teraz powiedziałam sobie, że sto razy się zastanowię, zanim się zakocham!

- No tak, ale o ile dobrze pamiętam, twój wybranek był żonaty i dzieciaty. A mój jest wolny i bezdzietny.

- Owszem, jak najbardziej! - rzuciła prędko. - Ale... pani tak sobie za niego wyjdzie pochopnie, a jak za miesiąc czy dwa znajdzie się jakiś lepszy? Co wtedy?

Cała ta rozmowa wydała mi się co najmniej podejrzana. Amanda, zazwyczaj dyskretna i milcząca, kiedy jej o nic nie pytano, nagle zaczęła się zachowywać jak jakaś przekupa.

- Bez obawy. Nic takiego się nie stanie - odparłam chłodno, dając jej tym samym do zrozumienia, że dyskusja skończona.

- No tak! Mnie też się tak zdawało - ciągnęła niezrażona. - I spotkałam takiego, co bym dla niego w ogień poszła! Ale co? Wtedy była już ciąża, jak wspominałam, nieprzespane noce, a próba otrucia się to już później. Bo on mnie z ciążą nie chciał.

- Do czego ty właściwie dziewczyno zmierzasz, hę? - Usiadłam na przeciw niej i spojrzałam w jej autentycznie zatroskaną twarz. - Teraz

nagle uważasz, że powinnam zerwać z Antkiem?

- Ależ nie! Broń Boże! Tylko... nie zakochiwać się na razie.

- A jak ty sobie to, moja droga, wyobrażasz? - podniosłam w końcu głos. - Że ja mam serce na pilota? Zakocham się, to będę zakochana, a nie, to nie. Teraz czy później, niestety, nie mam na to wpływu. I co to w ogóle za głupoty, ja się pytam???

- Przepraszam. Chciałam dobrze. - Amanda wstała, ominęła mnie szerokim łukiem i umknęła z pokoju.

Zostałam sama ze swoimi myślami, a właściwie kolejnym szokiem, jakie fundowano mi dziś uparcie. Nie mogłam skupić się na niczym, a już najbardziej na spaniu. Po głowie plątały mi się urywki różnych zdań i migawki różnych zdarzeń. Na przykład, co znaczył dziwaczny występ Amandy? Byłam pewna, że miała w tym swoim gładzeniu jakiś cel, ale jaki, nie miałam pojęcia. Albo co miało znaczyć, że Mafiozo vel Michał usiłuje powrócić do życia? Zrozumiałam, że to jakaś przenośnia, bo przecież nie był nieżywy, co odczułam każdym włóknom swojego ciała... Właściwie tylko Antek zachował się dziś bez zarzutu. Dodał mi otuchy jak ktoś naprawdę bliski, godny zaufania i szczerzy. I choć do tej pory liczyłam raczej na coś innego z jego strony, może nawet na jakiś gwałtowny poryw namiętności, uznałam, że ta jego szczerota jest znacznie cenniejsza i lepiej rokująca na przyszłość.

Potem przyszli mi na myśl znikający Izydor i jego żona, wszechobecna Żaneta. Tą drogą doszłam do odłożonych na czas nieokreślony zaręczyn, ale szybko się uspokoiłam, że być może jest to czas, dany nam przez Opatrzność dla lepszego poukładania swoich spraw... I wówczas, jak rażenie piorunem powstała w mojej głowie zasiana przez Amandę wątpliwość: a jeśli, rzeczywiście, wyjdę za Antka, a później znajdzie się ten jeden, jedyne, przy którym miękną kolana, kurczy się żołądek i brakuje tchu? Dokładnie jak... jak...

- O nie! - Usiadłam gwałtownie na łóżku, starając się z całych sił nie kończyć podjętego wątku. - Mowy nie ma!

Słumiłam wyrrywający się z piersi okrzyk rogiem poduszki. Jedno w tym wszystkim było pewne: że tej nocy już nie zmrużę oka.

•

- Proszę natychmiast odejść, bo zawołam ochronę! - darła się Amanda wniebogłosy. - Czy ja się nie wyrażam jasno?!

Jaką znowu ochronę? - przemknęło mi leniwie przez głowę. Przecież tu nie ma żadnej ochrony!

Przy jej kolejnym wrzasku dość szybko doszłam do siebie i rzuciłam się do okna. Amanda oraz jej tajemniczy rozmówca stali po obu stronach bramy i wymachiwali rękami. Facet miał długą, ryżawą brodę, ciemne okulary i wciśniętą głęboko na czoło bejsbolówkę. Nie słyszałam, co mówił, Amanda natomiast robiła w tym względzie za dwoje.

- Do jasnej ciasnej! - krzyknęłam w jej stronę. - Czy ty wiesz, kobieto, która godzina?

Niestety, najpierw spytałam, a potem spojrzałam na zegar. Dochodziło południe...

- Ale kiedy tu jakiś się pcha, proszę pani, bez dania racji! - odkrzyknęła, ignorując moją sugestię odnośnie rzekomo wczesnej pory.

- Przybłąda jakiś czy inny rabuś? - szepnęłam do siebie i przyjrzałam mu się uważnie.

Miałam wrażenie, że znam tę sylwetkę, a bardziej wnikliwa lustracja upewniła mnie w tym względzie całkowicie. Narzuciłam szybko kurtkę na piżamę i zbiegłam na dół.

- Tatuś??? - upewniłam się jeszcze przed otwarciem bramy.

- Pewnie, że tatuś! - stwierdził z wyraźnym żalem w głosie, zdejmując okulary. - Ale nie chcę mnie tu wpuścić, do rodzonej córki!

Amanda spojrzała na mnie zmieszana, uchyliła kute w metalu wrota i oddaliła się dyskretnie.

- Bo wyglądasz jak ostatni łazior! Co ci się stało, jeśli można wiedzieć?

- To kamuflaż, Luizko - odparł cicho, po czym wyciął mnie z dubeltówki.

- A nie mówiłam, że narobisz sobie kłopotów? - sarknęłam, puszczając go przodem.

Dla mnie od początku było jasne, że jeśli tata nie odda oprychom forsy, będzie miał problemy. I ma, co było widać na załączonym obrazku.

- Proponowałam przecież, że jakby co, to można do ciebie... - rzucił z pretensją.

- Owszem, ale wolałabym cię tu widzieć eleganckiego i beztroskiego, jak dawniej, a nie... takiego... - Zmierzyłam go wymownie od stóp po czubek głowy.

- Zaraz będę elegancki i beztroski. Tutaj mam wszystko. - Potrząsnął mi przed oczami sporym, parcianym workiem. - Wskaż tylko jakiś kąt i daj mały kwadransik.

Amanda na szczęście czekała na nas w holu. Poprosiłam ją o udostępnienie ojcu jakiegoś lokum, zanim ktokolwiek miałby okazję go zobaczyć. Na Antka natknęłam się, kiedy już schodziłam na dół, umyta i kompletnie ubrana.

- I znów musiałem zjeść samotnie posiłek - oznajmił z udawaną rozpaczą i cmoknął mnie w policzek. - Ale jeśli chcesz, będę wielkoduszny i dotrzymam ci towarzystwa przy śniadaniu.

- Dzięki, ale nie będę jadła. Myślę, że zaraz napijemy się razem kawy i to mi wystarczy. Bo wiesz... przyjechał mój tata i gdybyś nie miał nic przeciwko temu, zatrzyma się tu na trochę.

- Przyjechał? Kiedy? - ucieszył się, nie wiadomo z czego.

- Przed chwilą. Teraz odświeża się po podróży.

- To doskonale! Bardzo chętnie go poznam. I oczywiście, będzie naszym miłym gościem, jak długo zechce.

- Zajechał kto, jak ja słyszę? - W tej chwili drzwiami od strony ogrodu wszedł Izydor, po pachy uwalany ziemią, we flanelowej koszuli, gumiakach i kowbojskim kapeluszu.

- Tak, tato. Ojciec Luizy nas odwiedził - odpowiedział za mnie Antek.

- Oj, to ja prędko zabiorę prysznic i jestem gotów. Każ podawać jadło i napitki, synu! Do paradnej sali! - zarządził i pobiegł w stronę swoich apartamentów.

- Która to jest... paradna? - spytałam cicho.

- To ten salon z komikiem i portretami przodków - zaśmiał się Antek i puścił do mnie oko.

- No więc każ podawać, a ja naonczas poprawię makijaż - zdecydowałam po wielkopańsku i udałam się na poszukiwanie tatusia.

Ojca znalazłam we wskazanym mu przez Amandę pokoju. Miał na sobie jasny garnitur, nieskazitelnie białą koszulę oraz... fioletowy krawat w gołe baby. I brodę. Szarpnęłam w nerwach za ten krawat, omal nie przewracając ojca na ziemię.

- Coś ty na siebie włożył?! - syknęłam.

Tatusz powiódł wzrokiem za moją dłoń, po czym jednym, szybkim ruchem pozbył się sprośnego elementu garderoby.

- To nie ten - rzekł przepaszająco. - Musiałem widać w pośpiechu spakować nie to, co trzeba. A innego nie mam...

- Trudno. Tak też będzie dobrze. - Wzięłam go pod rękę i poprowadziłam korytarzem.

- O rany, córeczko, aleś się urządziła! - Cmokał z zachwytem, rozglądając się uważnie na boki. - Chałupa, że mucha nie siada!

- To ty mnie tak urządziłeś, tatusiu - odparłam dwuznacznie i trąciłam go łokciem pod żebro. - Ale bądź łaskaw nie zachwycać się tak obcesowo, zwłaszcza przy ludziach.

Ojciec spojrział na mnie z uznaniem. Widać ostatnie wypowiedziane przeze mnie zdanie zrobiło na nim spore wrażenie.

- Oczywiście, moja droga - rzekł, wpadając w podobny ton.

W „paradnej” poza uwijającą się Amandą nie było nikogo. Korzystając z jej chwilowej nieuwagi, przysunęłam się błyskawicznie do tatusia z zamiarem pozbawienia go resztek charakteryzacji, o których, jak sądziłam, zapomniał. Broda jednak, wbrew moim przewidywaniom, trzymała się mocno. Na tyle mocno, że tatuś pociągnięty przeze mnie gwałtownie grzmotnął czołem w stół.

- Ał! - jęknął, po czym wstał i uklonił się w stronę drzwi. Tym razem z własnej, nieprzymuszonej woli.

- Witam serdecznie łaskawemu panu! - wykrzyknął radośnie Izydor, po czym podszedł do tatusia, poklepał go po plecach, a następnie skłonił się tak głęboko, że również wyrzwał głową w krawędź stołu. Widać uznał wypadek tatusia za celowy, mocno uniżony gest powitalny...

- Bardzo jest mi przyjemnie - dodał z miną, która wyraźnie przeczyła jego słowom. - Dobrze ujrzeć pana osobiście.

- To jest mój tata, Henryk Korlacki - pospieszyłam ze spóźnioną prezentacją.

Panowie podali sobie ręce i zaczęli się wzajemnie zachęcać do zajęcia miejsca przy stole. Gdyby w końcu nie zjawił się Antek, ich taniec godowy trwałby pewnie jeszcze długo. Antek przedstawił się sam, krótko i zwięźle, jednocześnie podsunął obu ojcom krzesła i zajął miejsce obok mnie.

- Miło mi pana poznać - zagaił grzecznie. - Wiele o panu słyszałem.
- O?! - zdziwił się tatuś i jakby nieco zmieszał.
- Od Luizy - dodał Antek prędko.

Ojcu wyraźnie ulżyło. Antek prawdopodobnie dostrzegł jego zmieszanie i zręcznie zmienił temat.

- Dobrą miał pan podróż? - spytał i skinął na stojącą w kącie Amandę.

- O, tak, dziękuję - odparł tatuś, po czym chyba na wspomnienie tejże podróży rzucił się do pierwszego okna z brzegu.

Wyjrzał badawczo przez każde po kolei, uśmiechnął się zadowolony i usiadł. Wyjął Amandzie z rąk dzbanek z kawą i obsłużył wszystkich hurtem.

- A panienka czemu nie siada? - zwrócił się do niej, odstawiając dzbanek na stół.

- Bo ja tu podaję, proszę pana - odparła sztywno.

- Hm... no tak - chrząknął tatuś. - Myślałem, że swoja, bo bez żadnego uniformu bryluje przy stole...

- Przyjedzie moja żona, Żaneta, będą uniformy - roześmiał się Izydor. - Pan, widzę, również uczulony na punkcie dobrego bon tonu?

- Dobry bon ton nigdy nie jest zły - potwierdził tatuś i uniósł do ust filiżankę, ze sterzcącym w górę małym palcem.

- Ona też tak uważa. - Izydor pochylił się w jego stronę. - Ale ja osobiście daję moim ludziom na luz. Tylko że jak pan chce, odzieję ich wszystkich według Żanetowego regulaminu.

- Niekoniecznie. Niech sobie chodzą, jak im wygodnie - zgodził się łaskawie tatuś. - A... dużo tych ludzi szanowny pan posiada? - spytał, jakby od niechcena.

- Cztery dziewczki i sześciu parobków - odparł Izydor po chwili namysłu.

- Silne... te parobki? - drażył tatuś, rzucając niespokojnym wzrokiem w stronę okien.

- O, tak! Ogrodnik jest kawał mężczyzny. Całe duże drzewo z korzeniami z ziemi wyciągnie. Szoferowi też nic nie braknie. Chłopcy od drewni i od garażów drobniejsze, choć też ręki mocne mają. Ale najkrzep... szejsza jest kucharka. Sam widziałem, kiedy dwie beczki ogór-

ków pachami swoimi ze wsi przyniosła. A jak się Kaźmirzowi liwarek popsuł, auto wzniosła i trzymała, aż koło zamienił.

- Niewiarygodne - szepnął tatuś w szczerym zachwycie.

- Ale wiarygodne, panie! - zapewnił Izydor. - Jakbym ja oczom własnym zawierzyć nie mógł, to komu bym mógł?

- Ja nie w tym sensie... żeby nie wierzyć. Tylko tak, z podziwu.

Słuchałam ich dialogu w milczeniu, coraz bardziej zła na tatusia i na siebie. Na tatusia, bo nagle wydał mi się taki jakiś inny... Przy tym wielkim, dębowym stole na wysoki połysk, w otoczeniu szlachetnych przodków Izydora i w jego wytwornym towarzystwie. I zrobiło mi się wstyd za tę inność, jego i moją. A potem zrobiło mi się głupio z powodu tego wstydu...

- Mam nadzieję, że się panowie nie obrażą, jeśli zostawimy ich samych? - spytał Antek, który chyba uznał moją minę za wyraz bezbrzeżnej nudy.

- Ale oczywista, bardzo proszę! - zgodził się radośnie Izydor. - Młode jesteście, należy wam się pobawić samemu! Idźcie, dzieci, idźcie!

Antek podał mi rękę i nie czekając na dalsze komentarze, wyprowadził mnie z „paradnej”.

- Myślę, że dadzą sobie radę bez nas - mrugnął do mnie już za drzwiami.

- Też tak uważam - potwierdziłam z ulgą. - I co teraz? Naprawdę chcesz gdzieś pójść?

- Naprawdę. Zaplanowałam to już wczoraj.

- O? A dokąd? - spytałam radośnie.

- Może... na wycieczkę historyczną? Na przykład do ruin Zamku Zombich?

- Do ruin Z o m b i c h? - powtórzyłam ze zgrozą.

Antek roześmiał się rozbawiony.

- Zapewniam cię, że to bardzo ciekawe miejsce.

- Bo? Straszy tam, czy jak?

- Nie sądzę. Co prawda miejscowi mówią inaczej, ale ja w to nie wierzę.

- A ja wierzę - stwierdziłam z powagą.

- Wiem - uśmiechnął się tajemniczo Antek. - No więc? Idziemy, czy się boisz?

- Ja? Skąd! Zaraz będę gotowa.

Pobiegłam do siebie po kurtkę i bardziej odpowiednie buty, jednak niezupełnie z tak bojowym nastawieniem, o jakim przed chwilą go zapewniałam. Zawsze wierzyłam we wszelkie nadprzyrodzone historie i zjawiska, a bałam się ich jak mało czego. Choć oczywiście nie miałam zamiaru się z tym zdradzać.

- Daleko te ruiny? - spytałam Amandy, asystującej mi jak zwykle przy ubieraniu.

- Nie bardzo. Jakies dwa kilometry, jakby iść lasem. Droga będzie dalej. Nie boi się pani? - spytała, unosząc wysoko brwi.

- A powinnam? Bo Antek też mnie o to pytał. - Wzruszyłam ramionami. - Zresztą, nawet jakby były tam jakieś duchy, to mnie nie zjedzą przecież.

- Nie chodzi o duchy. Jest tam taka sala, w której... - Amanda ściszyła głos i urwała na widok wchodzącego do pokoju Antka.

- Gotowa? - spytał, patrząc jakoś dziwnie na Amandę.

- Ja? - upewniłam się zdezorientowana.

- A któż by inny? - roześmiał się i nie czekając na odpowiedź, podał mi ramię.

•

Szliśmy wolno, wspinając się pod górę krętym, leśnym duktem. Powietrze było chłodne i rześkie, mimo iż dzień był wyjątkowo słoneczny. Złota polska jesień panowała tu pełną gębą... Moje myśli wciąż krążyły wokół stołu w „paradnej” sali. Uświadomiłam sobie, jak bardzo tutaj nie pasuję. Wcześniej nie zastanawiałam się nad tym. Miał być jakiś tam mąż, dom, ale przede wszystkim luksus i wygodne życie. Rzecz w tym, że jeszcze nic się na dobre nie zaczęło, a wymarzony luksus już zaczął mnie uwierać. Izidor był dla mnie dobry, wyrozumiały i gościnnie, jak wszyscy ludzie z jego otoczenia... On mnie uważał za skromną, dobrą i uczciwą dziewczynę. Był mnie pewien, cieszył się jak dziecko, że padło akurat na mnie. A ja... Och, gdybyż on wiedział, że ta dobra, uczciwa dziewczyna z zimną krwią nacięła go na grubą kasę, że jej tatuś to drobny hazardzista i naciągacz i że w gruncie rzeczy jedynym powodem mego zamążpójścia była chęć wymotania się z kłopotów oraz inne

materialne korzyści... Na całe szczęście przynajmniej Antka nie musiałam oszukiwać. Ale żal mi było staruszka...

- Hej, o czym ty dzisiaj tak dumasz? - Antek zatrzymał się gwałtownie i spojrzał mi z uśmiechem w oczy.

- O nas - westchnęłam. - O tobie, o mnie, o twoim tacie...

- Mogłabyś podać jakieś szczegóły? Niepokoi mnie ta twoja melancholia.

- Nie. - Pokręciłam przecząco głową. - Nie mogłabym.

- Bo?

- Bo dostanę zadyszki - wykręciłam się głupio.

- No tak. To logiczne - przyznał z powagą Antek, a następnie roześmiał się pełną piersią.

Najwidoczniej miał dziś doskonały humor, co nie wiadomo czemu, również mnie zaniepokoiło.

- Cieszysz się? - spytałam kwaśno.

- Cieszę.

- Z czego?

Antek złapał mnie za ramiona i okręcił dookoła.

- Nie widzisz? Nie czujesz??? Spójrz, jaki piękny świat! Poczuj, jak pachnie las jesienią, wsłuchaj się w głosy przyrody! I w ogóle. Wszystko idzie ku dobremu.

- Tak uważasz?

- Tak. Tak właśnie uważam.

- Bardzo te... ruiny zrujnowane? - Zmieniłam temat.

- To zależy, z której strony. Wschodnia część zamku zachowała się bardzo dobrze, a reszta to już różnie. Sama zobaczysz.

- A dlaczego on nazywa się Zamek Zombich?

- Jest taka legenda. Tutejsi powiadają, że przy okazji jakiejś bitwy, ale nikt nie wie jakiej, mieszkańcy zamku, wiedząc już, że są skazani na przegraną, wymyślili fortel. Uff... Teraz chyba ja dostanę zadyszki.

Antek zatrzymał się i odetchnął głęboko. Teren rzeczywiście robił się coraz bardziej stromy i coraz trudniej się szło.

- Cały dowcip polegał na tym - kontynuował - że wszyscy, jak jeden mąż, do ostatniej sługi, wypili jakąś miksturę, która powodowała stan

podobny do śmierci. I kiedy napastnicy wpadli do środka, zastali samych nieboszczyków.

- I nie bali się, ci zamkowi, że bandyci, na przykład, podpalą wszystko, jak leci? Albo zrobią coś z ich...zwłokami? - spytałam, czując ciarki na ciele.

- Tego nie wiem - odparł Antek i ruszył wolno przed siebie. - W każdym razie dobrze myślisz. Prawie dobrze. Bo napastnicy poprzestali na splądrowaniu co cenniejszych rzeczy, po nich przyszli okoliczni wieśniacy i jak to lud pobożny i prawy, zanim oskubali swoich państwa z reszty dobytku, pochowali ich po chrześcijańsku na dziedzińcu zamku.

- O mój Boże! - jęknęłam ze zgrozą.

- No właśnie. Ale po upływie kilku dób martwi wrócili do żywych i zaczęli siać popłoch.

- Martwi... wrócili do żywych... - powtórzyłam bezwiednie, bo chyba dokładnie coś podobnego usłyszałam od Mafioza-Michała.

- No tak - ciągnął niezrażony Antek. - Bo chłopci jak to chłopci, nikt im na ręce przy robocie nie patrzył, więc pewnie wykopali groby byle jak, przysypali po łebkach i ci nieszczęśni wydostali się jakoś. Co ci jest?

Czułam, że cała moja skóra pokrywa się zimnym, lepkiem potem. Żołądek skurczył mi się gwałtownie, nogi zmiękły, jakby ktoś nagle pozbawił je kości...

- Nic - wyszeptałam. - Zaraz mi przejdzie. Myślisz, że któryś spośród nich mógłby... się zachować do dziś?

- Żywy? Raczej nie - zaśmiał się Antek. - Czemu pytasz?

- Bo... - Już miałam mu się zwierzyć ze swojej dziwnej znajomości z... właściwie nie wiadomo kim, ale na wspomnienie zdradzieckiego obściskiwania się z nim w ogrodzie zmieniałam zdanie. - Tak sobie. Z ciekawości - odparłam krótko.

- Chodź. - Antek podał mi rękę. - Jesteśmy na miejscu.

- Tu? - Spojrzałam zdziwiona w górę, dostrzegając jedynie lity mur, bez żadnego wejścia czy czegoś podobnego.

- Wejście na dziedziniec jest z drugiej strony. - Antek jakby odczytał moje myśli.

Przez chwilę przedzieraliśmy się przez jakieś krzaki, które nagle całkiem się przerzedziły, odsłaniając wielką, kamienną bramę w półkolistym kształcie. Za bramą rozpościerał się brukowany dziedziniec, porośnięty tu i ówdzie dzikimi chaszczami. Zamek z bliska był przeogromny, musiałam nieźle zadrzeć głowę, aby ogarnąć go wzrokiem do samej góry. Prostokątne, czarne otwory okien robiły dość przygnębiające wrażenie, podobnie jak fragment prowadzących donikąd schodów...

- Czy tam da się jakoś wejść? - spytałam cicho, wskazując na ten niekompletny fragment architektury.

- Da się - odparł Antek. - Przez wieżę. Chcesz?

- No jasne, po to tu chyba przyszliśmy - oznajmiłam, dziwiąc się w duchu, że akurat teraz daje mi prawo wyboru.

Antek ruszył przodem, nakazując mi stąpać za sobą ostrożnie i trzymać się ściany. Schody prowadzące do wieży były wąskie i kręte. A kiedy już na dobre zaczęło mnie mdlić i wirować w głowie, podał mi rękę i pociągnął przed siebie.

- Uważaj - szepnął. - Pochyl się trochę, to przejście nie jest zbyt wysokie.

W półmroku dostrzegłam wejście do niskiego, ciasnego korytarza.

- Nie idziemy wyżej? - spytałam.

- Możemy pójść później, jak zechcesz. Ale tędy można przejść do komnat, a raczej tego, co z nich zostało. Proponuję taką właśnie kolejność.

Poruszałam się bardzo wolno, starając się nie potknąć o jakiś luźny kamień. Po chwili jednak zrobiło się całkiem jasno i znaleźliśmy się w ogromnej sali z kilkoma oknami i, sporą wyrwą w grubaśnym murze. W pierwszym odruchu cofnęłam się gwałtownie, omal nie zwalając Antka z nóg. Nie spodziewałam się po prostu, że jesteśmy aż tak wysoko.

- O, mam! - jęknęłam z wrażenia. - Ależ to musiała być kiedyś forteca!

- Z pewnością była - przyznał Antek. - Przypuszczam, że przetrwała skutecznie niejednego wroga najazdu.

- Do kogo dzisiaj należy?

- Pojęcia nie mam. Pewnie ma już tylu spadkobierców, że trudno byłoby im się odszukać, gdyby któryś z nich chciał to odzyskać. Ale chyba

i nikt się nie kwapi, bo odbudowa tego molocha przerosłaby najszczęśliwszą chęć.

- Odbudowa?

- No tak. Bo właściwie tylko ta część, w której się znajdujemy, jest w miarę cała. Reszta to wyłącznie zewnętrzne mury, w środku nie ma nic. Ani stropów, ani schodów, tylko zetlałe belki i kupy kamieni. Kiedyś chyba musiał być tu wielki pożar.

- Więc została jedynie ta sala i wieża? - zdziwiłam się, bo z zewnątrz budowla wyglądała na całkiem dobrze zachowaną.

- Nie, na tym poziomie jest jeszcze kilka pomieszczeń, które możemy sobie obejrzeć.

- A... groby Zombich? Gdzie są? - spytałam, sunąc ostrożnie przed siebie.

- Nie ma. To zwykła bajka. Na tyle nieprawdopodobna, że trudno w nią wierzyć.

Przemierzyłam salę do samego końca, aż do miejsca, w którym, jak mi się wydawało, znajdowała się półokrągła wnęka. Jednak kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że jest to wejście do następnego, ciasnego korytarza.

- A to co? - Odwróciłam się w stronę Antka, ale ten studiował z uwagą jakieś napisy wyryte w kamieniach.

Już miałam spróbować wejść do środka, kiedy na chwilę, na jeden, przerażający i mroźący krew w żyłach moment dostrzegłam tuż przed sobą... Michała - Mafioza! Mało tego, poczułam na swojej dłoni jego zimną rękę, która próbowała wciągnąć mnie w nieznaną czeluść! Odskoczyłam jak oparzona i rymnęłam z hukiem na kamienną posadzkę. Antek znalazł się przy mnie w ułamku sekundy.

- Boże, nic ci się nie stało? - Zobaczyłam tuż nad sobą jego zatroskaną twarz.

- Stało mi się! Bardzo mi się stało!!! - wrzasnęłam w panice. - Właśnie zobaczyłam Zombiego!

- C... co? - wyjąkał Antek, pomagając mi wstać.

- Tam!

Antek podszedł we wskazanym przeze mnie kierunku i na chwilę straciłam go z oczu.

- Durniu! Nie tak miało być! - usłyszałam jego stłumiony głos.

- Hej? Do kogo ty mówisz? - spytałam z lękiem.

- Do siebie - oznajmił, wychodząc z cienia. - Tu nikogo nie ma, coś ci się po prostu przywidziało.

- Przywidziało mi się? A to? - Podsunęłam mu pod nos zadrapany nadgarstek.

- Musiałaś... skaleczyć się o kamienie. Tak czy inaczej, przykro mi, że się wystraszyłaś.

- Antek! Ja wiem, co widziałam. I co czułam! - wykrzyczałam mu prosto w oczy. - Wierz mi lub nie!

- Przykro mi - szepnął i wziął mnie za rękę. - Dasz radę iść?

- Tak - odparłam ponuro. - Ale chyba nie dam rady... wyjść za ciebie!

Mimo stłuczonego kolana prułam przed siebie, ile tchu w piersi. Tym razem droga prowadziła w dół, a przeżyte emocje pomagały mi rozwinąć maksymalną prędkość. Antek biegł za mną i coś krzyczał. Gównie przeproszał i tłumaczył się z całego zajścia. Chyba myślał, że uznałam je za zaplanowany przez niego dowcip... Oczywiście nie winiałam go o nic, byłoby to głupie i bezpodstawne. W mojej głowie tłukło się zupełnie coś innego, coś, co od pewnego czasu drażyło mój umysł. Bardzo chciałam pobyć teraz sama... Nie, najpierw chciałam dopaść Amandę i bez względu na to, jak bardzo będzie się opierała, wydusić z niej parę informacji.

Wpadłam do domu, kiedy Antek był jeszcze daleko za mną. Przebiegłam wszystkie pomieszczenia od najniższej kondygnacji po samo piętro, ale Amandy nigdzie nie było. Nie było też nikogo, kogo mogłabym o nią zapytać.

- Możemy... chwilę... porozmawiać? - wysapał Antek, na którego natknęłam się, zbiegając któryś już raz z góry na dół.

- Tak. Ale potem. Nie najlepiej się czuję - westchnęłam boleśnie, co miało oznaczać, że nie jestem na niego zła, tylko rzeczywiście źle się czuję.

- Dobrze. Będę czekał. - Antek spojrzał mi z niepokojem w oczy i poszedł do siebie.

W tej chwili naprawdę nie miałam ochoty z nikim gadać. Miałam zamiar położyć się w swoim pokoju i dać odpocząć zbolełemu ciału i duszy. A potem... się zobaczy. Zrzuciłam z nóg buty, zdjęłam kurtkę i tak jak stałam, walnęłam się do łóżka. I... w tym momencie przestałam wie-

rzyć własnym oczom! W fotelu obok toaletki, jakby nigdy nic... siedział Straszny Mafiozo i bawił się moją szczotką do włosów! Nie mogąc złać tchu, usiadłam szybko na łóżku. Czułam, że równocześnie chce mi się wrzeszczeć z wściekłości i płakać z żalu nad sobą, uderzyć czymś ciężkim tego bezczelnego typu i jednocześnie rwać sobie włosy z głowy.

- Czego chcesz ode mnie? - warknęłam cicho, wybierając najbardziej lajtową ze wszystkich opcji.

- Pogadać - odparł spokojnie.

- Wyjdź stąd, proszę, i nie nachodź mnie więcej, bo zacznę krzyczeć - zagroziłam bez przekonania.

- Owszem, możesz. Ale w tym domu nie ma teraz nikogo, oprócz nas - stwierdził po chamsku i usiadł obok mnie.

- Okej. Wobec tego mów - warknęłam. - Ale zacznij może od odpowiedzi na moje pytania. Dlaczego mnie prześladujesz? Czemu za mną łazisz, czego chcesz?

Michał przysunął się bliżej i opuszkami palców pogładził mnie po twarzy. Poczulałam zupełnie nieadekwatne do sytuacji dreszcze. Zezłościło mnie to, więc palnęłam go z całej siły w tę nachalną dłoń.

- Nie prześladuję cię - wyszeptał, muskając mnie dla odmiany po ramieniu i szyi. - Tak się po prostu... składa.

- Taaak? - Zdziwiłam się ostentacyjnie. - Najpierw się złożyło, że poznałeś mojego tatusia. Potem się złożyło na wsi, gdzie zamierzałeś mnie porwać, ale ci to udaremnił mój kolega plecakiem. Potem się złożyło na dancingu, potem w ogrodzie, a dziś w zamku oraz tutaj! - Wyliczałam skrupulatnie na palcach.

- Zgadza się - potwierdził ku mojemu zaskoczeniu. - Wszystko, oprócz zamku. A na wsi nie zamierzałem cię porwać, tylko uwolnić. Więzili cię przecież jacyś... złoczyńcy. Czyż nie?

- Nie byłeś... w zamku?!

- Nie.

- Przecież cię widziałam!

Michał nie odpowiedział. Gryzłam w sobie przez chwilę te informacje, wstrząśnięta i oszołomiona.

- Skąd wiesz, że byłam porwana? - Przeszłam wreszcie do kolejnego punktu programu.

- Od twojego ojca. Przecież uprowadzili cię razem z moimi pieniędzmi - zaśmiał się cynicznie.

- No tak - przyznałam niechętnie. - I ty mnie szukałeś? I znalazłeś?

- Znalazłem. Ale czy szukałem? - Zawahał się przez moment. - Tak wyszło.

- A tu skąd się wzięłeś? Też tak wyszło?

- Też. - Michał z powagą skinął głową. - Wiesz czemu?

- Bo jestem ci przeznaczona - sarknęłam, powtarzając jego własne słowa.

- Jesteś - potwierdził, ujął oburącz moją twarz i pocałował tak, że kompletnie zabrakło mi tchu. - Jesteś - powtórzył szeptem i przytulił mocno.

Nienawidziłam go coraz bardziej. Za chamstwo, arogancję i za to, że... chciałam, żeby nie wypuszczał mnie z ramion. I że liczyłam na jeszcze jeden pocałunek... Siedziałam więc jak durna bez ruchu, mając nadzieję, że on odczyta sobie ten mój bezruch jako osłupienie, a nie jako lubieżną chęć korzystania z sytuacji...

- Wierz mi lub nie, ale zakochałem się w tobie. Nie obchodzi mnie, że jesteś zaręczona, nie obchodzi mnie, że nie mam ci zbyt wiele do zaoferowania. Będiesz moja, Luizo, choć być może jeszcze dziś wydaje ci się to absurdalne. Ale tak będzie.

- Jesteś bandytą - wyszeptałam mu gdzieś w okolice obojczyka. - I gangsterem. I włamywaczem.

- Mylisz się. Dlatego właśnie przyszedłem, by uświadomić ci, że nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Nigdy nie skrzywdziłem twojego ojca i nigdy nie miałem takiego zamiaru. I nie zamierzam skrzywdzić ciebie. A wszystko, co się stało i dzieje się nadal, to szereg niefortunnych, nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności.

- Mógłbyś wyrażać się jaśniej? - spytałam, chcąc w ten sposób przedłużyć położenie, w którym się znajdowałam.

- Nie. Teraz jeszcze nie mogę. - Michał rozluźnił uścisk i zajrzał mi w oczy. - Na razie chciałbym tylko, żebyś miała mnie w swojej świadomości. I żebyś uwierzyła w to, co mówię.

- Po co? - spytałam z nagłą trzeźwością umysłu. - Po jaką cholere?

- Obiecaj - poprosił cicho i nie czekając na odpowiedź, wszedł. Normalnie i beczelnie, drzwiami prowadzącymi na korytarz.

Poruszona do głębi wyszłam z pokoju. Nagle wszyscy się odnaleźli. Tatuś z Izydorem grali w „paradnej” w szachy, Amanda szykowała zastawę do spóźnionego obiadu, ogrodnik rył w ogrodzie, Kazimierz mył auto. Miałam wrażenie, że na chwilę, na użytek Mafioza zatrzymał się czas...

Wróciłam do kuchni i zabrałam Amandzie z rąk trzymane w nich talerze. Na wypadek, żeby znów czegoś nie stłukła...

- Słuchaj no, co ty chciałaś mi powiedzieć o tym zamku? - spytałam tonem nieznośnym wykrętów.

- Aaaa... O zamku? - Amanda zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała, o czym mówię.

- O zamku. I o jakiejś tam sali, której miałam się bać.

- Och, bo mówią we wsi, że tam można zobaczyć mężczyznę swojego życia. Znaczy, może się człowiekowi ukazać ten jedyny, przeznaczony od losu. Więc chodzą tam panny i różne kobiety na wydaniu - rozszczębiotała się Amanda, po czym złapała odebraną jej przeze mnie stertę talerzy i ruszyła w stronę drzwi.

- Chwila! - Zastąpiłam jej drogę i ponownie odebrałam talerze. - A ten taki... wysoki, przystojny, z kucykiem, co to niby go nie znasz, kim on jest?

Amanda spojrzała na mnie jak skrzywdzone cielę i ułożyła usta w podkówkę.

- Nie becz! - Uprzedziłam jej zamiar. - Tylko mów, jak na świętej spowiedzi.

- Nieeee powiem! - wyłkała histerycznie.

- Bo?

- Bo... ja... nic nie wiem.

- Amando - zwróciłam się do niej łagodnie. - Może i masz jakieś powody, żeby iść tak w zaparte, mimo że co rusz deklarujesz mi swoje dogonne oddanie. I widocznie jakieś masz, bo nie wierzę ci za grosz. Na buzi masz po prostu wymalowane, że łżesz.

Amanda zwiesiła głowę w milczeniu.

- Okej. Nie będę cię dręczyć. Chcę ci tylko powiedzieć, że w zamku pokazał mi się właśnie on.

- Ojej! Pokazał się pani? - ożywiła się nagle. - Naprawdę?

- Naprawdę. Ale to podobno zbój, oszust i kawał chama! - Spojrzałam na nią badawczo.

- On? Ależ skąd, proszę pani!!! - wyrwała się dziewczucha, po czym, zreflektowawszy się, rozdziawiła buzię i tak już została.

- I o to właśnie mi chodziło - mruknęłam do siebie i poklepałam ją po ramieniu.

•

Tuż przed kolacją Izydor jak zwykle wybrał się do pani Marty, tym razem jednak nie sam. Cieszyło mnie, że tak się zaprzyjaźnili z tatusiem, zwłaszcza że nie miałam teraz głowy do zajmowania się nim.

- My idziemy z Henrym na proszony saper - oznajmił Izydor, wystrojony w kowbojski kapelusz i kowbojskie buty.

Widać taki strój robił odpowiednie wrażenie na jego koleżance z dzieciństwa.

- Chyba się nie pogniewacie, że zostawiamy was samych? - Tatus puścił oko do Antka.

- Nie, skąd - odparłam za niego i zarumieniłam się niechcący.

Zostaliśmy więc w jadalni tylko we dwoje. Amanda podawała do stołu, nerwowo łypiąc na Antka. On jednak jakby tego nie zauważał, ja zaś uznałam, że to nie moja sprawa.

- Gniewasz się nadal? - spytał po jej wyjściu.

- Nie, nie gniewam się. I przedtem też się nie gniewałam. To przecież nie twoja wina, że... coś mi się uroiło.

- Ale powiedziałaś, że nie chcesz za mnie wyjść. Co się więc stało?

- Antek... - Odłożyłam sztućce na talerz i podparłam głowę dłońmi. - Ja już sobie od pewnego czasu tak myślę, że nic dobrego z tego nie będzie. Tak czuję. I doszłam do wniosku, że najdalej jutro pakujemy się z tatusiem i wyjeżdżamy. To znaczy - zaśmiałam się gorzko - tatuś zbiera swoje manatki, bo ja przecież nic tu swojego nie mam. A to, co mam, zostawię Amandzie.

- Luiza! Co ty mówisz?! - Antek poderwał się od stołu w wyraźnej panice. - Nie możesz nam... mi tego zrobić.

- Mogę.

- Ale dlaczego? Wyjaśnij mi przynajmniej!

- Sam wiesz, jak było. I jak jest. - Westchnęłam, licząc na to, że Antek zrozumie.

- Teraz nagle dopadły cię skrupuły?

- Ja nie wiem, czy to są skrupuły. Po prostu, jakoś straciłam zapał.

Właściwie sama nie umiałam sobie wyjaśnić, czemu tak nagle mi się odwidziało. Od kilku dni miałam jakieś dziwne wątpliwości i obawy. Coś się we mnie działo od środka, gubiłam się w pragnieniach, przestawałam rozumieć samą siebie. Gdybym widziała ze strony Antka jakiegokolwiek przejawy uczucia, gdyby okazywał mi choćby drobne gesty świadczące o tym, że go choć trochę pociągam, z pewnością byłoby inaczej. Może nie czułabym się tak... nieswojo. Jeśli zaś on, mój przyszły mąż, nie umiał albo nie chciał przekonać mnie do naszej wspólnej przyszłości, ja sama tym bardziej nie umiałam.

- Trzeba było wobec tego, jak tylko zdobyłaś pieniądze za okup, wiać, gdzie pieprz rośnie! - skwitował Antek z ironią.

- Nie mogłam jakoś - szepnęłam, ignorując jego ton. - On przecież czekał, martwił się o mnie. Liczył na mnie... Twój ojciec, znaczy.

- Więc jak to sobie wyobrażałaś? Że co dalej będzie?

- Nie wiem. Bo... człowiekowi się zazwyczaj wydaje, że zawsze jakoś tam będzie. Improwizuje swoje życie i liczy na to, że wszystko się dobrze ułoży. Samo. Ja pewnie też tak myślałam. Ale uświadomiłam sobie, że ciągle jeszcze mam prawo wyboru i dziś chcę z niego skorzystać.

Antek spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Czemu tak patrzysz?

- Mądre to, co powiedziałaś.

- A widzisz! Dziwi cię to, prawda? Że ja mogę powiedzieć coś mądrego. I w tym sęk. Między innymi.

- Luizo! - Antek zerwał się z krzesła, okrążył stół i pocałował mnie w rękę. - To nie tak!

- Owszem, tak - stwierdziłam ze smutkiem.

- Posłuchaj! Jeśli zrezygnujesz i wyjedziesz, ojciec i tak kogoś mi znajdzie. Z ogłoszenia, oczywiście. Proszę, nie rób mi tego! Znamy się już przecież trochę, przeżyliśmy razem parę ciekawych historii i ja... bardzo cię... lubię. Jeśli i ty lubisz mnie choć trochę, zostań!

W jego głosie zabrzmiała autentyczna desperacja.

- Daj mi chociaż trochę czasu. I sobie - prosił coraz bardziej łamiącym się głosem.

- Naprawdę tego chcesz?

- Naprawdę!

- I nie ze względu na ojca, ale ze względu na mnie?

- Teraz to już tylko... ze względu na ciebie. - Antek objął mnie i przytulił.

- Przysięgasz?

- Przysięgam!

- Dobrze, wobec tego zostanę - odparłam zdecydowanie.

- Dziękuję - szepnął z wdzięcznością. - Aha, byłbym zapomniał - dodał całkiem innym tonem. - Jutro rano przylatuje matka.

•

VIII. Bardzo wielka dama zza oceanu

Od świtu w całym domu dało się odczuć dziwny popłoch. Pracownicy Izydora chodzili jak błędni, niby robiąc to samo co zwykle, ale jakoś bardziej nerwowo i gorliwie. Amanda, która zajrzała do mnie już przed siódmą, wystrojona była w jakąś osobliwą, granatowo-białą sukienkę, kończącą się od dołu znacznie poniżej łydek, a od góry tuż pod samą brodą.

- Podać pani kawę na lepsze obudzenie? - spytała, wsuwając w drzwi minimalny fragment swojej osoby.

- Wejdź do środka i zamknij drzwi, bo i tak cię widzę - poprosiłam, czując, że atmosfera zaczyna mi się udzielać.

Dziewczyna weszła i stanęła przy oknie w nieśmiałej pozie.

- A więc to jest ten twój służbowy strój. - Zmierzyłam ją z góry na dół.

- Jak pani chce się pośmiać, to proszę iść obejrzeć sobie kucharkę - stwierdziła kwaśno.

- Nie chcę się pośmiać. Chcę się ubrać i liczę na to, że coś mi poradzisz.

- Ja?

- Właśnie. Co powinnam włożyć, żeby wypaść jak najlepiej?

- A, to wszystko jedno. - Amanda przestąpiła z nogi na nogę.

- Jak to: wszystko jedno? Znasz przecież panią Żanetę i wiesz pewnie, jaki ma gust.

- No tak, ale mówię pani, że wszystko jedno - upierała się przy swoim.

- Aha - sarknęłam. - Więc może być na przykład elegancka sukienka?

- Może - przytaknęła Amanda.

- Albo balowa?

- Też może.

- Albo dzinsy, koszulka do pępka i słomkowy kapelusz? - pofolgowałam sobie znacznie.

- Też.

- Wiesz co, kochana? Podaj mi tę kawę, a ja sobie jakoś poradzę. - Skapitulowałam, biorąc bredzenie Amandy za objaw stresu spowodowanego przyjazdem damy zza oceanu.

Na wszelki wypadek wybrałam zestaw jak najbardziej elegancki: doskonale skrojoną, całkiem prostą sukienkę barwy jasnej oliwki, nie za długą i nie za krótką. Do tego szpilki w podobnym kolorze i komplet delikatnej, srebrnej biżuterii z jadeitami. Włosy upięłam w kok, prawie całkowicie rezygnując z makijażu. Pomalowałam tylko rzęsy i podkreśliłam usta ledwie widocznym błyszczkiem. Kiedy przyszła Amanda z kawą, byłam już gotowa. Oszacowała mnie ze szczerym zachwytem w oczach.

- Pięknie pani wygląda - oznajmiła, stawiając filiżankę na stoliku toaletki. - Bardzo pięknie.

- A więc widzisz sama, że wcale nie wszystko jedno.

- Ale kiedy właśnie że wszystko jedno - stwierdziła z przekonaniem.

- Za kwadrans proszę zejść do salonu, pani Żaneta nie powinna czekać na nikogo.

- Śniadanie będzie dziś tak wcześnie? - zdziwiłam się, spoglądając na zegarek.

- Nie, śniadanie będzie normalnie. Pani Żaneta będzie tak wcześnie.

Kiedy zesłam na dół, Izydor i Antek siedzieli już w fotelach. Obaj w jasnych garniturach i krawatach. W korytarzu kręcił się pozostały inwentarz ludzki, w każdej chwili gotów służyć pomocą swojej chlebowdawczyni. Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz akurat w chwili, gdy Kazimierz manewrował limuzyną, by podjechać najbliżej drzwi. Antek podszedł do mnie bez słowa, podał mi rękę i zaprowadził na fotel.

- Usiądź tu sobie - zaproponował nerwowo.

Po chwili, kiedy ucichły odgłosy rażnej krzątaniny spowodowanej chyba wnoszeniem licznych bagaży, do salonu wkroczyła dumnie młoda, zgrabna i nieprawdopodobnie piękna kobieta. Jakim cudem ona może być matką Antka? - przemknęło mi przez myśl, zanim spostrzegłam, że obaj panowie zerwali się na równe nogi. Wstałam więc prędko i ja.

- Witaj, moja droga. - Izydor ucałował jej dłoń. - Mam nadzieję, że dobrze zniosłaś podróż?

Kobieta bez słowa odwróciła się w stronę Antka, całując powietrze w pobliżu jego policzka.

- Dzień dobry, mamu - przywitał się. - Witaj w domu.

Pani Żaneta skrzywiła się nieznacznie i spojrzała ciekawie w moją stronę.

- A to jest Luiza. - Antek pchnął mnie lekko w jej kierunku.

- Twoja narzeczona? - Kobieta po raz pierwszy wydała z siebie głos i wyciągnęła do mnie rękę w taki sposób, jakbym miała ją pocałować.

- Tak, mamu - odparł Antek. - Narzeczona.

Kiedy ścisnęłam końce jej wypielęgnowanych palców, nasze spojrzenia na moment się spotkały. W jej oczach było coś takiego, że formalnie omal nie padłam na podłogę. To był naprawdę... porażający wzrok!

Pani Żaneta przyjrzała mi się uważnie, po czym na jej ustach wystąpił lekki, ironiczny uśmiech.

- Ach, tak. Narzeczona - powtórzyła chyba lekceważąco.

Wtedy zrozumiałam mętne sugestie Amandy co do mojej kreacji. Po prostu, cokolwiek bym na siebie włożyła... i tak nie zyskałabym aprobaty pani Żanety.

- Zechcesz najpierw wypocząć, zjeść czego albo wypić? - spytał Izydor.

- O, tak. Poproszę kawę i kawałek babki kokosowej. I kieliszek li-
kieru. A potem proszę oprowadzić mnie po tym... domu.

Amanda uwinęła się z zamówieniem w rekordowym tempie. Pani Żaneta popijała kawę bardzo wykwintnie, małymi łyčzkami i równie wykwintnie spożywała swoje ciasto. Jednocześnie lustrowała wzrokiem salon, szczegóły po szczególe, co jakiś czas wracając do mojej osoby.

- Przypuszczam, że bardzo się kochacie, prawda? - spytała, zawieszając nagle spojrzenie na Antku.

- No cóż, tak się składa, że nie zawsze powodem zawierania małżeństw jest miłość - odparł, błędąc nieco, ale wytrzymując jej wzrok.

Pani Żaneta wydeła usta, po czym, całkiem już nieelegancko, pociągnęła spory łyk kawy.

Przyglądałam jej się może zbyt jawnie, ale nie potrafiłam oderwać od niej wzroku. Zastanawiałam się, ile mogła mieć lat? Na oko nie mia-

ła jeszcze czterdziestki, ale na logikę musiała mieć więcej. Widać upływ czasu, a także dobre kosmetyki były dla niej bardzo łaskawe. Oczywiście natura również wniosła tu spory kapitał: smukłą, doskonałą sylwetkę, piękne rysy twarzy, bujne, kasztanowe włosy. Wyglądała na taką, która ma wszystko, a jednocześnie sprawiała wrażenie bardzo niezadowolonej. Z nikogo i z niczego...

- Pójdźmy więc obejrzeć to twoje cudo. - Uniosła się z miejsca.

Jednocześnie wstali Izydor i Antek. Ja nie zamierzałam się gimnastykować. Pani Żaneta zmierzyła mnie wzrokiem. Uśmiechnęłam się do niej i siedziałam dalej.

- A... narzeczona? - spytała.

- Ja już widziałam ten dom. We wszystkich szczegółach - odparłam.

W chwili, gdy wszyscy ruszyli gęsiego ku drzwiom, nagle zjawił się w nich mój tatuś, w szlafroku i turbanie. Widać było, że Żaneta wywarła na nim kolosalne wrażenie, bo rozdziawił usta na jej widok i stał tak, nie ruszając się z miejsca. Zrobiło mi się głupio.

- Jaśka? - wypalił zniecierpliwiony, celując w nią paluchem.

Żaneta nagle odzyskała władzę w nogach oraz w głosie i odskoczyła, jak oparzona.

- *Who's that?* - spytała Izydora po amerykańsku.

- Przyjaciel domu - wyjaśnił Izydor pogodnie.

- Przepraszam - bąknął tatuś. - Wyszedłem z łazienki i chyba pomyliłem drzwi.

- Nie tylko drzwi pan pomylił! - stwierdziła Żaneta z urazą w głosie.
- Bardzo, ale to bardzo pan się pomylił!

- W takim razie jeszcze raz przepraszam - wydukał tatuś i skłonił się trzykrotnie. - Nie założyłem okularów.

- Ja wypraszam sobie taki mistejk na drugi raz! - syknęła Żaneta dwujęzycznie, ominęła ojca szerokim łukiem i wyszła z salonu.

- Co ty wyprawiasz? - ofuknęłam go, jak tylko zostaliśmy sami. - To jest żona Izydora, matka Antka. Bardzo wielka dama! Nie dość, że chodzisz po domu jak fleja, to jeszcze tykasz ją bezpodstawnie!

Tatuś zmieszany przestępował z nogi na nogę.

- Bo mi się wydawało, że ją skądś znam - wyjaśnił głupio.

- Trzeba było zaczekać i się upewnić, a nie od razu wyskakiwać z grubej rury! I jak my teraz wyglądamy?

- E, tam - machnął ręką tatuś. - Dama czy nie dama, taka sama baba jak i wszystkie. Nie ubyło jej.

- Idź się ubierz - zażądałam, widząc, że moje gadanie i tak go do niczego nie przekona. - I odlep wreszcie tę brodę!

- Broda jest moja własna - odrzekł tatuś z urazą, ścisnął się mocniej paskiem od szlafroka i wyszedł z dumnie podniesioną głową.

Z wycieczki po domu wrócił tylko Antek. Pani Żaneta poszła odpocząć, Izydor natomiast udał się do ogrodu dopilnować jakichś prac. Spojrzałam na Antka z obawą, że mnie skrytykuje za ten występ tatuś. Ale on się tylko roześmiał, jakby ta scena mocno go ubawiła.

- Owszem, trochę jej nadepnął na odcisk - skomentował moje próby wytłumaczenia ojca. - Matka nie jest przyzwyczajona do tak bezpośredniego traktowania. Ale nic jej nie będzie. - Skomentował niemal tak samo jak tatuś.

- To prawdziwa dama - westchnęłam. - Arystokratka, tak?

- Tak - potwierdził Antek. - Ma tyle herbów w rodzie, że jakby chciała nimi ozdobić elewację, to się nie zmieszczą.

- Żartujesz?

- Nie. Może tylko trochę - odparł, mrugając do mnie filuternie.

•

Myślałam, że przyjazd pani Żanety coś zmieni, pchnie do przodu, wydało mi się też, że ostatnie deklaracje Antka spowodują między nami jakąś większą zażyłość, ale chyba tylko mi się wydawało. Płatałam się więc po domu w całkowitej beczynności, próbując znaleźć sobie jakieś zajęcie. Ale w ogrodzie nie pozwolono mi niczego tknąć, kucharka, której chciałam pomóc w obieraniu ziemniaków, omal nie zaatakowała mnie ścierką, a Kazimierz na moją propozycję umycia auta prawie posikał się ze śmiechu.

Tatuś wybrał się nie wiadomo dokąd, Izydor również, a mój narzeczony, jak zwykle o tej porze, schował się w swoim pokoju, by podumać w samotności. Ja miałam już dosyć dumania i doszłam do wniosku, że najlepszym lekarstwem na moje rozterki będzie prosta, fizyczna robota. Chodząc tak z kąta w kąt i z góry na dół, natknęłam się w końcu na panią Żanetę, która przy pomocy Izydorowych „najemnych parobków” wzięła się do przemeblowania domu. Akurat taszczyli we czwórkę wiel-

ką, trzydrzwiową szafę, a Żaneta dyrygowała nimi żwawo. Na mój widok kazała im postawić mebel, po czym zbliżyła się do mnie majestatycznym krokiem.

- A czemuż to narzeczona taka samotna? - spytała z sarkazmem.

- Tak sobie... spaceruję po domu - odparłam zaskoczona.

- Aha. Bo Tony, jak go znam, potrzebuje chwili wytchnienia, prawda? Spojrzałam na nią spode łba, zastanawiając się, do czego właściwie zmierza.

- Nie martw się. - Uśmiechnęła się nagle uroczo. - On ma tyle pieniędzy, że zrekompensuje ci z pewnością wszystkie swoje... niedostatki.

- Nie rozumiem - bąknęłam cicho.

- A ja myślę - wycedziła mi prosto w twarz - że rozumiesz. I że doskonale wiesz, co robisz!

Poczułam się, jakby dała mi w twarz, choć naprawdę nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Chciałam coś powiedzieć, coś ostrego i nieprzyjemnego, ale zamiast tego odwróciłam się na pięcie i odeszłam. Wyszłam przed dom i usiadłam na ławce. Chłodne powietrze powoli przywracało mnie do równowagi.

- Coś się stało? - Taszcząca skądś kosz wielkich, czerwonych jabłek Amanda, przystanęła obok mnie zatroskana. - Ona pani dokuczyła? - Skinęła głową w stronę domu i przysiadła obok.

- Nie lubi mnie i tyle - odparłam krótko.

- O, tym się nie ma co przejmować. - Machnęła beztrąsko ręką. - Do tego się trzeba przyzwyczać. Pani Żaneta ma po prostu taki sposób bycia.

- Może i tak - przyznałam. - Ale ze mną jest inaczej. Ona wyraźnie ma coś do mnie i ja to czuję.

- Pewnie dlatego, że jest pani za ładna - stwierdziła z powagą.

- O? A gdybym była brzydka, to by mnie polubiła?

- Nie. Ale wtedy by pani nie lubiła za to, że jest pani brzydka - wyjaśniła w myśl swego specyficznego sposobu rozumowania.

- Aha. A jeśli nie zgodzi się na ślub?

- Tu akurat ona nie ma nic do gadania. Może pani być spokojna.

- Jak to nie ma? Rodzona matka?

- No właśnie, że nie rodzona. - Amanda spojrzała na mnie niepewnie. - O tym też pani nie wie?

- O czym?

- Pani Żaneta nie jest matką pana Antka, tylko jego macochą. Przecież to chyba na pierwszy rzut oka widać!

- I mnie się wydawało, że jest ciut za młoda, ale myślałam, że po prostu tak dobrze się trzyma...

- Trzymać, to ona się trzyma, swoją drogą - westchnęła Amanda jakby ze smutkiem. - Ale że będzie pod panią ryła, to inna sprawa.

- Czyli?

- No przecież jej, jak nikomu innemu, zależy, żeby syn pana Izydora się nie ożenił, prawda? Po co ma dzielić się spadkiem, kiedy jest ładna, młoda, a jej małżonek wręcz przeciwnie?

- Co ty opowiadasz, Amando! - ofuknęłam ją zgorszona. - Myślisz, że ona czyha na jego... śmierć?

- Tego nie wiem, więc nie powiem - obruszyła się Amanda. - Ale na co by nie czyhała, mnie by nie zdziwiło.

Słowa Amandy przyniosły mi dużą ulgę. Bo wynikało z nich, że pani Żanecie nie chodzi o to, że nie jestem wystarczająco dobra na żonę dla Antka, ale że w ogóle zamierzam nią zostać. A to była dla mnie wielka różnica. Tak wielka, że mogłam już spokojnie ignorować jej zaczepki.

- Wiesz, Amando? Nie mówiłam ci jeszcze chyba, że jesteś bardzo fajną dziewczyną? - spytałam, trącając ją z łokcia.

- Nie - przyznała rozpromieniona.

- No więc teraz ci mówię.

- Przecież pani wie... że ja dla pani... wszystko! - wydukała wzruszona.

- Wiem, że ty dla mnie prawie wszystko - rzuciłam aluzją do jej dziwnego milknięcia przy pewnych tematach. - Ale nie mam ci tego za złe.

Amanda spojrzała na mnie z wdzięcznością i jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko westchnęła głęboko.

- Nie widziałaś gdzieś mojego tatusia? - spytałam z całkiem innej beczki.

Już od jakiegoś czasu chciałam sobie z nim pogadać, ale jakoś nie trafialiśmy na siebie. Teraz, po przyjeździe Żanety, sprawa stała się już chyba niecierpiąca zwłoki.

- Widziałam! Całkiem niedawno, na targu. Chyba się zaprzyjaźnił z naszymi, bo dość tłoczno było koło niego.

Krew odpłynęła mi z twarzy do stóp i z trudem odzyskany dobry nastrój legł u nich z hukiem. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi tatuś najzwyczajniej rznął z miejscowymi w trzy karty!

- Aha. To ja poczekam tu na niego - oznajmiłam z pozornym spokojem.

Amanda zabrała swój kosz i weszła do domu. Robiło się coraz chłodniej. Zastanawiałam się, czy nie pójść po coś cieplejszego na grzbiet, ale na szczęście długo czekać nie musiałam. Bo oto, w asyście donośnych wrzasków i przekleństw, mój rodzony ojciec wleciał jak burza przez bramę i kompletnie nie zważając na mnie, wpadł z impetem do domu. Znałam z doświadczenia podobne sytuacje. Z kamienną twarzą i zimną krwią podeszłam więc do bramy.

- Słucham państwa? - spytałam stojącej na zewnątrz gromady różnej płci i w różnym wieku.

- A... bo tu się schował taki jeden. - Mężczyzna, który kłął najgłośniej, wystąpił przed szereg. - Nie widziała go pani?

- Nie.

- Taki brodziaty, w czapce z dyszlem i beżowej jesionce.

- Niestety, nikogo nie widziałam.

- Niemożliwe. - Facet niepewnie obejrzał się na zgromadzonych. - Sam widziałam, jak w tę furtkę wparował!

- A może bokiem poleciał? - poddał w wątpliwość jego słowa inny.

- Mógł wybiec drugą stroną ogrodu - zasugerowałam uczynnie. - Ale musiałabym go zauważyć, bo przez cały czas siedziałam tu na ławce. Co on takiego zrobił, jeśli można wiedzieć?

- Na pieniądze nas ocyganił! - wysapał wzburzony kobiecy głos.

- Duże? - spytałam, nie będąc pewna, czy chcę to usłyszeć.

Ludzie na chwilę zbili się w ciasną kupkę i zaczęli dodawać do siebie poszczególne sumy.

- Razem trzydzieści pięć złotych - oznajmił ten, który kłął najgłośniej.

Odetchnęłam z ulgą. Widać tatuś obstawiał grę tylko po pięć zeta, więc szkody wielkiej nie było. W każdym razie nie tak wielkiej jak wstyd...

- Trudno. - Rozłożyłam szeroko ręce. - Nic wam na to nie poradzę, ale na drugi raz myślcie trochę, zanim dacie się wpuścić w maliny - po-

radziłam z głębi serca.

Poszkodowani rozeszli się, psiocząc i sarkając, a ja udałam się do tatusia.

- Co ty wyrabiasz? - rzuciłam pretensją od progu. - Oszalałeś?

- Chcesz piwko? - Uśmiechnął się zadowolony. - Zarobiłem. - Wskażał na stojące na stoliku flaszki.

- Tato! - warknęłam wściekła. - Teraz już nie musisz tego robić! Masz przecież co jeść, a nawet co pić. Nie obchodzą cię opłaty za mieszkanie ani nic innego!

- Do tej pory ci to nie przeszkadzało. - Ojciec spojrział na mnie z wyrzutem.

- Ale teraz mi przeszkadza. I nie życzę sobie, żebyś wyprawiał tu takie hocki-klocki.

- Oho! Tylko patrzeć, kiedy ci sodówka do głowy uderzy, jak... tamtej. - Wzniósł oczy do sufitu.

- Pani Żaneta zawsze taka była. - Domyśliłam się, że chodzi mu o nią. - To arystokratka.

- Aha! Jak z koziej dupy... armatka! - spuwentował do rymu. - Już ja znam... - zaczął i urwał.

- Kogo znasz???

- Znam się na ludziach i tyle. A ty, jak dostaniesz się do całej tej forsy, też się taka zrobisz. Zobaczysz.

- Nie zależy mi na forsie! - krzyknęłam, czując każdym nerwem swojego sumienia, że wykrzykuję szczerą prawdę.

- Nie? To co my tu robimy?

- Może się... zakochałam?

- Może - zgodził się tatuś po chwili namysłu. - Ale nie widać tego po tobie.

- Tato! Co ci się stało?! - W nagłym impulsie przypadłam mu do kolan. - Zrobiłeś się taki jakiś... cyniczny, interesowny...

Ojciec uniósł mnie z podłogi i objął mocno.

- No to ja powiem ci coś córeczko i może cię nawet zdziwię. JA jestem dokładnie taki sam jak zawsze.

•

Wieczorem została wreszcie ustalona data naszego ślubu. Na pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Pani Żaneta wyraźnie wiła się i migała, wyszukując w tej dacie same minusy, bo a to święta, a to zimno, a to jeszcze pięćset innych przeciwwskazań. Osobiście wolałaby, żeby ślub odbył się na wiosnę, a jeszcze lepiej latem. Izydor ze spokojem wysłuchał jej argumentów, a następnie wstał i równie spokojnie oznajmił:

- Ślub odbędzie się w Boże Urodzenie i taka jest moja basta! Koniec.

Potem przemówił Antek. Zgodnie z tym, co wcześniej ustaliliśmy, oznajmił, że rezygnujemy z oficjalnych zaręczyn i całej związanej z nimi pompy, a pierścionek kupi mi on sam, jaki sobie wybiorę.

- I bardzo dobrze - oznajmiła Żaneta. - Bardzo mądrze, moja droga. - Tu zwróciła się do mnie. - Na oficjalnych zaręczynach dostałabyś pewnie bardzo cenny klejnot rodowy, ale nie dostaniesz, ponieważ go nie ma. I byłoby ci przykro...

- W tym domu nie ma żadnego klejnota i nigdy nie było! Ani nikogo więcej. - Izydor spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. - I cicho bądź, niewiasto, kiedy mąż się wyraża!

- Oczywiście, że nie było. - Żaneta wzruszyła wdzięcznie ramionami i roześmiała się w głos.

- O co tu chodzi? - spytałam szeptem Antka, bo ich wymiana zdań wydała mi się co najmniej dziwna.

Ale nie doczekałam się odpowiedzi, bo w tym momencie głos zabrał mój tatuś.

- A może pani, skoro jest tak szlachetnie urodzona, posiada jakiś klejnot rodowy, którym zechciałaby obdarzyć potomnych? - spytał, wpatrując się w nią jak sroka w gnat.

- Ja? - Żaneta zatrzepotała rzęsami. - Nasze dobra, proszę pana, przepadły wszystkie w czasie wojny!

- Wszyściutkie? Ani jeden maleńki brylancik się nie zachował? - Dziwował się jakoś tak ostentacyjnie tatuś.

- Nie! - odparła z godnością. - Brylantami, proszę pana, moi dziadkowie w czasie okupacji za bochenek chleba płacili! - dorzuciła, parszcząc nieelegancko okruchami ciasta.

- Ojoj, to drogo - zmartwił się tatuś. - A moi dziadkowie brylantów nie mieli, całą wojnę w Łoswinach koło Strzemielną przebidowali i głodem nie pomarli.

- Tato! Co ty pleciesz! - zgromiłam go w końcu. - Dajże spokój!

- Nie plotę! Przecież wiesz, że nasza rodzina z Łoswin pochodzi. A zraz obok były Przypędki i Rokutno. Też wiochy - zabite dechami.

- No dobrze, ale co to ma do rzeczy, proszę pana? - spytał Antek, który przysłuchiwał się tatusiowi z coraz większym osłupieniem na twarzy.

- Nic nie ma - stwierdził beztrząsco tatuś. - Tak sobie tylko opowiadam. W końcu każdy z jakiegoś rodu pochodzi. Jeden z takiego, a drugi z innego, prawda, szanowna pani? - Uśmiechnął się przymilnie do Żanety.

- Otóż to! - ucieszył się Izydor. - A więc wypijmy za one rody, które z pomocą naszych dzieci złączą się jak ament z pacierzem!

Izydor wznosił w górę lampkę czerwonego wina, za jego przykładem poszedł skwapliwie tatuś, a potem ja. Antek, który w ogóle nie pije alkoholu, spełnił toast wodą mineralną. Tylko pani Żaneta ociągała się jakoś, a kiedy w końcu złapała za kieliszek, zrobiła to tak pechowo, że cała jego zawartość bryznęła jej na suknię.

- Ożeż, kurwa jego mać - mruknęła pod nosem, zerwała się z krzesła i wybiegła z salonu.

Tatuś roześmiał się radośnie.

- No wiesz? - ofuknęłam go natychmiast. - Zdenerwowałeś panią Żanetę i jeszcze się cieszysz!

- Prze... praszam. - Tatuś dławił się tłumionym śmiechem. - Naj... mocniej przrzrz... eeepraszam!

- Nic się nie stało. - Machnął ręką Izydor. - Kobiety mają czasami takie... narwania. Z tym, że moja Żanetka ma bardziej. Co ona powiedziała? - Zwrócił się do mnie jako do najbliższej siedzącej. - Ja nie znam ten wyraz...

- Nie słyszałam - odparłam, spuszczać wzrok.

- A ty? - Izydor spojrzał na Antka.

- Nic takiego, tato. Wyraziła po prostu swoje emocje - wyjaśnił oględnie, na co tatuś znów zarżał z cicha.

- Chcecie jeszcze winka? - spytał Izydor, który jako jedyny zupełnie spokojnie zniósł całe zajście.

- Ja dziękuję - odpowiedziałam za siebie. - Jestem trochę zmęczona, może pójdę już do siebie.

- W takim dniu? Tu się pieczętuje swoją przyszłość, a ty już chcesz w kimono? - zgorszył się tatuś.

- Głowa mnie trochę boli...

- Daj spokój, przyjacielu - poparł mnie Izydor. - Nie chcę, to niech nie piją. Bo mój syn, ja muszę ci rzec, nie pije w ogólności! Ale my, stare weterany, czemu nie, prawda?

- Prawda! - przytaknął gorliwie tatuś.

- To ja w takiej sprawie udam się do piwniczki, a ty Henry, rozciągaj szachy!

- Wobec tego... my już chyba pójdziemy? - Spojrzałam niepewnie na Antka, a ten bez słowa skinął głową.

I znów się łudziłam, że może dzisiaj, kiedy byliśmy już prawie narzeczonymi, Antek popuści nieco swoim żelaznym zasadom i zafundujemy sobie prawdziwą randkę. Tak bardzo tego chciałam! Tak strasznie brakowało mi jego bliskości, choćby krótkiego pocałunku, który pozwoliłby mi uwierzyć, że jest już mój, a ja jego. Ale Antek pożegnał się ze mną układnie przed drzwiami do mojego pokoju.

- Bardzo źle się czujesz? - spytał na odchodne. - Mam u siebie aspirynę, jak chcesz, to ci przyniosę.

- Nie, nic mi nie jest. Powiedziałam, że boli mnie głowa, żeby móc stamtąd wyjść, nie robiąc nikomu przykrości - tłumaczyłam szybko, sądząc, że Antek po prostu w to uwierzył i dlatego zostawia mnie teraz samą.

- Och, to dobrze - ucieszył się. - Odpoczywaj więc spokojnie. Mieliśmy dziś dzień pełen wrażeń. - Pogładził mnie po głowie i odszedł.

Weszłam do pokoju i nie zapalając światła, opadłam ciężko na fotel. Czulałam się naprawdę zmęczona. Miałam już tylko ochotę na długą, ciepłą kąpiel, ale nie chciało mi się ruszyć z miejsca. Po głowie snuły mi się leniwe myśli, które starałam się ukierunkować na wyobrażenie sobie mojego ślubu: białej sukni, uroczystej mszy, pierwszego tańca z mężem i... naszej pierwszej wspólnej nocy. Ale w tym momencie ciągle widziałam, jak Antek żegna się ze mną pod drzwiami sypialni, mówiąc: „odpoczywaj, mieliśmy ciężki dzień”... I ani rusz nie umiałam pobudzić swej fantazji, by zobaczyć tę scenę inaczej. Próbowałam na rozmaite sposoby tak długo, aż obrazy z moich marzeń zaczęły przeplatać się z sennymi majakami. I kiedy po raz któryś już z rzędu wdrapywali-

śmy się z Antkiem po schodach, on nagle złapał mnie na ręce i postawił dopiero na grubym puszystym dywanie naszej sypialni. Potem, całując gorliwie, zaczął zsuwać ze mnie powoli piękną, ślubną suknię. Rozluźniłam mu krawat i zdjęłam marynarkę. On sam błyskawicznie pozbył się koszuli i wrócił do rozpinania kolejnych haftek mojego gorsetu, nie przestając całować. Wplątałam niecierpliwe palce w jego włosy i wówczas spostrzegłam, że to... nie Antek! To był Michał! Nie zdążyłam nawet zareagować, ponieważ w tej chwili usłyszałam straszliwy tumult. To goście weselni ruszyli szturmem na nasz pokój, rycząc przeraźliwie jakąś patriotyczną pieśń.

Ułani, ułaaaani, malowaaaaaane dzie-ci!!!! - słyszałam coraz wyraźniej.

Zerwałam się na równe nogi i zapaliłam światło. Byłam nadal w swoim pokoju, a wszystko, co przeżyłam przed chwilą, było tylko snem... Tylko śpiewy weselnych gości rozbrzmiewały nadal. Nadstawiłam ucha. Pijackie wrzaski dobiegały niewątpliwie z dołu...

- Spaaaaal żółte kormorany - zawodził teraz rzewnie pojedynczy głos, w którym bez trudu rozpoznałam mojego ojca.

A więc ten element mojego snu był jak najbardziej prawdziwy. Widocznie Izidor z tatusiem nadal czcili nasze zaręczyny... Spojrzałam na zegar, było już sporo po drugiej. I wtedy mój wzrok padł na toaletkę, na której spoczywała biała koperta. Zajrzałam do środka i wyjęłam złożoną na pół kartkę.

„Przyjdź wieczorem do ogrodu, będę czekał. Michał” - odczytałam półgłosem.

W pierwszej chwili zamierzałam ją podrzeć i wrzucić do kosza, ale coś zaczęło mnie kusić, by może jednak tam pójść. Już się prawie zdecydowałam, kiedy ponownie uświadomiłam sobie, która jest godzina. Uznałam, że to niemożliwe, aby Michał czekał aż do tej pory. Zebrałam w kupę cały swój rozkojarzony zdrowy rozsądek, napuściłam wody do wanny, wyskoczyłam z ciuchów i zanurzyłam, w ciepłej pianie. Ale nie potrafiłam delektować się kąpielą. Przed oczami wciąż stawał mi Michał, a to ten ze snu, a to zwyczajny, żywy. Uznałam, że najlepiej będzie, gdy zamiast siedzieć i zastanawiać się, czy on tam jeszcze jest, po prostu zejdem i sprawdzę. Wytarłam się byle jak, włożyłam szlafrok, a potem kurtkę i tak wystrojona wyszłam cicho z pokoju. Wszędzie pa-

nowały ciemności rozpraszane jedynie słabym światłem ogrodowych latarni. Rodzaj i charakter koncertu dochodzącego z salonu świadczyły o tym, że natknięcie się na kogoś z tatusiów raczej mi nie grozi. Przemknęłam korytarzem i zbiegłam na dół schodami prowadzącymi na taras. W okolicach naszego poprzedniego spotkania nikogo nie było. Bo logika mi podpowiadała, że tam właśnie powinnam go znaleźć, wśród iglaków rosnących w końcu ogrodu. Ale go nie znalazłam... Zawróciłam więc w stronę domu, próbując przekonać samą siebie, że tak jest lepiej.

- Hej! - usłyszałam nagle, dokładnie tak samo jak wówczas.

Michał maszerował ku mnie ścieżką od strony domu.

- Jesteś! - Ucieszył się i złapał mnie w ramiona.

- Puść - zażądałam. - Powiedz tylko, o co chodzi i znikam.

- Przecież wiesz, o co - odparł ciepło, ale wypuścił mnie z uścisku. - O ciebie!

- Właśnie dzisiaj została ustalona data mojego ślubu - oznajmiłam. - Więc bądź łaskaw trzymać się ode mnie z daleka!

- Naprawdę tego chcesz? - spytał jakby zdziwiony.

- Naprawdę - odparłam z przekonaniem.

- I tylko dlatego do mnie wysłaś, żeby mi o tym powiedzieć?

Tym pytaniem zadziwił mnie samą. Bo właściwie przysłam tu, zupełnie nie zastanawiając się dlaczego. Ale z pewnością nie po to, żeby poinformować go o dacie mojego ślubu.

- Luizoo! - Michał wziął mnie za rękę. - Dlaczego to robisz? Dlaczego chcesz wyjść za niego? - spytał, przybliżając się niebezpiecznie.

Nie odpowiedziałam.

- A widzisz? Prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć: bo go kocham. Ale taka nie padła, a więc go nie kochasz.

- Nie muszę ci się opowiadać z tego, co robię - odparłam ze złością.

- Nie, mnie nie musisz. Ale sobie tak. Nawet powinnaś.

Michał mówił cicho i spokojnie, przez cały czas trzymając mnie za rękę.

- A więc odpowiedz sobie, chcesz zostać jego żoną, czy...

- Czy?

- Czy moją! - podniósł nagle głos.

- Oszalałeś?! - prychnęłam zaskoczona. - Prosisz mnie o rękę?

- Tak - odparł z powagą. - Choć wiem, że nie mogę dać ci tyle co on. Zresztą, zależy, jak na to spojrzeć, bo równie dobrze można by powiedzieć, że on nie może ci dać tak wiele jak ja.

- O czym ty mówisz?

- O miłości! - Nie zważając na moje protesty, Michał znów porwał mnie w ramiona i pocałował.

Świat zawirował mi pod stopami, jak za każdym razem, kiedy brał mnie w objęcia.

- Widzisz? - spytał, parząc oddechem moją szyję. - O tym właśnie mówię!

- Przestań - poprosiłam cicho. - Proszę, odejź i nie mieszaj mi w głowie!

- Dobrze, ale odpowiedz na moje pytanie. Dlaczego zamierzasz wziąć ten ślub, mimo że nie kochasz swojego narzeczonego?

Nie próbowałam zaprzeczać.

- Bo... się zobowiązałam. Nie mogę teraz nagle zmienić zdania i zawieść ich wszystkich... - odparłam, nie patrząc mu w oczy.

- Rozumiem - powiedział ku mojemu zaskoczeniu i wypuścił mnie z ramion. - Ale gdybyś czasem zmieniła zdanie, moja propozycja jest wciąż aktualna. I będzie zawsze.

- Dlaczego mi to robisz?! - krzyknęłam, nie zważając na to, czy ktoś usłyszy. - Akurat teraz, akurat dziś?

- Bo do dziś miałem jeszcze nadzieję, że uda mi się... rozwiązać pewne swoje sprawy. Wówczas miałbym ci do zaoferowania znacznie więcej niż tylko siebie. Ale masz rację, nie powinienem ci mieszać w głowie. Bądź szczęśliwa, Luizo.

Michał podniósł moje dłonie do ust i ucałował każdą z osobna. Dotknęłam opuszkami palców jego policzka. Był mokry. Odwróciłam się do niego plecami, żeby nie widział, że i mnie wilgotnieją oczy. A kiedy po chwili spojrzałam za siebie, już go nie było.

I wtedy przyszło mi na myśl, że Michał odszedł, niosąc z sobą znacznie większy dramat niż tylko odrzucone oświadczyzny. Dzisiaj wyczułam w nim coś innego... tajemniczego, niepokojącego. I nie dlatego, że był gangsterem czy innej maści krętaczem. To zresztą nie miało już dla mnie znaczenia.

Wraciałam do domu wolno i jakby z pewnymi oporami. Najchętniej zostałabym tu, w ogrodzie, zawieszona pomiędzy Antkiem i Michałem, pomiędzy nagle odkrytym uczuciem a powinnością, bez konieczności decydowania o czymkolwiek. W milczeniu, w całkowitej ciszy i absolutnej samotności. Ale to, niestety, nie było możliwe. Chcąc nie chcąc, nacisnęłam klamkę i weszłam do środka.

- ...niejedna panienka na ciebie pooooooleci!!! - Tatuś i Izydor wyli na dwa głosy, gwałcąc brutalnie tak upragnioną przeze mnie ciszę.

Wydawało mi się, że tekst pieśni został nieco zmieniony, ale nijak nie mogłam sobie przypomnieć oryginału.

- Niejedna panienka na ciebie polecą - zanuciłam pod nosem i uzmysłowiłam sobie, jak bardzo prorocze są te słowa. - To prawda - rzuciłam szeptem w stronę ogrodu. - I zapomnisz o mnie szybciej, niż... bym chciała.

•

Uniosłam ciężką głowę znad poduszki, czując, jak mi w niej wiruje i hu-czy.

- Luizy - usłyszałam ponownie, jakby gdzieś z bardzo daleka.

Z trudem otworzyłam oczy i rozejrzałam się dookoła. W drzwiach mojego pokoju stał Antek i jakby nie śmiał wejść dalej

- Co się stało? - spytałam, powoli odzyskując świadomość.

- No właśnie nie wiem. Czekaliśmy na ciebie ze śniadaniem, później z obiadem, a ciebie jak nie było, tak nie ma.

- Chyba jestem... chora. - Usiadłam ostrożnie na łóżku, czując ból w każdej najmniejszej kosteczce. - Przeziębiam się pewnie.

- Przeziębiałaś się? Kiedy?

- Nie wiem. Może mnie zawiąło z przeziębieniem.

Oczywiście, doskonale wiedziałam, kiedy i gdzie, ale rzecz jasna, nie mogłam powiedzieć tego głośno.

- To się dobrze składa, bo... To znaczy, nie zrozum mnie źle, chcia-łem powiedzieć, że tak się składa, że muszę wyjechać. A ty w tym czasie spokojnie się wykurujesz. Poproszę Amandę, żeby dbała o ciebie.

- Teraz akurat musisz wyjeżdżać? Tak nagle?

- Nie mówiłem ci tego wcześniej, żeby nie psuć ci nastroju, ale wiesz przecież, że ja jeszcze się uczę. Muszę wracać na uczelnię.

- Jedziesz do Warszawy? Na długo?

- Tak, do Warszawy. Myślę, że na kilka dni. Postaram się załatwić przepu... To znaczy... załatwię parę najpilniejszych spraw i wrócę. Myślę, że pozwolą mi na dłuższe wolne ze względu na sprawy rodzinne.

- Oczywiście, jedź, siła wyższa - zgodziłam się, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. - Ale... mieliśmy kupić dla mnie pierścionek - dodałam z zawodem.

- Sama sobie kup, jaki zechcesz. Powiem Kazimierzowi, żeby zawiózł cię do miasta, kiedy tylko trochę wydobrzejesz.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, ale nie skomentowałam tego ani słowem.

- Kiedy jedziesz? - spytałam.

- Zaraz. Już jestem spakowany.

- Aha. A gdzie są wszyscy?

- Nasi ojcowie poszli do sąsiadki na zsiadłe mleko. Byli trochę... w nie najlepszej kondycji i twój tata zaordynował im taką kurację. A mój oczywiście skorzystał ochoczo.

- A reszta?

- Matka nadal przemeblowuje dom. A Amanda... nie wiem gdzie jest, ale zaraz jej poszukam.

- Dobrze - westchnęłam ciężko i opadłam z powrotem na poduszkę.

- Ja sobie wobec tego jeszcze poleżę.

- Oczywiście, leż i niczym się nie przejmuj.

Antek podszedł i pogładził mnie po głowie.

- Ojej, ależ jesteś gorąca! - Przestraszył się wyraźnie. - Idę po Amandę. Pod jej opieką szybko wrócisz do zdrowia.

Przez dłuższą chwilę byłam całkiem sama i już myślałam, że Antek o mnie zapomniał. Ale, jak się wkrótce okazało, przeciągająca się nieobecność Amandy spowodowana była sporządzaniem przez nią mikstur i lekarstw.

- Oj, a to się pani urządziła. - Oszacowała mnie na pierwszy rzut oka, stawiając na stoliku liczne kubki i garnuszki.

- Co tak... śmierdzi? - spytałam, unosząc się na łokciu.

- Tu jest czarna bez, od gorączki. - Wskazała na duży, biały kubek. - W tej szklance jest macierzanka, od kaszlu. W tym małym słoiku jest

kozie sadło do nacierania, a w tym dużym miód ze spadzi. Przyniosę jeszcze soku z malin i nowennę do świętej Katarzyny.

- O, matko - jęknęłam ze zgrozą. - A nie można by zamiast tego wszystkiego łyknąć jednej aspiryny?

- Nie można. Po aspirynie pani albo przejdzie, albo nie przejdzie. A po tych środkach choroba minie jak ręką odjął. Są wypraktykowane i skuteczne.

- To daj tę... macierzankę.

- A, nie! Tu wszystko musi mieć swoją kolej. Najpierw czarny bez i kozie sadło, a dopiero potem macierzanka. I nowenna. Po godzinie herbata z sokiem z malin i miodem i znów kozie sadło. A na wieczór, przed spaniem, znów herbata i znów nowenna. Rano pani będzie jak nowo narodzona.

- Trudno, dawaj w takim razie cały zestaw. - Pogodziłam się z losem, chcąc jak najszybciej wyzdrowieć.

Zioła nie były jeszcze takie najgorsze, chociaż gorzkie. Najgorszy był odór koziego sadła, które cuchnęło tak, że zapierało mi dech.

- Otwórz okno - poprosiłam słabym głosem.

- A broń Boże! - zaperzyła się Amanda. - Żeby wleciało morowe powietrze? Jak kto chory w łóżku leży, to każdy mór do niego ciągnie.

- Dobrze, niech ci będzie. Najwyżej się uduszę, ale to już będzie tylko skutek uboczny.

- No! - skwitowała Amanda z zadowoleniem i okryła mnie kołdrą aż pod brodę. - A teraz proszę leżeć i porządnie się wypocić, a ja za godzinkę wpadnę z herbatą - zarządziła i wyszła.

Leżałam więc i pociłam się grzecznie. Ta sytuacja przywiodła mi na myśl wspomnienia z chałupy ciotki Antka, kiedy to po upadku z konia znalazłam się w podobnie niekomfortowym położeniu. Tyle, że tam znacznie mniej śmierdziało.

Nie zważając na napomnienia Amandy, postanowiłam jednak wstać i odrobinę przewietrzyć pokój, gdyż przykry zapach zrobił się nie do zniesienia. Podeszłam do okna i... zdrętwiałam. Nie wiem, czy to był omam spowodowany gorączką, czy też zbyt wyraźnymi wspomnieniami, w każdym razie głowę bym dała, że widziałam przejeżdżającego wzdłuż ogrodzenia zielonego vana. A za jego kierownicą... Trombocyta! Zanim zdążyłam mu się dobrze przyjrzeć, auto zniknęło. Stałam tak jeszcze

chwilę, na wypadek gdyby wróciło, i wówczas ujrzałam kolejny nieprawdopodobny obrazek... Otóż, mój tatuś jakby nigdy nic siedział sobie z panią Żanetą na ławce i prowadzili ożywioną dyskusję. I wcale nie wyglądało na to, że Żaneta jest przez niego nagabywana wbrew swojej woli, wręcz przeciwnie. Mało tego, po pewnym czasie wstali i zaczęli przechadzać się po ogrodzie, przy czym tatuś wcale jej nie gonił, a ona nie uciekała. Wszystko odbywało się jak najbardziej równoprawnie i obopólnie. A kiedy oboje zgodnie udali się w stronę domu, auto przejechało raz jeszcze. I bez względu na to, czy we śnie, czy na jawie, było to z całą pewnością auto oprychów z ich własnymi osobami wewnątrz. Po chwili namysłu doszłam do wniosku, że nie powiem o tym ojcu, bo może spanikować i narobić głupstw. Jedynie, co mogłam zrobić, to dopilnować, żeby nie szwendał się po wsi.

Nie chciało mi się teraz nad tym wszystkim zastanawiać, zwłaszcza że nie byłam do końca pewna, czy naprawdę widziałam to, co widziałam.

Zamknęłam oczy i postanowiłam się zdrzemnąć. Ledwo jednak ułożyłam się wygodnie, do pokoju wtoczyła się Amanda z kolejnym zestawem medycznym.

- Wietrzyła pani? - spytała na wstępie.

- Nie. Nie czujesz? - odparłam ponuro.

- To świetnie. Teraz napijemy się herbatki i natrzemy sadełkiem - pouczyła i przysiadła obok mnie na łóżku.

- Litości - jęknęłam. - Herbatka jak najbardziej, ale tego koziego ścierwa już nie zdzierzę!

- Zdzierzy pani, zdzierzy - zapewniła, zadzierając mi koszulę.

Poddałam się jej zabiegom z zaciśniętymi zębami. Herbatka była pyszna, smród natomiast jakby jeszcze gorszy. Zaraz potem razem odmówiliśmy nowennę.

- Jestem głodna - poskarżyłam się. - Nic nie jadłam od wczoraj.

- I bardzo dobrze! - ucieszyła się Amanda. - Bo chorobę trzeba głodem brać. Jak zarazki nie będą miały się czym żywić, to prędzej zdechną.

- Aha. Głodem, smrodem i czym jeszcze? - spytałam z sarkazmem.

- Jeszcze można by nogi w wodzie z octem wymoczyć - odparła z powagą. - Ale to już jak pani chce, bo niekoniecznie. Tylko że wtedy trze-

ba nowennę zmienić, bo przy occie Katarzyna nie skutkuje.

- Na jaką? - spytałam ciekawie.

- Do świętego Erazma albo świętego Kamila.

- To może ja podziękuję za ten ocet.

- Dobrze. Lepiej pani cośkolwiek? - zatroszczyła się.

- Fizycznie może i lepiej, ale umysłowo nie. Zwidy mam, Amando - pożałowałam się.

- E, niemożliwe. Gorączka już prawie spadła, a kozina działa otrzeźwiająco. Więc od czego byłyby te zwidy?

- Nie wiem, w każdym razie widziałam coś niemożliwego. Mojego tatusia mocno zaprzyjaźnionego z panią Żanetą.

Amanda spojrzała na mnie z niepokojem.

- Ale... oczami pani widziała, czy tylko w głowie?

- Oczami widziałam, przez okno.

Dziewczyna podbiegła do okna, po czym odwróciła się w moją stronę z jeszcze większym przejęciem na twarzy.

- A może by jednak spróbować z tym octem? - zastanowiła się na głos.

- Powiedz mi, ale tak jak na świętej spowiedzi, czy był ktoś, kto... e... tych twoich praktyk nie przetrzymał?

- Znaczy się, że... pomarł? - Amanda uniosła wysoko brwi.

- No.

- Ale skąd! - oburzyła się szczerze. - Nigdy!

- To dawaj ten ocet - zażądałam z desperacją.

Dziewczyna wybiegła z pokoju, ale prawie natychmiast wróciła.

- Już? Tak szybko? - zdziwiłam się, zwłaszcza że tym razem nie taszczyła z sobą niczego.

- Nie mam octu, bo chyba nie trzeba - wysapała w podnieceniu.

- Czemu?

- Bo pani tatuś rzeczywiście gawędzi sobie z panią Żanetą, tyle że w domu. U niej w pokoju, widziałam przez szparę w drzwiach.

- Kłóć się?

- Gdzie tam! Szepczą i poklepują się po plecach.

Jakoś nie umiałam sobie wyobrazić podobnej sceny, ale i tak mocno mi ulżyło. Choćby dlatego, że ominął mnie kolejny punkt kuracji.

- Słuchaj, Amando, gdybyś go potem zobaczyła samego, powiedz, żeby do mnie wpadł, okej? - poprosiłam, ponieważ miałam zamiar wybać, co tu się szyje.

- Mowy nie ma! - zaparła się kategorycznie. - Zresztą już wszystkim zapowiedziałam, że nie wolno pani nachodzić.

Westchnęłam głęboko w obawie, że do ozdrowienia ciekawość zeżre mnie z kopytami. Ale pogodziłam się z tym, gdyż oddanie i opiekuńczość Amandy wzruszały mnie do głębi. Po jej wyjściu przewróciłam się kilka razy z boku na bok, nie czując już ani gorączki, ani łupania w kościach, ani smrodu. Tylko przemożny, ssący głód. Jednak i z tym musiałam się oswoić co najmniej do jutra. Chociaż... przypomniało mi się, że powinnam mieć gdzieś parę ciastek, które wczoraj Amanda przyniosła mi do kawy. Właśnie miałam wstać i dokonać rewizji wszystkich szafek, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Ciekawe, któż to odważył się złamać zakaz Amandy? - zdziwiłam się w duchu.

- Proszę - krzyknęłam i przysłoniłam się kołdrą.

To była... pani Żaneta.

- O Matko Przenajświętsza! - wrzasnęła i podbiegła do okna. Energetycznym ruchem rozsunała firany i otworzyła okno na oścież.

- Niech pani zostawi - jęknęłam. - Bo mór mnie najdzie!

- Już cię chyba naszedł i to dawno, bo zdążyłaś zaśmierdnąć - prychnęła po swoim. - Co ci jest? - Spojrzała na mnie z góry.

- Nie wiem. Miałam trochę gorączki, ale już trochę ustąpiła po kuracji Amandy.

- Ustąpiła? Przecież ta wieśniaczka wpędziłaby cię do grobu!

Ku twojej uciezce - pomyślałam zgryźliwie.

Żaneta zakręciła się po pokoju, zajrzała tu i tam, a potem weszła do łazienki i puściła wodę do wanny.

- Rozbieraj się, a ja przyniosę sole do kąpieli i lekarstwo - zażądała.

Kąpiel, mimo iż sporządzona przez wroga, sprawiła mi niewymowną przyjemność. A kiedy już wyszłam, zastałam na łóżku świeżo zmienioną pościel, na której leżała frymuśna koszulka, a zamiast koziego zapachu wszędzie rozchodziła się woń lawendy. W drzwiach stała Amanda i ciaskała wzrokiem pioruny.

- Tobie już dziękuję. - Żaneta zwróciła się do naburmuszonej kobiety. - Sama się tym zajmę.

- Ależ nie trzeba - zaproponowałam. - Jestem pod dobrą opieką.

- Dobrą? Czy wy jesteście obie tak samo głupie, czy tylko mi się зда-
je? - spytała, wręczając mi koszulkę. - Włóż to. Powinna być dobra, je-
steśmy... podobnej postury.

To ostatnie stwierdzenie przyszło jej z niejakim trudem. Ubrałam się
posłusznie i położyłam do łóżka. Pani Żaneta usiadła obok i przyłożyła
mi dłoń do czoła.

- A jednak jest gorączka i to wysoka - oznajmiła. - Trzeba będzie po-
dać ci coś skutecznego.

Mamrotała coś do siebie, krzątając się po pokoju, a ja obserwowa-
łam ją uważnie i zastanawiałam się, czemu nagle zrobiła się taka tro-
skliwa? Wszystko stało się przerażająco jasne, kiedy podeszła do mnie
ze szklanką zielonego, musującego płynu.

- Ja tego nie wypiję! - zaprotestowałam kategorycznie.

Przez twarz Żanety przemknął jakiś dziwny grymas, ale to nie była
złość. Coś jakby zmieszanie i zdumienie.

- Jak sobie chcesz - stwierdziła po chwili. - Ale ja stąd nie wyjdę, do-
póki tego nie zrobisz.

- Proszę bardzo - zgodziłam się uprzejmie i ułożyłam wygodniej.

Pni Żaneta usiadła w fotelu, który uprzednio przypchała jak najbliżej
łóżka.

- Obawiasz się moich środków, a idiotyzmów, którymi raczyła cię
ta wsiowa baba, jakoś się nie bałaś? - spytała po chwili.

- Nie, nie bałam się. Amanda jest mi bardzo oddana. I mnie lubi. -
Próbowałam dać jej do zrozumienia, na czym polega różnica.

- Wątpię. - Żaneta uśmiechnęła się krzywo. - Ona nie jest od lubie-
nia, tylko od roboty. Za to jej płacimy.

- Uważa pani, że w związku z tym nie ma żadnych uczuć? Nie może
kogoś lubić, a kogoś nie?

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. - Strzepnęła jakiś niewi-
doczny pyłek z nieskazitelnej bluzki. - Bo i po co?

- Jasne - podsumowałam z przekąsem.

Na tym nasz temat do rozmowy się wyczerpał. Pani Żaneta tkwiła
niewzruszenie na posterunku, ja równie niewzruszenie obstawałam
przy swoim. To znaczy przy niezażyciu „lekarstwa”. Jakiś czas później
poczułam, że kleją mi się oczy i z całych sił próbowałam walczyć

ze snem. Moją ostatnią świadomą myślą było, że przecież nie wbije mi chyba noża w serce... I skapitulowałam.

Obudziłam się gwałtownie, czując, że się duszę. Rzuciłam okiem na fotel, ale Żaneta nadal tam była. Spała, z odchyloną głową do tyłu. Uczucie duszności robiło się coraz bardziej nieznośne, zdawało mi się, że z każdym oddechem muszę unieść na piersiach stukilowy ciężar. Z całych sił chciałam coś powiedzieć, ale nie byłam w stanie. W jakimś nadludzkim wysiłku wyciągnęłam przed siebie dłoń, strącając ze stolika szklankę z zieloną miksturą. Pani Żaneta zerwała się na równe nogi i błyskawicznie przypadła do łóżka.

- Co ci jest? - wrzasnęła, grzmocąc mnie po plecach.

Po chwili uspokoiła się trochę i zaczęła mnie bardziej systematycznie oklepywać. Robiła to dotąd, aż wrócił mi oddech.

- Nie będę już słuchała żadnych fanaberii - oznajmiła. Podniosła z podłogi szklankę i sporządziła drugą, identyczną paplugę. - Pij! - Jedną ręką objęła mnie za ramiona, a drugą przystawiła napój do ust. Nie byłam w stanie się opierać. Wypiłam do dna.

Odczekała jeszcze chwilę, od czasu do czasu przykładając mi dłoń do czoła.

- Okej - stwierdziła w końcu. - Teraz mogę już iść. Zajrzę do ciebie rano.

•

IX. Who's that boy?

Ranek, wbrew moim przewidywaniom, powitał mnie całkowicie żywą, a nawet, powiedziałabym: żywotną. Ostrożne samobadanie nie wykazało najmniejszego defektu organizmu: zero gorączki, kaszlu, duszności. Tylko straszliwy głód, który boleśnie rolował mi żołądek, trzeszcząc i skrzypiąc. Uchyliłam troszkę okno, wpuszczając do pokoju ożywczy powiew świeżego powietrza. Jakby co – pomyślałam – będzie na Żanetę. Przy okazji zlustrowałam dostępną mojemu wzrokowi okolicę, ale niczego podejrzanego nie zauważyłam. Słyszac zbliżające się kroki, szybko wskoczyłam do łóżka. Ku mojej wielkiej radości w drzwiach pojawiła się taca z pożywieniem. Tuż za nią wtoczyła się Amanda z chmurną miną.

- Jak się pani pogorszy, mnie proszę za to nie winić – zastrzegła na wstępie. - Ale ona kazała mi to przyrządzić.

„To” okazało się szklanką soku z pomarańczy, jajkiem, grzankami i konfiturą.

- No cóż, skoro kazała, to niestety, będę musiała wszystko spożyć – stwierdziłam ze smutkiem, po czym wyszarpałam jej tacę z rąk.

Amanda ze zgorzeniem wpatrywała się w moje poczynania. Połykałam wszystko, jak leci, prawie bez gryzienia.

- Jak pani się czuje? – spytała po chwili.

- Wyśmienicie! – odparłam z pełnymi ustami. - Jestem już zupełnie, zupełnie zdrowa, Amandziu miła!

- A widzi pani? To dzięki moim lekom – triumfowała, podparłszy się pod boki.

- Jasne, że tak – potwierdziłam gorliwie. - Tylko i wyłącznie. A nie można by... odrobinę kawki?

- Ano, jak tak, to można – uśmiechnęła się zadowolona. - Zaraz przyniosę.

Po wyjściu Amandy przyszła Żaneta. Najpierw omiotła wzrokiem pustą tacę, potem mnie.

- Ogarnij się trochę - zażądała bez ceregieli. - Zaraz przyjdzie do ciebie doktor.

- Po co? Już nic mi nie jest. Wszystko mi przeszło.

- Oczywiście, że ci przeszło - rzekła wyniośle. - Lekarstwo, które ci podałam, jest bardzo skuteczne. Stosuję je od lat.

- Muszę przyznać, że i owszem - przytaknęłam, bo co mi to szkodziło.

- Jak prędko będziesz gotowa? - spytała Żaneta z nikłym uśmiechem w kącikach ust.

- Może... za pół godziny?

- Dobrze. - Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Wyglądało na to, że urodzaj na gości jeszcze się nie skończył. Zaraz po wizycie Żanety wtargnął do pokoju tatuś i rozparł się w fotelu. Siedział bez słowa, przyglądając mi się jakoś dziwnie. Popijałam kawę małymi łyčzkami i niecierpliwie czekałam, aż przemówi.

- O co ci chodzi? - spytałam w końcu, nie doczekawszy się inicjatywy z jego strony.

- A, nic... Tak przyszedł. Odwiedzić cię, bo podobno jesteś chora.

- Byłam. I co poza tym? - Ponagliłam, bo odniosłam wrażenie, jakby chciał mi o czymś powiedzieć.

- Nic

- Nic??? - Upewniłam się lekko rozczarowana. - Powiedz mi w takim razie, skąd ta twoja dziwna komitywa z Izydorową? I co jej się nagle stało? Opiekowała się mną wczoraj i dziś też już była. Zaszantażowałaś ją czymś, czy co?

- Ależ skąd? - obruszył się tatuś. - I jaka w ogóle komitywa? Ot, pogwarzyliśmy sobie troszkę. I tyle.

- Podejrzane to jakieś... - Spojrzałam na niego przenikliwie. - Z tego, co wiem, Żaneta nie jest szczególnie towarzyska. Zwłaszcza poza swoją sferą.

- E, tam - machnął ręką tatuś. - Już ci przecież mówiłem, że to baba, jak wszystkie inne. A ja mam, nie chwałąc się, oczywiście, spory wpływ na kobiety. No właśnie, a jak się czujesz, bo o to głównie chciałem spytać.

- O!!! - wykrzyknęłam w panice, przypominając sobie, że zaraz ma być u mnie lekarz.

- To znaczy? - Tatuś popatrzył na mnie z obawą.

- To znaczy, że bardzo dobrze, ale teraz muszę się przygotować na wizytę doktora. Więc gdybyś mógł...

- Oczywiście. - Zerwał się na równe nogi. - A jakby co, to... wiesz, gdzie mnie szukać.

- Mam nadzieję - mruknęłam z przekąsem. - A propos, nie wychodź dzisiaj nigdzie, dobrze?

- Bo? - Zatrzymał się w progu.

- Bo cię proszę - odparłam pospiesznie. - I uwierz mi na słowo, że jest to prośba bardzo uzasadniona.

Miałam mu jeszcze powiedzieć, żeby jednak nie golił brody, ale jakoś mi umknęło... Po wyjściu ojca wzięłam błyskawiczny prysznic i ledwo zdążyłam się osuszyć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Moim oczom objawił się wysoki, szczupły mężczyzna w zaskakująco młodym wieku.

- To jest pan doktor Lichota - zaanonsowała Żaneta, wysuwając głowę zza jego ramienia.

- Lichota - poprawił doktor.

- Innego nie było - dodała, rzucając mu adekwatne do wypowiedzi spojrzenie.

- Ależ był - zaprzeczył lekarz uprzejmie. - Dziś na dyżurze jest jeszcze doktor Wyciór, jeśli sobie łaskawa pani życzy...

- Niechże się pan nie awanturuje, tylko robi swoje - skrzywiła się Żaneta i pchnęła go lekko w moją stronę.

Doktor najpierw długo mył ręce, może licząc na to, że znudzona tym hrabinią zostawi nas samych. Ale ona tkwiła na środku pokoju w pozie, która sama z siebie mówiła, że niedoczekanie nasze. Lekarz widocznie nie śmiał jej wyprosić, więc łypiąc tylko niechętnym okiem, zbliżył się do mnie i rozpoczął badanie. Opukał mnie, osłuchał, obejrzał gardło, a następnie szczegółowo wypytał o wczorajsze dolegliwości.

- Co jej pani podała? - zwrócił się na koniec do Żanety.

Ta, bez słowa podsunęła mu pod nos pustą fiolkę.

- Ahaaaa - rzekł w zamyśleniu doktor. - To mogło obniżyć gorączkę, tylko że ja nie widzę tu żadnej przyczyny tak wysokiej temperatury. Czy miała pani wcześniej jakieś zaburzenia żołądkowe? Biegunkę, wymioty?

- Nie - odparłam, zezując na zniesmaczoną Żanetę.

- Na pewno?

- Na bank!

- A może przeżyła pani jakiś silny stres? Wzburzenie, wstrząs psychiczny?

- Stres, owszem - odparłam po chwili. - I wstrząs - dodałam na wspomnienie mojego ostatniego spotkania z Michałem.

- To by wszystko tłumaczyło - oznajmił. - Organizm często tak reaguje, że dolegliwości psychiki manifestuje chorobą ciała. W ten sposób chce wymusić na swoim posiadaczu więcej uwagi dla siebie, odpoczynku, zwolnienia tempa.

- I co pan na to zaleci? - spytała Żaneta ze zmarszczonym czołem.

- Tak jak powiedziałem: odpoczynek, relaks, unikanie sytuacji stresogennych. Bo fizycznie pani jest całkiem zdrowa. To tyle.

- Ile się należy? - spytała, widząc, że lekarz zbiera swoje manatki.

- Nic.

- Nic? Jak to?

- Jestem tu w ramach dyżuru, proszę pani. Do widzenia - rzekł, omijając ją szerokim łukiem. - Proszę mnie nie odprowadzać, sam trafię.

Żaneta po wyjściu doktora dość długo sterczała jeszcze nade mną, gapiąc się jakoś tak niezdecydowanie. W końcu przysiadła na brzeжку fotela i założyła nogę na nogę.

- Co to był... za wstrząs? - spytała, jakby od niechcienia.

- Normalnie, jak to w życiu - odparłam wymijająco.

- W związku z Antkiem?

Nie odpowiedziałam. Jeśli ta baba myślała, że będę jej się zwierzać, grubo się myliła.

- Hm... Masz bogatego narzeczonego, przyjęto cię tu z otwartymi ramionami, ślub lada moment... - ciągnęła z uporem. - Wydawałoby się, że powinnaś być szczęśliwa...

- Powinnam.

- A nie jesteś?

- Niech mi pani powie. - Spojrzałam jej głęboko w oczy. - Skąd ta nagła troska o mnie? Bo na pierwszy rzut oka nie zdawało mi się, żeby czuła pani do mnie sympatię. Na drugi też nie...

- Po prostu. Chcę ci pomóc, jak kobieta kobiecie - zełgała ewidentnie.

- Czy.. mój tatuś ma z tym coś wspólnego?

- Twój... tatuś? - Zatrzepotała rzęsami. - Nie! Dlaczego?

- No właśnie, tego nie wiem - westchnęłam.

Żaneta wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju, rzucając mi od czasu do czasu nieodgadnione spojrzenie.

- Posłuchaj! Skoro nic ci nie jest, ubierz się, umaluj i po obiedzie pojedziemy na zakupy. Okej? - wypaliła zniecierpliwiona.

- Ja... chyba nie chcę.

- A masz coś lepszego do roboty?

- Nie - odparłam zgodnie z oczywistą prawdą.

- Wobec tego nie marudź. Lekarz zalecił ci relaks.

•

Wchodząc do jadalni, omal nie padłam z wrażenia już na progu. Tatuś, ślicznie ogolony i ufryzowany, radośnie dotrzymywał towarzystwa pani Żanecie. W jasnych dżinsach i kremowej, bawełnianej koszuli wypuszczonej na spodnie odmłodził najmniej o dziesięć lat. Przystanęłam na chwilę w drzwiach, by lepiej ogarnąć sytuację. Żaneta, jak zwykle piękna i elegancka, zupełnie nie sprawiała wrażenia znudzonej jego towarzystwem. Przeciwnie, szczebiotała coś ściszym głosem i z wyraźnym błyskiem w ocienionym długimi rzęsami oku.

Pożałowałam, że nie upomniałam go rano, aby jednak nie golił tej brody...

- Dzień dobry - zasygnalizowałam swoje wejście i usiadłam.

- O! Dzień dobry - ucieszył się tatuś, a Żaneta uśmiechnęła się bez słowa.

Amanda wносиła półmiski, wazy i sosjery, drażniące mój żołądek smakowitymi zapachami. Miałam nadzieję, że Izidor zjawi się lada chwila, nie każąc nam czekać z rozpoczęciem posiłku. Na szczęście, wraz z ułożeniem ostatniego sztucca, wkroczył do jadalni sprężystym krokiem, dumny i bardzo z czegoś zadowolony.

- Jak miło ujrzyć wszystkich w całkowitym zdrowiu! - oznajmił. - Choć nie za bardzo kompletnych - dorzucił, spoglądając na puste krzesło Antka.

Skinął na Amandę, a ta złapała za największą wazę i podeszła do Żanety.

- Od dziś, moja droga, będziemy odżywiać się patriotycznie. Oto przed tobą zupa ziemniakowa, na prawdziwym ziemniaku sporządzona. Będą jeszcze szare kluski ze skwarkami i pulpity.

- Pulpity? - spytała Żaneta, unosząc wysoko brwi.

- Tak - odparł Izydor. - Z grzybami. I smażoną kapustą, też z grzybami. I siadłe mleko. A na deser budyń z kurzych jaj. Podawaj, Amando!

Zupa ziemniaczana była wyśmienita. I w ogóle wszystko z osobna, Izydor zgromadził bowiem na jednym stole same wiejskie pyszności, jakie znałam z domu moich dziadków. W takim zestawieniu jednak budziły moje poważne wątpliwości.

- Niezła - pochwaliła zupę Żaneta.

- Uhm... Jak u mamusi - mlasnął z zapałem ojciec.

Równie smaczne były pulpety z kluskami, ale z całej reszty wolałam zrezygnować.

- Ty nie smakujesz? - zaniepokoił się Izydor. - A może źle się czujesz, nie doszłaś do siebie zbyt dobrze?

- Ależ nie, tylko... Wszystko jest doskonałe, lecz... - Nie wiedziałam, jak to ująć, by zabrzmiało delikatnie i w miarę estetycznie.

- Ona chce ci powiedzieć, że jak zakąsisz to wszystko budyniem i zapijesz zsiadłym mlekiem, to dostaniesz sraczki - wyręczył mnie tatuś.

Łypnęłam okiem na panią Żanetę, ale wypowiedź ojca nie zrobiła na niej większego wrażenia.

- Jakże to? - zdziwił się Izydor. - Przecież wczoraj oba my go wypili, cały galon prawie. I my nie dostali sraczki. A może ty dostałaś, Henry?

Spojrzał na ojca z niepokojem.

- Ależ nie - zaprzeczył tatuś. - Bo po pewnych... eee... produktach zsiadłe mleko jest nad wyraz wskazane, a po innych przeciwnie. Rozumiesz?

- O, tak! - ucieszył się Izydor. - Więc odstawimy teraz tego płynu, a na wieczór znów użyjemy produktów, co są wskazane. Żeby się nie zmarnowało!

- Skoro tak, my również pozwolimy sobie na trochę rozrywki. - Żaneta wytarła serwetą kąciuki ust i wstała od stołu. - Chodź, Luizo, zabieram cię na zakupy.

- Świetna idea! - Przyklasnął jej Izydor. - Należy się rozrywka nieboszczce! Ona taka sama teraz, bez Antka.

- Chciałeś chyba powiedzieć: nieboraczce - sprostowała z niesmakiem Żaneta.

- A co za różnica? - zdziwił się Izydor.

- W temperaturze ciała - podrzucił dowcipnie tatuś.

- Później mi to, Henry, dokumentnie wyłuskasz. A teraz ja ci powiem, co ci jeszcze nie mówiłem: masz bardzo doskonałą córkę. Piękną, dobrą i skromną. I to mnie się taki skarb przytrafił!

- Wiem, sam ją przecież na taką wychowałem! - Ojciec wypiął się dumnie.

Spuściłam oczy, wcale nierada z tego komplementu. W obawie, aby nie zaczęto jeszcze bardziej mnie wychwalać, z własnej nieprzymuszonej woli ruszyłam za Żanetą.

- Włóż na siebie coś eleganckiego - szepnęła mi na schodach. - Bo wiesz, jak cię widzą, tak... cię obsłużą.

Nie odpowiedziałam, ale postanowiłam sobie w duchu, że w tym miejscu musi się skończyć jej ekspansja na moją osobę. A skoro tak, włożę na siebie, co sama uznam za stosowne. Wybrałam džinsy, buty na płaskim obcasie i sportową kurtkę.

- Wybiera się pani gdzieś? - spytała Amanda, która zjawiała się u mnie, jak tylko uprzątnęła stół.

- Taaaa... Na zakupy - mruknęłam niechętnie.

- Z panią Żanetą?

- A co mam zrobić? Odmówić? W końcu niedługo będzie moją teściową.

- Żoną teścia - sprostowała Amanda.

- Jak zwał, tak zwał. - Wzruszyłam ramionami. - W gruncie rzeczy na to samo wychodzi.

- Będzie dla pani zamawiała suknię ślubną? - spytała ściszym głosem.

- Nie, no co ty! Raczej nie... Chyba nie sądzę - odparłam, tracąc stopniowo na pewności.

- Więc wychodzi pani za pana Antka?

- Chyba cię to nie dziwi? - odpowiedziałam pytaniem.

- Nie, nie dziwi, oczywiście, że nie - potwierdziła szybko.

- A mnie dziwi, wiesz? - Nasze spojrzenia spotkały się przez chwilę. - Coraz bardziej dziwi mnie wszystko dokoła. Ale cóż, jak mawiała moja

babcia, kto się dał za psa, ten szczeka...

- O czym pani mówi? - Amanda otworzyła szeroko oczy.

- Nie wiem. Nie wiem, co mówię, nie wiem, co robię i chyba tylko Bóg jeden wie. Mam taką nadzieję - dodałam już za drzwiami i zostawiając ją w lekkim osłupieniu, zbiegłam po schodach.

Kazimierz sterczał już przy samochodzie, umundurowany i sztywny. Bez słowa otworzył mi drzwi.

- Jak się czujesz? Czy chciałbyś z kimś o tym porozmawiać? - spytałam z dramatycznie zatroskaną miną.

Szofer spojrzął na mnie posepnie, a po chwili roześmiał się stłumionym basem. Zaraz potem dostrzegł coś za moimi plecami i spowaźniał natychmiast. Pani Żaneta podeszła do auta kocim krokiem, powalając wyglądem i oszałamiając zapachem. Zmierzyła mnie z góry na dół wzrokiem pełnym dezaprobaty, ale nie wyraziła się na temat mojego stroju. Usiadłyśmy obok siebie i Kazimierz ruszył, jakby sam z siebie wiedział dokąd. Widać pani Żaneta wydała mu dyspozycję już wcześniej. Zastanawiałam się, czy aby rzeczywiście nie zamierza mi pomóc w wyborze ślubnej sukni, ale nie zapytałam o to. Ona zresztą również milczała, rzucając mi od czasu do czasu ukradkowe spojrzenie. Pewnie była zła, że nie ubrałam się po jej myśli... Po jakiejś półgodzinie jazdy w kompletnym milczeniu Żaneta kazała włączyć Kazimierzowi radio. I w takiej to atmosferze wjechaliśmy do miasta.

Galeria, pod którą szofer zaparkował samochód, jarzyła się licznymi światłami, błyszczała szkłem i metalem, obiecując moc estetycznych i... finansowych doznań.

- Chodź - zarządziła Żaneta i ruszyła przodem, nie oglądając się za siebie.

Po szczegółowym zwiedzeniu kilku salonów z odzieżą zaczęła mnie boleć głowa i zrobiło mi się duszno. Mimo to dzielnie dotrzymywałam jej kroku, oglądając szmatka po szmatce, a nawet mierząc coś czasami. Do żadnej rzeczy nie przywiązałam się jednak na tyle, aby wyjść z nią ze sklepu.

- Nie lubisz robić zakupów? - spytała w pewnym momencie Żaneta, przyglądając mi się uważnie.

- Lubię - odparłam niezdecydowanie, bo kiedyś przecież lubiłam. I to bardzo.

Cały paradoks polegał chyba na tym, że w czasach, kiedy nie miałam pieniędzy, podobało mi się prawie wszystko. A teraz, kiedy na prawie wszystko mogłam sobie pozwolić, nie podobało mi się nic...

- Spójrz, jakie piękne spodnium. - Pchnęła mnie lekko ku manekinowi odzianemu w wytworny, stalowoniebieski komplet. - Byłoby ci w nim do twarzy. Zresztą, z twoją figurą i urodą w mało czym wyglądałabyś źle - dorzuciła nieoczekiwanie.

Od tego momentu Żaneta przejęła inicjatywę, sądząc pewnie, że mój brak entuzjazmu wynika z onieśmienia tym przepychem. Wkrótce stałam się więc posiadaczką tegoż spodnium, dwóch eleganckich sukien, kilku kompletów bielizny, butów na różne pory roku i okazje oraz jednego prawdziwego futra.

- Bo każda dama powinna mieć w swojej garderobie przynajmniej jedno porządne futro - perorowała w przymierzalni, w której usiłowała przepchnąć mi przez biust zbyt dopasowany sweterek. - Do tego oczywiście odpowiednie obuwie, torebkę i rękawiczki. Kilka zestawów. Nadrobimy to zaraz, oczywiście.

- Nie wejdzie - jęknęłam w końcu.

- Co nie wejdzie?

- Ten sweterek.

- A... Ja w twoim wieku miałam mniejszy.

- Sweterek?

- Nie, biust - odparła w roztargnieniu. - Z delikatnej, dobrze wyprawionej cielejącej skóry.

- Naprawdę? - Zdawało mi się, że mam omamy słuchowe.

- No tak! - potwierdziła Żaneta, pchając teraz sweterek w odwrotnym kierunku. - W naturalnych kolorach, oczywiście. Jeden beżowy, drugi brunatny, trzeci czarny. Właściwie nie zawadziłyby jeszcze jeden, czerwony, jeśli ktoś lubi ekstrawagancję, ale ja osobiście gustuję w wyśmakowanej elegancji. A ty, jak uważasz?

- No tak, czerwony... biłyby trochę po oczach - przyznałam niepewnie. - Ach tak! Oczywiście, według mnie również czerwony odpada. - Zorientowałam się nagle, że ona wciąż ciągnie poprzedni wątek dotyczący dodatków do futra.

- Mogę w czymś paniom pomóc? - spytała ekspedientka, podchodząc do przepierzenia.

- Tak - odparła Żaneta. - Bardzo proszę.

W pierwszej chwili wystraszyłam się, że będą teraz przepychały przeze mnie sweterek we dwie. Ale ona poprosiła o większy rozmiar. Ekspedientka zajrzała do przymierzalni.

- Tu będzie potrzebne trzydzieści sześć - rzuciła fachowo.

- Ta pani nosi rozmiar trzydzieści cztery - rzuciła Żaneta z pretencją. - I to jest trzydzieści cztery, ale za małe.

- Bo ta pani jest trzydziestka czwórka w dół, a w górę trzydzieści sześć - wyjaśniła ekspedientka i udała się razem ze sweterkiem w głąb sklepu. Kolejny leżał na mnie doskonale, co przyjęliśmy z wielką ulgą. Ja i mój biust...

Co jakiś czas Żaneta wzywała Kazimierza i wręczała mu kolejne torby oraz pakunki, które ten odnosił do samochodu. Przesłodzona nadmiarem luksusu postanowiłam nabyć teraz parę sztuk zwyczajnych ciuchów. W ramach programu samoobrony przed ekspansją Żanety na moją osobowość. Weszłam więc do pierwszego lepszego sklepu, w którym dostrzegłam na wystawie džinsy, bawełniane koszulki, sportowe bluzy i inne rzeczy z podobnej bajki. Wybrałam dla siebie kilka par džinsów i nie tłumacząc się ze swoich zamiarów, udałam się do przymierzalni. Mierzyłam jedno po drugim, za każdym razem prezentując się szczegółowo Żanecie. Wypinałam swój zgrabny tyłeczek na wszystkie strony świata, świadoma, że spodnie leżą na mnie wyśmienicie.

- A może i pani zechciałby zaopatrzyć się w jakiś młodzieżowy ciuch? Przecież w tym wieku jeszcze nosi się džinsy? - spytałam niewinnie.

Już od pewnego czasu jakiś diabeł mnie kusił, żeby powiedzieć jej coś w tym rodzaju. I powiedziałam... Żaneta na krótką chwilę zastygła bez ruchu..

- Pokaż! - odezwała się wreszcie i wbiła mi się do kabiny.

- Okej. Ale może polecę po większy rozmiar - zaoferowałam uczynnie.

- Nie trzeba - burknęła i zaczęła zdzierać z siebie spódnice.

Moim oczom objawiły się koronkowe, wiśniowe stringi i dwa jędrne, opalone półdupki. Ona naprawdę świetnie się trzymała i moja złośliwość była całkowicie bezpodstawna. Ale za to głęboko uzasadniona...

Pani Żaneta z minimalnym tylko trudem wcisnęła się w moje trzydzieści cztery. I wyglądała... całkiem nieźle. Później formalnie rozpętała się między nami jakiś wyścig szczurów, czy coś w tym rodzaju. Ja wzięłam bawełnianą koszulkę z nadrukiem - ona wzięła koszulkę z brokatem. Ja wzięłam bluzę z kapturem - ona wzięła też, tylko że ponaszywaną jakimiś błyskotkami. I tak dalej, i tak dalej. Skapitulowała dopiero wówczas, kiedy sięgnęłam po zwykłe, czarne trampki... Wyszliśmy ob juczone do maksimum. Żaneta wezwała Kazimierza i po raz któryś już z rzędu przekazała mu cały nasz urobek.

- A teraz wejdziemy do jubilera - oznajmiła. - Miałaś sobie zdaje się... kupić pierścionek zaręczynowy - zemściła się, najprawdopodobniej za tę ostatnią rundę w przymierzalni.

- Dziękuję - odparłam z godnością. - Ale to już z Antkiem.

- Przecież słyszałam, jak mówił, że masz to załatwić sama - upierała się.

- Nie szkodzi. Mimo wszystko zaczekam na niego - oznajmiłam takim tonem, że nie ponowiła już swojej propozycji.

- Więc ja coś sobie wybiorę. Chodź, zobaczymy, co tu mają. - Popchnęła mnie lekko w stronę sklepu z biżuterią.

Oglądałam wystawione precjoza pobieżnie i bez większego entuzjazmu. Owszem, ładne były, ale nie odczuwałam jakiegoś większego parcia, by pojąć któreś z tych cacek. Żaneta natomiast co rusz przypasowywała coś do swoich kończyn, uszu oraz szyi. Zaopatrzyła się skromnie: w jedne kolczyki i łańcuszek z adekwatnym do nich wisiosem.

- Czemu niczego nie chciałaś? - spytała po wyjściu ze sklepu. - Przecież Izidor za to wszystko płaci.

- A co to ma do rzeczy? - Wzruszyłam ramionami.

- No tak, rozumiem. Ale może Antek nie będzie dla ciebie taki hojny - wyjaśniła sobie po swojemu.

Nie skomentowałam tego. Nie chciało mi się. I nie widziałam potrzeby.

- Zmęczona jestem trochę - westchnęłam.

- Och, mój Boże! Przecież ty musisz być jeszcze bardzo osłabiona wczorajszą chorobą! Oczywiście, że w tej sytuacji musimy odpocząć. Widziałam... tu gdzieś... całkiem przyjemną kafejkę - mamrotała, rozglądając się dookoła.

Osobiście miałam nadzieję, że wrócimy już do domu, ale nie zaprote-
stowałam, kiedy prowadziła mnie pomiędzy maleńkimi stolikami o mar-
murowych blatach. Zamówiłam białą kawę i ciastko. Żaneta zamówiła
czarną, bez ciastka.

Aha, musimy uważać na kalorie – pomyślałam z pewną satysfakcją.

- Posłuchaj – zaczęła, intensywnie mieszając swój napój, nie wiado-
mo po co, skoro go nie osłodziła. – Chciałabym z tobą o czymś porozma-
wiać. Oczywiście nie musisz podejmować tego tematu, jeśli nie ze-
chcesz.

Sprawiała wrażenie lekko skrępowanej, co mnie trochę dziwiło i nie-
pokoilo zarazem.

- Pewnie nie uwierzysz, jeśli powiem, że to dla twojego dobra – cią-
gnęła – ale mimo wszystko spróbuję.

- Słucham. – Weszłam jej w ten trochę przydługawy wstęp.

- Chodzi mi o... twoje małżeństwo z Tonym.

- Tak? – ponagliłam.

- Czy on... jest wobec ciebie szczery?

- Oczywiście, że jest szczery – odparłam z całym przekonaniem.

Na wszelki wypadek przywołałam jeszcze błyskawicznie na myśl
wszystkie nasze rozmowy o przyszłości, jego zapewnienia, że wszyscy
będziemy szczęśliwi, że nigdy mnie nie skrzywdzi i tym podobne.

- To dobrze. – Żaneta uśmiechnęła się lekko. – Bo kiedy, całkiem nie-
dawno spytałam, czy wiesz, co robisz, obraziłaś się na mnie.

- Ponieważ wiem, co robię. Ale nie w takim sensie, jak mi to pani za-
sugerowała – odburknęłam.

- A więc nie wiesz... Myślałam przez chwilę, że ci powiedział. Bo...
gdyby ci jednak powiedział, a ty eee... mimo to podtrzymałabyś swoją
decyzję... – motała się, próbując dać mi coś do zrozumienia – wówczas,
jak sądzę, mogłabyś być szczęśliwa. Po prostu, przymknęłabyś
na to oczy i korzystała z... jego pozostałych, że tak powiem, zalet...

Tu Żaneta wymownie potarła kciuk o wskazujący palec.

- Myśli pani, że wychodzę za niego tylko dla pieniędzy? – spytałam,
wbijając wzrok w jej stalowe oczy.

- Sądzisz, że byłoby to nie fair wobec niego? – odpowiedziała pyta-
niem.

- Tak! Pieniądze nie są, to znaczy... nie były dla mnie bez znaczenia i on o tym wie. Ale teraz mam jeszcze jeden powód: jego samego.

- On też żeni się z tobą z dwóch powodów: dla świętego spokoju i dla pozorów - oznajmiła lekko podniesionym głosem.

- Bzdura!

- Nie, kochanie, to nie bzdura, niestety.

- O co pani właściwie chodzi? - Wnerwiona do granic, niemal uniosłam się z krzesła.

- Syn Izydora jest gejem.

Szok o mało nie zwałił mnie na podłogę. Otrząsnęłam się jednak błyskawicznie, ponieważ nagle pojęłam, skąd u niej ten przyływ opiekuńczości i czułego zainteresowania moją osobą. Oczywiście chodziło o to, by zdobyć moje zaufanie, a potem zmanipulować, żebym sama zerwała zaręczyny.

- Żegnam panią! - Wstałam od stolika, by odejść godnie, zanim się skuszę i złapię za ten kasztanowy łeb...

- Jeszcze moment. - Żaneta złapała mnie za rękę. - Pomyśl sama, czy on cię chociaż raz pocałował? Czy próbował... no wiesz, tego, do czego dąży każdy zdrowy chłop? I nie mów mi, że czeka z tym do ślubu, bo to byłaby w dzisiejszych czasach jakaś paranoja!

Mówiła coraz prędzej i coraz mocniej ścisnęła moją rękę.

- Znam go od dziecka. On nigdy nie miał żadnej dziewczyny! Raptem jakieś jedno, krótkie zauroczenie w szczenięcym wieku. I już nigdy więcej. Czy to nie daje ci do myślenia?

- Owszem, daje mi - odparłam z przekąsem. - Nawet bardzo mi daje!

Uwolniłam się z jej uścisku i wyszłam, nie patrząc za siebie. Szłam rażno, starając się nie pogubić w tym labiryncie szmacianych uciech. Limuzynę Izydora odnalazłam na parkingu bez większego trudu. Kazimierz na mój widok wyskoczył z auta, wyprężył się jak struna i otworzył mi drzwi.

- Wyluzuj, chłopie - warknęłam, sadowiąc się wewnątrz.

- A... gdzie pani Żaneta? - zapytał po chwili.

- Nie wiem. I mam to w nosie.

- Coś się stało?

- Stało się! Ja rozumiem, że to babsko nie chce, żebym wyszła za jej pasierba, bo kasy jej żal. Ale... czy nie może tego robić za pomocą mniej świńskich świństw? - spytałam retorycznie.

- Ja nie wiem, czy mogę zapytać - szofer odwrócił się wolno w moją stronę - ale co ona pani zrobiła?

- Powiedziała... - zaczęłam, ale w porę ugryzłam się w ożór.

Postanowiłam, że wyjaśnię sobie tę sprawę z Antkiem. I z nikim innym. Mówił, że wróci za dwa, trzy dni. A to znaczy, że jutro lub najdalej pojutrze. Jakoś wytrzymam...

- Mniejsza z tym - odparłam krótko. - Kazimierz, a ty od dawna znasz mojego narzeczonego?

Postanowiłam skorzystać z sytuacji i zasięgnąć języka u kogoś bezstronnego.

- No, będzie trochę. A co?

- Czy on... Czy on miewał jakieś dziewczyny? Chodził z kimś, podkochiwał się, spotykał?

- Tego nie wiem - odparł po zastanowieniu. - Bo skąd ja to niby mam wiedzieć? Na randki go w każdym razie nie woziłem, ale może dlatego, że ja to tylko od parady jestem. Nie zawsze i nie wszystkich wożę. I nie wszędzie... Idzie!

Szofer odwrócił się nagle i wyprostował nienagannie. Pani Żaneta wsiadła do samochodu bez słowa. Kazimierz, również bez słowa, ruszył z miejsca.

•

X. Wojna

Wróciłam do domu, nie mając ochoty nikogo widzieć i z nikim rozmawiać. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, a raczej w uszy, była kolejna edycja koncertu pieśni patriotycznych. Głośna, płaczliwa i kompletnie nieskładna, co oznaczało, że tatuś z Izydorem zrobieni byli w siwy dym. Z ich strony nie groził mi więc żaden towarzyski kontakt. Amandę natomiast minęłam w korytarzu bez słowa. Chciała chyba o coś zapytać, bo otworzyła buzię i zrobiła krok w moją stronę, ale orientując się szybko w moim nastroju, zamknęła ją i odsunęła się na bok. Wszłam do siebie, zamknęłam drzwi i usiadłam w fotelu. Widziałam, że rewelacje Żanety na temat mojego narzeczonego to jedna, wielka ściema, jednak nie umiałam się ot, tak, otrząsnąć z tego, co usłyszałam. Antek rzeczywiście nigdy mnie nie pocałował, ba, nie uczynił nawet żadnego gestu świadczącego o tym, że miałby na to ochotę... I teraz diabelski głos wył w mojej głowie, podsuwając mi rozmaite wątpliwości. Oczywiście, nie zamierzałam się im poddać, więc na każdą z nich wytaczałam natychmiast solidny kontrargument. Walczyłam sama z sobą, złościąc się coraz bardziej, że w ogóle poddaję się takim rozważaniom. Przecież jutro, najpóźniej pojutrze pogadam z nim o tym. Wówczas rozwieję swoje obiekcje u samego źródła...

Na szczęście zaraz przyszedł Kazimierz i przytaskał moje sprawunki.

- Amanda pyta, czy trzeba pani pomóc w rozpakowaniu tych rzeczy - spytał, układając wszystko, jak popadnie.

- Dziękuję, sama dam radę. - Odebrałam od niego ostatni pakunek.

- Ona chyba myśli, że pani się na nią pogniewała.

- Nie pogniewałam się. Powiedz jej, że mam... własne problemy.

- Tak właśnie jej powiedziałem - ciągnął Kazimierz, nie zważając na objawy mojego zniecierpliwienia.

- Więc powiedz jej jeszcze raz. W moim imieniu.

- Dobrze - zgodził się Kazimierz i nadal tkwił w moim pokoju.

- Coś jeszcze? - spytałam z niechęcią.

- Czy... nie powinna pani porozmawiać z panem Izydorem? - poradził, czując, że Żaneta mnie czymś ostro podjarała. - To bardzo porządny chłop!

- I dlatego właśnie nie mogę - odparłam i zabrałam się do rozpakowywania moich zakupów, sygnalizując koniec rozmowy.

Zamierzałam się skupić na tych wszystkich fatalaszkach, ale mimo najszczerzych chęci nie robiły na mnie szczególnego wrażenia. Przymerzyłam to i owo, by w końcu upchnąć je bezładnie w szafie. Postanowiłam zejść na dół i przynieść sobie coś do jedzenia. Mój żołądek dawał mi wyraźnie znać, że nie dostał kolacji. Przechodząc koło pokoju Żanety, zauważyłam, że drzwi są uchylone, a od wewnątrz dobiegają ciche odgłosy rozmowy. Normalnie nie mam zwyczaju podglądać ani podsłuchiwać, jednak dziś poczułam się usprawiedliwiona i zdecydowałam rzucić okiem do środka. Pokój był rzęsiście oświetlony, więc raczej nie powinna mnie dostrzec w mroku korytarza.

Żaneta stała oparta o komodę, obok zaś stał... mój tatuś i obłapiał ją namiętnie! Widać podochocony zasobami Izydorowej piwniczki popadł w romansowy nastrój. Ale źle trafił - pomyślałam, spodziewając się, że za chwilę zaliczy solidny strzał z liścia. Jednak ku mojemu zdumieniu ona zniecka zawisła mu na szyi! Szok na moment formalnie wbił mnie w ziemię. Na szczęście niesmak był znacznie większy i to on nakazał mi ruszyć się z miejsca. Nie chciałam widzieć, jak ta scena się rozwinie. Nie chciałam sobie nawet tego wyobrazić! Zbiegałam po schodach, powoli przestając wierzyć w to, co zobaczyłam. Może coś wpadło cholerze do oka? - tłumaczyłam sobie. Albo tatuś zatoczył się na nią i ona go podtrzymała? Bo przecież... nie mógł być taką świnią! Żeby uwodzić kobietę przyjacielowi w jego własnym domu!

Kiedy dotarłam do kuchni, wydarzenia w pokoju Żanety miały już całkiem inny wymiar. Naturalny, ludzki i bez podtekstów... Wrzuciłam na talerz kiszkę kaszaną, kilka kromek żytniego chleba i dwa kiszzone ogórki. Widać Izydor konsekwentnie realizował swój program patriotycznego odżywiania... Tak wyposażona pobiegłam do siebie, korzystając na wszelki wypadek ze schodów od drugiej strony korytarza...

Izydor z tatusiem od rana raczyli się kwaśnym mlekiem, wychwalając pod niebiosa jego lecznicze właściwości. Kiedy zesłam do salonu, obaj siedzieli ze szklanicami dobrotliwego płynu w dłoniach. Żaneta siedziała w przeciwległym kącie nad filiżanką kawy. Na mój widok wszyscy podnieśli głowy, prezentując trzy różne miny: Izydor sielsko-radosną, tatuś rubaszną, Żaneta... nieodgadnioną. Pomyślałam, że to, co ujrzałam wczoraj, musiało być nieźle podbudowane moją wyobraźnią. Bo przecież nie siedzieliby tu sobie w trójkę, jakby nigdy nic, niewinnie i błogo...

- Udały się sprawunki? - zagaił Izydor, z góry zadowolony z odpowiedzi.

- Tak - odparłam. - Kupiłam sobie dużo rzeczy.

- Szybko się uczy, nie? - Mrugnął do niego tatuś. - Dama pełną gębą!

I gwarzyli sobie dalej w podobnym tonie, Żaneta natomiast przyglądała mi się w milczeniu. Nalałam sobie kawy i usiadłam obok niej, bo przecież nie będę uciekała! W końcu wszyscy wiedzą, jaka jest, więc pozostało mi tylko, zgodnie z radą Amandy, przyzwyczaić się. Wsypałam do kawy trzy łyżeczki cukru i okrasiałam sownicie śmietanką. Prawdziwą, od sąsiedzkiej krowy...

- Witam wszystkich w przededniu tak pięknego dnia! - rozległo się nagle za moimi plecami.

Tym razem moje uszy nie uwierzyły temu głosowi na słowo. Spojrzałam za siebie i dopiero wówczas ucieszyłam się ogromnie.

- Antek! Jak dobrze, że już jesteś! - Zerwałam się z krzesła, podbiegłam do niego i rzuciłam mu się na szyję.

Antek jedną ręką objął mnie delikatnie, drugą zaś postarał się o odpowiedni dystans. Żaneta przyglądała się tej scenie z wyraźną satysfakcją, za co wściekłam się na niego w duchu. Najchętniej już, natychmiast wywlokłabym go stąd na solo, ale nie chciałam sprawić jej jeszcze większej frajdy.

- A otóż i głowa moja, za którą wzniesmy, Henry, te ojczyste puchary! - przemówił Izydor, kierując się prawdopodobnie wczorajszą jeszcze logiką.

- Ojcu chyba chodzi o mnie - objaśnił Antek, dostrzegając konsternację zebranych.

- Wznieśmy więc znowuż! - Podjął olśniony nagle tatuś i tręcili się swoim kwaśnym mlekiem.

- Żanet, słońce moje - Izydor zwrócił się do żony. - Syn nasz powraca, aby gniazdo nad Wisłą uwinąć, a ty larum nie czynisz? Na koń nie wsiadasz? Szabli ku górze nie wznosisz???

- To cytat. Z Wołodyjowskiego. - Tym razem tatuś podjął się objaśnienia wypowiedzi staruszka.

- Ona zaprawdę winna ogniem żywym być obrócona na węgiel piekielny. - Zwróciłam się do Izydora. - Osądź ją... Osądź! Jak Bóg nieśmiertelny!

Izydor w pierwszym odruchu otworzył szeroko usta, ale zaraz potem aż zatarł ręce z uciechy

- Winna jest sądu! Pociąć ją na ćwierci! Winna jest! Winna jest śmierci! - zawtórował mi baranim głosem. - I zamiast weselnych, w pogrzebowe bijmy dzwony!

Tatuś spojrzał niepewnie na mnie, potem na Izydora i wreszcie rzucił się ku bliskiej omdlenia Żanecie, osłaniając ją własną pierśią.

- Zgłupieliście? - zaprotestował żywo.

- To też był cytat. Z „Balladyny” - wyjaśniłam litościwie, gdy Żanecie oczy zaczęły wywracać się białkami do wierzchu.

- Pójdę się rozpakować i odświeżyć po podróży - oznajmił Antek, który całkiem spokojnie przyglądał się tej scenie.

- Pójdę z tobą. - Skorzystałam z nadarzającej się sposobności.

Kątem oka spostrzegłam, że ojciec tuli Żanetę, głaszcze i poklepuje. Na oczach Izydora, który kompletnie nic sobie z tego nie robi.

- Widzę, że nie opuściło cię poczucie humoru? - spytał Antek, kiedy znaleźliśmy się u niego w pokoju.

- Opuściło. Wczoraj.

- Stało się coś?

- Fajnie że jesteś - odparłam wymijająco. - Myślałam, że wrócisz jutro.

- Ja też, ale udało mi się wcześniej.

- Aha...

- Luiza, o co chodzi? - Antek przyjrzał mi się spod zmarszczonych brwi. - Powiesz mi, czy mam zgadywać?

- Zgaduj.

- Chodzi o ten pierścionek, którego ci nie kupiłem? Możemy przecież...

- Ciepło - wpadłam mu w słowo. - Ale nie gorąco.

- Więc o... ślub? Coś ci nie pasuje? Może data albo Żaneta znowu coś...

- Chodzi mi o to, co nie pasuje tobie - przerwałam mu ponownie. - Bo jest coś takiego, prawda? Tylko nie bardzo umiem rozgryźć problem. A nie chcę wierzyć w to, co podsunęła mi... intuicja.

Antek wyraźnie pobladł, ale nie się nie odezwał. I nie zaprzeczył.

- Więc jednak - szepnęłam ze zgrozą. - Jest jakaś przeszkoda, która stoi na drodze naszemu małżeństwu?

- Tak - odparł Antek, również szeptem.

- Od dawna to trwa?

Pytałam z nadzieją, że może da się to jeszcze jakoś odwrócić. Bo nie za bardzo znałam się na tego typu... anomaliach seksualnych.

- Od dawna. Zacząłem to odczuwać, kiedy jeszcze byłem chłopcem. Potem coraz wyraźniej i wyraźniej, aż wreszcie, sześć lat temu podjąłem decyzję.

- Sześć lat temu? - Zdziwiło mnie, że przez taki szmat czasu nikt się nie zorientował.

- No, prawie sześć. Wówczas podjąłem studia. Od pół roku już jestem... całkiem zdeklarowany, że się tak wyrażę. A teraz powiedz mi, od kogo się dowiedziałas?

- Od nikogo. - Poszłam w zaparte, nie chcąc łączyć ze sprawą Żanety. - Po prostu wyczułam. Unikałeś bliskości, odskakiwałeś jak oparzony, gdy próbowałam się do ciebie zbliżyć. A to mogło oznaczać tylko jedno.

- Ejże? - Antek spojrzał na mnie z niedowierzaniem. - I tylko to doprowadziło cię na właściwy trop?

- Tak.

- Bo nie chciałem cię pocałować? I od razu uznałaś, że jestem...

- Gejem - dokończyłam miłosiernie.

Antek wstał, wsadził ręce do kieszeni i podszedł do okna. Stał tak przez chwilę tyłem do mnie.

- Nie, Luizo. - Odwrócił się po chwili. - Nie jestem gejem. Ja jestem... księdzem.

Szok, wstrząs psychiczny, czy jak tam nazwał ten stan doktor Liche-
ta, odebrał mi zdolność oddychania. Wpatrywałam się w niego jak w ja-
kieś niezmiernie stworzenie, nie umiając zebrać myśli.

- Księdzem???

- Właściwie... póki co, diakonem.

- I zamierzałeś się ze mną ożenić? - spytałam w końcu.

- Szczerze mówiąc... nie zamierzałem - wyznał bezczelnie.

Poczułam tak straszliwy zawrót głowy, że o mało nie upadłam. Chcia-
łam wstać i wyjść, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

- Wysłuchaj mnie, proszę. - Antek delikatnie usadził mnie na powrót
w fotelu.

Nie powiedziałam ani słowa.

- Nie proszę cię, żebyś mnie zrozumiała ani wybaczyła - ciągnął. -
Chcę ci tylko wszystko wyjaśnić!

Widocznie Antek uznał moje milczenie za zgodę, bo usiadł w fotelu
naprzeciwko.

- Mój tata, co widać i słyszać, ma bzika na punkcie ojczyzny, polsko-
ści we wszelkim przejawie, a co za tym idzie, na punkcie swojego rodu.
W pewnym momencie ubzdurał sobie, że założy tu od nowa rodzinne
gniazdo, dochowując się licznych potomków. Kiedy sprowadzaliśmy się
do kraju, podjąłem decyzję, że pójdę do seminarium. W Polsce, bo oj-
ciec sobie życzył, żebyśmy tutaj skończyli studia. Nie chwaliłem mu się
specjalnie swoim wyborem, bo na pewno nie przyjąłby tego zbyt do-
brze, ale nie było jeszcze takiego dramatu i kiedyś w końcu bym mu po-
wiedział... Dopiero jakiś czas temu uznał, że jestem jego jedyną nadzie-
ją i zaczął napierać na ten ożenek. I wtedy wszystko się zmieniło. Nadal
musiałem ukrywać swoje zamiary. Przynajmniej do święceń kapłań-
skich, bo inaczej on zmusiłby mnie do zmiany planów. A to już byłaby
tragedia na szerszą skalę. Nie tylko dla mnie, ale i dla mojej jakiejś tam
żony, a w efekcie i dla ojca przecież.

- Jesteś pewien, że by cię zmusił? Może się mylisz i gdybyś mu po-
wiedział w odpowiednim czasie, pogodziłby się z tym.

- Nie. Ojciec to bardzo dobry człowiek, ale ma swój nadrzędny cel,
który jest dla niego święty i tu kończą się wszelkie taryfy ulgowe.

- Na miłość boską! - wrzasnęłam, odzyskując wreszcie pełnię władz
w strunach głosowych. - Czegoś tu nie rozumiem! Na przykład, czemu

miała służyć ta farsa z narzeczeństwem? I dokąd zamierzałeś to ciągnąć? Do dnia naszego ślubu??? A ja? Co miało stać się ze mną?

- To nie tak - westchnął Antek ze smutkiem. - A przynajmniej nie tak miało to wyjść... Potrzebowałem czasu i musiałem grać na zwłokę. I nadal go potrzebuję... Bo jest jedna ewentualność, która pozwoli nam wszystkim wyjść z tego cało. A nawet lepiej niż cało, bo całkiem szczęśliwie. I mnie, i tobie, i ojcu. Niestety, nie mogę teraz jeszcze o tym mówić.

- Nie możesz?! - krzyknęłam wściekle. - Mamisz mnie od kilku miesięcy, oszukujesz, zwodzisz, a teraz znów masz jakiś sposób na cudowne ocalenie swojej skóry. Oczywiście równie tajemniczy, jak wszystko, co robiłeś dotąd! A ja? Kim ja jestem, jak ci się zdaje? Kukielką? Gałgankiem bez duszy i uczuć?

- Niestety, nie.

- Co??? - Omal nie udławiłam się tymi słowami.

- Widzisz, kiedy cię poznałam i odkryłem, że jesteś znalezioną mi przez ojca narzeczoną, uznałem to spotkanie za łaskę boską. Bo był to tak niezwykle, nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że przecież nie mógł się zdarzyć bez powodu! Przyglądałem ci się i poznawałem z coraz większym zadowoleniem. Bo oto, myślałem sobie, dziewczyna, jakiej mi trzeba: cwaniaczka bez skrupułów, łakoma wyłącznie na pieniądze. Wówczas byłem niemal pewien, że w razie jakiegś awarii konkretna gotówka zrekompensuje ci wszelkie nadzieje...

- Więc to tak. - Spojrzałam na niego, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę. - Nie wiem, czy wypada mówić w ten sposób do osoby duchownej, ale powiem: jesteś zwykła świnia! Świnia i cham!

- Masz takie prawo, Luizo - odparł Antek ze spokojem.

- A ja ci uwierzyłam! Uwierzyłam, że nie jestem taka zła, zepsuta i pokrętna. Bo powiedziałaś kiedyś, że jestem tylko zagubiona. Że nikt nie nauczył mnie, jak żyć... Do dziś myślałam, że tak jest rzeczywiście! I starałam się z całych sił, żeby zacząć wszystko inaczej! Nie zależy mi na pieniądzach Izydora. Już od pewnego czasu mam je głęboko w nosie! Ja po prostu... chciałam mieć w końcu normalną rodzinę. Szanującą się i godną szacunku... No cóż, przeżyłam piękny sen, ale pora mi się obudzić.

Wstałam, nie podnosząc głowy, żeby Antek nie mógł zobaczyć, co dzieje się na mojej twarzy.

- Wiesz, dlaczego powiedziałem: niestety? - Antek złapał mnie za rękę i niemal siłą zatrzymał w miejscu.

- Nie wiem - bąknęłam apatycznie.

- Bo okazało się, że źle cię oceniłem! Szybko się przekonałem, że jesteś dobrą, wrażliwą i uczuciową dziewczyną. I na tym polega cały problem.

- Aha. I czego w związku z tym oczekujesz ode mnie? Najpierw mam ci wybaczyć, potem uznać się nad twoim losem, a potem nadal, jakby nic się nie stało, grać swoją rolę, aż się odważysz wyznać ojcu prawdę? - spytałam z sarkazmem.

- Nie. Nie proszę cię o wybaczenie i nie musisz uznać się nade mną. Jedyne, czego bardzo bym chciał, to żebyś została jeszcze przez jakiś czas. I nie mówiła nikomu o naszej rozmowie.

Ze zdumieniem słuchałam jego słów. Bo nie chciało mi się wierzyć, że Antek jest aż tak bezczelny. I... bezduszny. Jedyne, co miałam ochotę teraz zrobić, to właśnie uciec stąd jak najdalej.

- Ale nie będę cię o to prosił - dodał po chwili. - Będę się o to modlił.

•

Wybiegłam na korytarz, nie wiedząc, dokąd ani po co biegnę. Schodziłam po schodach, nie widząc kolejnych stopni. Na pierwszym piętrze natknęłam się na Żanetę, ostatnią osobę, którą chciałabym teraz oglądać.

- A więc miałam rację? - spytała, przyglądając mi się z uwagą.

- Nawet gdyby nie, to i tak ma pani powody do radości - odparłam, próbując ją wyminąć.

Żaneta złapała mnie mocno za ramiona i na siłę wepchnęła do swojego pokoju. Nalała do szklanki jakiegoś alkoholu i kazała wypić.

- Mylisz się - powiedziała. - Nie mam nic przeciwko waszemu małżeństwu. Powiem więcej, chciałabym, żebyś została żoną Tonego.

- Akurat... Zresztą kto powiedział, że nie zostanę? - spytałam przekonanie i nadstawiłam pustą szklaneczkę.

- Więc... Wszystko jest aktualne?

- No pewnie! - Wzruszyłam ramionami.

- To dlaczego płaczesz?

- Bo... Antek nie kupił mi pierścionka. Ale obiecał, że kupi. - Łgałam, żeby zrobić jej na złość.

Żaneta przyglądała mi się w skupieniu.

- Aha. To świetnie - stwierdziła po chwili. - Chcesz jeszcze?

- Nie, dziękuję. Pójdę się przejść. - Wstałam powoli, usiłując zabrać ze sobą swoje nogi.

- Postaraj się nie spaść ze schodów - poradziła uprzejmie, odprowadzając mnie do drzwi.

- Dobrze ci mówić - mruknęłam do siebie, kurczowo trzymając się poręczy.

Wyszłam do ogrodu i usadziłam chwiejne ciało na najbliższej ławce. W tej chwili wszystko wyglądało inaczej: obojętniej, mniej dotkliwie, wręcz nieprawdziwie. Było mi zimno, ale też jakoś tak, jakby nie bezpośrednio... Rozejrzałam się leniwie dookoła i nawet nie zrobiło na mnie wrażenia, że już po raz drugi zobaczyłam przejeżdżającego wzdłuż ogrodzenia zielonego mercedesa vana.

- Ej, Trombocyty! - Pomachałam w jego stronę bez troski. - Tu jestem, zbuki zaśmierdłe!

Samochód przystanął dokładnie naprzeciw mnie. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wyskoczył z nich... Nifuś! W całej swojej obszernej okazałości.

- Ty! Chodź no tutaj! - Skinął na mnie ręką.

- Powaliło cię? - spytałam grzecznie. - Sam tu chodź, ośle dardanelski i weź mnie sobie!

- Uważaj! - warknął ostrzegawczo. - I rusz się, póki mówię po dobremu!

- A ja ci mówię, wal od razu po złemu, euczk. - Czknęłam sobie zdrowo. - Bo po dobremu nie pójdę. I co mi zrobisz, patafianie? Buraku pastewny? No?

Moje słowa wywarły na nim chyba spore wrażenie, gdyż potraktował dwukrotnie z buta dzielący nas kuty w żelazie płot.

- Nie rób tak, bo cię nóżia zabolii - poprosiłam troskliwie.

Nifuś spojrzał na mnie spragnionymi krwi oczyma, a następnie wsiadł do samochodu i odjechał.

- Co pani tu robi w taki ziąb? - spytała Amanda, która prawdopodobnie swoim nadejściem przepłoszyła zbirów. O ile to nie był omam wzrokowy, oczywiście.

- Odpa... rrrr... rowywuję - poinformowałam ją z trudem. - Bo posiadam pewne... substancje w organizmie, które powinnam odparować.

- Rzeczywiście - stwierdziła, pochylając się nade mną. - Przyniosę pani kurtkę - rzuciła i potruchtała w stronę domu.

Wstałam z ławki i już o wiele pewniej stawiając nogi, ruszyłam w stronę porastających kąt ogrodu tuj. Chciałam zobaczyć, czy nie zaczęły się w nich Trombocyty. Byłam w tak bojowym nastroju, że brak zielonego auta za płotem wręcz mnie rozczarował.

- Gdzie jesteś, chamskie nasienie jedno z drugim? - spytałam półgłosem.

- Tu. Jeśli o mnie ci chodziło - usłyszałam i zaczęłam obracać się dookoła w poszukiwaniu nadawcy powyższego komunikatu.

O mały włos nie straciłam równowagi, ale coś złapało mnie za ramię.

- Michał! - wrzasnęłam, padając niechcący w niespodziewane, męskie ramiona. - To znowu ty? Wrosłeś w te krzaki, czy jak?

- Jeszcze nie, to zależy od ciebie. Jak mi powiesz ostatecznie, że mnie nie chcesz, to nie będę miał wyjścia i wrosnę. Bo jesteś kobietą mojego życia i chcesz, czy nie, moje miejsce jest przy tobie.

- Nie chrzań - burknęłam. - Po co przyszedłeś?

- Stęskniłem się za tobą. A poza tym ostatnio zadałem ci temat do przemyślenia i miałem nadzieję, że się zdecydowałaś?

- Na co?

- Wyjść za mnie.

- Nie.

- No tak. Nie możesz. Ponieważ nie chcesz nikogo zawieść - odpowiedział sam sobie.

- A właśnie, że teraz już mogę! - Uniosłam się honorowo. - Ale nie wyjdę za mafioza. Dość już oprychów, zbirów i karcianych krętaczy w moim życiu! Poszukam sobie urzędnika. W szarym garniturze, w okularach, biednego, ale nie na tyle, żeby umrzeć z głodu. Z nim będę miała dzieci, kota oraz psa. Euczk!

- Ja też jestem biedny. I nie zagłodzę cię na śmierć. Na tyle mnie stać.

- Ale nie masz okularów. - Wydełam pogardliwie usta. - I nie jesteś urzędasem. Więc odpadasz!

- Luizoo! - Michał porwał mnie w objęcia. - Kochana moja! Proszę cię, błagam, przemyśl to jeszcze raz. Oczywiście nie w tej chwili, poczekaj najpierw, aż wróci ci zdolność myślenia. I zgódź się! Albo nie, zgódź się teraz, dopóki zdolność myślenia masz lekko... stłumioną. Więc jak, wyjdiesz za mnie?

- Ty mi tu myślenia nie kwesssss... tionuj - zagroziłam. - Bo mam takie samo, jak zawsze. I koniec tego głupiego gadania, rozumiesz? Precz z mych ócz!

- Z... czego? - spytał zdziwiony.

- Ócz! Takich... z literatury! Od biedy sama będę pchała ten swój wózek, brzemię swoje i szkieletów ludy! Won!

Michał przyciągnął mnie do siebie i widocznie nie mogąc znieść już moich uczonych wywodów, zamknął mi usta pocałunkiem. Całował długo i mocno, trzymając jednocześnie, żebym mu się nie wyrwała. Nawet wtedy, kiedy przestałam się wyrывać. Zaćmiło mi się w oczach, zahuczało w głowie...

- Jesteś mi przeznaczona, wiesz o tym? - spytał w przerwie na oddech i nawet nie zaczął na odpowiedź.

- Bzdura! - wysapałam, kiedy odsunął się ode mnie na chwilę, by spojrzeć mi w oczy. - Ty myślisz, że ja jestem taka głupia? I co mi ty tutaj wyznajesz bez przerwy? Miłość jakąś? Tak? Człowiek nie zakochuje się tak po łebkach, szast prast i już! Więc mi nie ściemniaj, bo widziałeś mnie wszystkiego ze trzy razy z kawałkiem i nie znasz mnie wcale. Ja nie wiem, o co ci chodzi, o jaki podstęp czy korzyść, czy może o zemstę na moim tatusiu, ale na żadne miłości nabrać się nie dam. Już nie!

- Mylisz się - wyszeptał z powagą. - Znam cię lepiej, niż sądzisz. I mylisz się, że aby się zakochać, trzeba kogoś dobrze poznać. Tego raczej trzeba, żeby się odkochać...

- Też mi fiilooo... zo...

Chciałam powiedzieć filozofia, ale Michał znów zamknął mi usta, jakby tymi pocałunkami zamierzał obalić każdy mój argument.

- Puść - wyjęczałam słabo.

- Naprawdę tego chcesz? - zapytał szeptem.

- Nie, nie chcę. Ale puść mnie i odejdz.

Być może Michał droczyłby się ze mną dalej, ale nagle trzasnęły drzwi frontowe, płosząc go skutecznie. Zobaczyłam tylko, jak zgrabnie przeskakuje przez ogrodzenie, a potem znika w oddali.

Okazało się, że Amanda przez cały ten czas czekała na mnie z kurtką przy ławce. Spojrzałam za siebie i stwierdziłam z ulgą, że z tego miejsca kompletnie nie widać tujowego zagajnika.

- Będzie jakiś obiad? - zagałam neutralnie.

- Tak, ale później. Bo pan Izidor poszedł do pani Marty, pan Henryk udał się na spacer, a panią Żanetę boli głowa.

- A... Pan Antek?

- Poszedł do kościoła. Gdyby pani chciała coś zjeść, przyrządzę szybciotko małą przekąskę.

- Nie, dziękuję. Posiedzę tu jeszcze.

Na ustach wciąż miałam smak pocałunków Michała, a w głowie szum spowodowany alkoholem i nadmiarem wrażeń. Antek poszedł do kościoła - pomyślałam. Pewnie modlić się, żebym została. Właściwie teraz było mi wszystko jedno, więc Bóg był już chyba bliski wysłuchania jego prośby...

- Amando! - krzyknęłam, podrywając się z ławki, bo dopiero teraz skojarzyłam, że wspomniała coś niepokojącego o moim tatusiu.

Amandy jednak już nie było. Wysiliłam umysł i przypomniałam sobie, że chyba poszedł na spacer... Dosłownie mnie zmroziło. Bo po pierwsze, pewnie poszedł grać w trzy karty, a po drugie, w pobliżu kręciły się Trombocyty. O ile mogłam wierzyć swoim oczom. Tak czy inaczej rosnący niepokój zaczął powoli wypierać ze mnie opilstwo. Doszło w końcu do tego, że zaczęłam nerwowo krążyć alejkami. Przechodząc za którymś razem koło bramy, zobaczyłam wielki tuman kurzu gnający w moją stronę w zawrotnym tempie.

- Otwieraj! Otwieraaaaj!!! - darło się coś z jego wnętrza wniebogłosy.

Głosem mojego tatusia, niestety. Błyskawicznie otworzyłam wszystkie rygle i zamki. Zdążyłam dosłownie w ostatniej chwili, ale... nie zdążyłam zamknąć. Pierwszy wpadł do ogrodu tatuś, a za nim Nifus i Lejek. Trombocyt nadciągał tuż za nimi z nieprzyjemnym wyrazem twarzy. Niewiele myśląc, złapałam za oparty o płot rydel i podstawiłam mu pod

nogi. Trombek wyrznął jak długi i kolejny odcinek drogi pokonał, orząc brzuchem wypielegnowany trawnik.

- Ożeż ty, pindo jedna! - zaklął pod nosem, usiłując wstać.

- To ty tak? Do damy w te słowa? - zeżliłam się nie na żarty.

Podniosłam rydel i przydzwoniłam mu z całej siły w wypięte dupsko. Aż jęknęło! Nie miałam czasu dłużej się z nim przekomarzać, ponieważ dostrzegłam, że Lejek z Nifusiem tarמושą całkiem na poważnie mojego tatusia. Wywinęłam rydlem, zgrabnie eliminując jednego z napastników. Drugi natychmiast założył tatusiowi nelsona i wskoczył mu na plecy. Moja desperacja sięgnęła zenitu. Chłopcy naprawdę trafili na mój zły dzień!

- Sorry, tatuś! - krzyknęłam i podłożyłam mu nogę.

W ten sposób otrzymałam nieograniczony dostęp do siedzącego na mim Lejka i zero ryzyka, że trafię kogo nie trzeba. Zamachnęłam się po raz kolejny i wyrznęłam łobuza w okolicę nerek. Tatuś, korzystając z chwili przestoju, wypełznął spod niego i ofiarował mu z kopa ekstra bonus, nieco poniżej. Niestety, na tym nasze możliwości twórcze się skończyły. Wszystkie oprychy dźwignęły się bowiem jednocześnie i ruszyły na nas.

- Amando! - wrzasnęłam, gdyż nikogo innego raczej nie było w domu. - Amandoooo!!!! Wojna!

Amanda wyłoniła się błyskawicznie od strony kuchennego wejścia, taskając wielki półmisek „patriotycznego” jedzenia. W pierwszej chwili osłupiała lekko, ale zaraz potem zamachnęła się porządnie i rzuciła w naszą stronę ogromnym salcesonem. Nie wiem, jak to zrobiła, najprawdopodobniej czystym przypadkiem, w każdym razie Trombocyt poległ na polu walki. Nifuś oberwał rykoszetem. Amanada, podniecona sukcesem, złapała za drugi salceson.

- Zostaw to! - krzyknęłam w jej stronę. - I leć po pomoc!

- To ja leczę po pomoc - oznajmił Lejek, jedyny ocalały z salcesonowego ostrzału.

Amanda, zamiast mnie usłuchać, wparzyła w samo centrum wojennych działań. Trombek, który jakoś się pozbierał, dosiadł tatusia, tym razem od przodu i dusząc, żądał pieniędzy.

- Czemu... on chce... pieniędzy? - wysapała Amanda, okładając Trombka pięściami po tłustym karku.

- Bo sobie... ubzdurał... że tatuś jest mu winien... - odparłam, usiłując wcisnąć mu rękę pod brodę celem założenia nelsona.

Nie było czasu na dłuższe ceregiele, ponieważ kątem oka zauważyłam nacierającego Nifusia.

- Tylko nie ubzdurał, lafiryndo głupia! - warknął i tym właśnie sobie zaszkodził.

Bo kiedy już miał mnie złapać i powalić siłą rozpędu na ziemię, wystawiłam nogę, po czym zgrabnie odskoczyłam na bok. Naturalnym prawem fizyki facet przeleciał obok mnie i padł jak mops. Na to czekałam. Zasadziłam mu tak precyzyjnego kopniaka i z taką siłą, że Nifus, świszcząc, wciągnął do płuc powietrze i tak już został.

- Za lafiryndę - poinformowałam go uprzejmie i rozejrzałam się dookoła.

Tatuś kulał się z Trombkiem po trawie. Amanda z członkiem w dłoni wyczekiwała, aż oprych będzie na wierzchu i grzmociła go wówczas przykładnie.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy - krzyknęłam w jej stronę.
- Poszukaj Kazimierza! Musimy mieć przewagę.

- Nie ma... go... Pojechał po... paliwo - wydukała na raty, ponieważ Trombek akurat znalazł się na górze.

Na to wszystko radosnym, spacerowym krokiem nadszedł Izydor. Stał na ścieżce i ogarnął wzrokiem powstające sukcesywnie w jego ukochanym ogrodzie pobojuwisko.

- A cóż to za... wygłupasy? - spytał zdumiony.

- Napadli na nas bandyci - odparła Amanda, gdyż ja w tym czasie musiałam zająć się wracającym do życia Nifusiem.

- O! To ja biegnę po posiłek! - wykrzyknął Izydor i ruszył z kopyta w stronę kuchennego wejścia.

Posiłek na szczęście nie okazał się kanapką czy innym artykułem spożywczym, lecz panią Gołębiową, kucharką, o której nadzwyczajnej sile wspominał kiedyś tatusiowi. Gołębiowa, dla wspomnienia naturalnych talentów, posiłkowała się potężnym tasakiem. Chłopcy jakby lekko zmieszali się na jej widok.

- Ja ich popilnuję, a pan niech dzwoni po gliny! - zwróciła się do Izydora. - Pan idzie, mnie tu nie podskoczą!

I wówczas, kiedy sytuacja wydawała się już opanowana, nadciągnął Lejek z posiłkami. Jego „żołnierze”, biorąc pod uwagę każdego z osobna, nie przedstawiali się zbyt imponująco. Byli to głównie mieszkańcy wsi zrobieni przez tatusia w bambuko.

- A mówiłam, że nawarzysz nam piwa? - mruknęłam do niego przez zęby.

- Co się stało, to się nie odstanie - odparł, rozglądając się w popłochu na boki.

Rzecz zapowiadała się całkiem nieśmiesznie. I znów wkroczyła do akcji niezawodna Gołębiowa. Podeszła spokojnie do zbitej w gromadę bandy i wywinęła tasakiem. Mężczyźni cofnęli się nieco. Widocznie znali jej krzepę...

- Poszli won! - warknęła ostrzegawczo. - Niech no mi który zrobi choć krok, ubiję w obronie własnej!

Mężczyźni, mimo podjudzania Leukocyta, stali jak zamurowani.

- Chłopy, to jest przecież ten gościu, co was z forsy oskubał. Jest wasz! - zachęcał. - Chodźcie i weźcie go sobie.

- Racja! - wyrwał się niespodzianie jeden z nich. - Przecież po to tu przyszliśmy. Niech odda, co wziął!

Kucharka postąpiła krok naprzód, a my z Amandą stanęliśmy po obu jej stronach.

- Ani mi się ważcie! - ostrzegła.

- My do was, Gołębiowa, nic nie mamy - odezwał się drugi. - Wydajcie tylko jeńca i pójdziemy!

- Po moim trupie! - Kucharka stanęła w rozkroku, przyjmując postawę zaczepno-obronną.

- Izidorze! A cóż tam się dzieje? - rozległ się z okna zaspany głos Żanety.

- Schowaj się, kochanie. Wojna. Nie babska to rzecz! - odpowiedział jej z godnością Izidor.

- Jakże nie babska? A któż tam stoi na froncie? - Wskazała ręką w stronę Gołębiowej z tasakiem.

- Nie mieszaj się do tego, skarbie!

Żaneta, wbrew zakazowi, zjawiła po chwili się na dole, dzierżąc pod pachą cały arsenał strzelniczy zdjęty ze ściany w bibliotece.

- Ja nie wiem, o co ta wojna i przeciw komu - oznajmiła. - Ale jak już będzie po wszystkim, zażądam wyjaśnień!

Izydor złapał za najdłuższą dwururkę i wycelował w miotającego się Nifusia.

- Zabieraj pan swoje ludzkie i wóń do domu, bo wypalam!

- Dobrze, pójdę. Ale... nie sam! - wykrzyknął, łapiąc mnie z nienacka za szyję i przyciągając do siebie.

Izydor stracił na chwilę rezon.

- Puść ją - zażądał po chwili. - Bo ja strzelę. I trafię!

- Spróbuj - zarechotał Nifuś.

Pogmerał za paskiem u spodni, wyjął gnata i przystawił mi do skroni.

- Miało być bez rozlewu krwi, ale sam pan chciałeś! A teraz cofnąć się wszyscy! Chłopcy, idziemy! - rzucił komendą do swoich zbirów. - Teraz nam dziadek sam forszę w zębach przyniesie!

Oprychy zaczęły się wycofywać za bramę. Wleczona przez Nifusia drobiazłymi krokami. Izydor jednak nie ustępował, posuwając się za nami z wycelowaną bronią.

- Nie radzę! - ostrzegł Nifuś.

- Za ojczyznę!!! - wykrzyknął Izydor i wypalił.

Nifuś wypalił także. Izydor zachwiał się i upadł. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Żaneta i Amanda wrzeszczały wniebogłosy, miejscowa ludność rozpierzchła się w popłochu. Jakiś cień przemknął mi koło stóp, uścisk na szyi zwolnił i mój napastnik runął na ziemię jak kłoda.

- Zabierz kobiety do domu! - Ktoś szarpnął mojego tatusia i pchnął go przed siebie.

Tatus, odzyskawszy zdolność ruchu, złapał jedną ręką Żanetę, drugą mnie i pociągnął za sobą. Kucharka i Amanda podążyły za nami bez zbędnej zachęty. Miałam wrażenie, że to już kiedyś było...

- Nie! - zaparłam się nagle. - Nigdzie nie idę!

Podbiegłam do Izydora.

- Żyjesz? - Potrząsnęłam nim mocno.

- Żyję. - Powoli otworzył oczy.

- Chwała Bogu! Jesteś ranny? W co cię trafił?

- Chyba... w nic. Nie odczuwam żadnej bolesności.

- Niemożliwe. Skup się mocniej - poprosiłam, bo przecież na ziemi wokół niego były wyraźne ślady krwi.

Oglądałam go kawałek po kawałku, ale nie znalazłam żadnej rany. Kiedy podniosłam głowę, było już po wojnie. Oprychy najwyraźniej się wyniosły, Żaneta z Amandą wracały.

- Chyba... nic mu nie jest - poinformowałam je niepewnie. - Ale skąd w takim razie ta krew?

- Panu nic nie jest, ale może komuś innemu owszem - orzekła posępnie Amanda.

- Ale... komu? - spytałam, wpatrując się w nadchodzącego tatusia.

- Ja jestem cały! - oznajmił radośnie.

- Jak ten bandyta strzelił, ktoś rzucił się na pana Izydora i odepchnął go na bok. A potem wyswobodził panią - wyjaśniła Amanda.

- Niczego takiego nie widziałam! - stwierdziłam zdumiona.

- Ja widziałam. Stałam prawie w środku całego zamieszania. To się stało... bardzo prędko - dodała ze smutkiem, spoglądając na czerwone plamy wiodące od trawnika do bramy.

- Chodźmy! - zaproponował tatuś. - Tak czy owak, wypada nam uczcić zwycięstwo!

Zwycięstwo?! - pomyślałam z niesmakiem. Nad czym? Bo po raz kolejny udało ci się wyłgać od konsekwencji swoich matactw?

- No, córcia, nie bądź taka posępna! - Tatuś objął mnie ramieniem. - Co by komu nie było, do wesela się zagoi!

•

XI. Historia pewnego naszyjnika

- Co one właściwie życzyły sobie? - spytał Izydor, ochłonawszy trochę z wrażenia.

- No jak? - Tatuś przepięknie zagrał zdziwienie. - Nie widziałeś? Luizę znów chcieli porwać. Żeby dostać kolejny okup!

- Ożeż to... psiekrwie, pogany niechrzczone! - oburzył się Izydor. - To one już zawsze z naszej Luizy korzystać by chciały? Niedoczekanie! Jeszcze dzisiaj najemę bodygardów.

- Świetna myśl! - ucieszył się tatuś. - Ale najpierw należałoby może uczcić zwycięstwo? Poradziliśmy sobie, jakby nie było, we dwóch z całą wsią i jedną zawodową mafią!

- A raczej... kucharka sobie poradziła - sprostowałam uczciwie.

- Nie bądźże taka drobiazgowa, córko - ofuknął mnie tatuś. - Tak czy inaczej, oblać trzeba.

- Słusznie! - Izydor ochoczo poderwał się z krzesła.

- Nie zamierzacie chyba zaczynać już teraz, przed obiadem? - skrzywiła się Żaneta.

- Wcale nic nie zamierzamy, skarbie - uspokoił ją Izydor. - Wzniesiemy tylko po jednym pucharu na wiwat, a później trzeba nam iść do ogrodu, zaorać szkody!

Siedziałam między nimi jak na jeżu, podminowana jakimś dziwnym uczuciem niepokoju. Oprychy co prawda uciekły, niby wszyscy wyszliśmy na cało, ale jednak ktoś został ranny... A może nawet... zabity? I nagle, jak grom z jasnego nieba poraziła mnie straszliwa myśl. Michał! Rzeczywiście, raz już coś podobnego przeżyłam! Dokładnie w taki sam sposób wyswobodził mnie na festynie z łap nachalnego amanta. Wiedziałam, że podobieństwo sytuacji właściwie o niczym nie świadczy, ale moja intuicja, jakiś szósty zmysł mi mówił, że to musiał być on. Pewnie nie odszedł zbyt daleko, usłyszał odgłosy walki i wrócił... Wiedziona im-

pulsem wstałam gwałtownie i równie szybko usiadłam. Bo jak miałam go szukać? I gdzie? Rosły we mnie cicha rozpacz i uczucie bezsilności.

Amanda zaczęła wnosić obiad. Po chwili wpadł do salonu Antek.

- Nie spóźniłem się, prawda? - spytał radośnie i zasiadł do stołu.

- To zależy na co, mój kawalerze - odpowiedział mu tatuś i podjął opowieść o swej heroicznej walce z bandą złoczyńców.

W mojej obronie, rzecz jasna. Kiedy dołączył do niego Izydor i zaczęli licytować się na całego w krwawych szczegółach, wycofałam swoją jaźń na tyły własnych, mrocznych myśli.

- Ja dziękuję, ale nie będę jadła - oznajmiłam, odsuwając nakrycie.

Wszystkie usta zamilkły, a oczy zwróciły się moją stronę.

- Jest ci co? - spytał wyrwany z kontekstu Izydor.

- Źle się czujesz? - zawtórował mu Antek.

- Może trochę - odparłam ostrożnie, nie chcąc, żeby komuś przyszło do głowy zajmować się teraz mną. - Ale to nic takiego. Zmęczona jestem. Pójdę się położyć.

- Masz gorączkę? - Żaneta podbiegła do mnie i przyłożyła mi rękę do czoła.

- Nie. Spać mi się chce i tyle.

- A jednak masz. - Nie dawała za wygraną. - Przyniosę ci później lekarstwo.

- Nie chcę! I proszę dać mi spokój! - syknęłam przez zęby. - Smacznego państwu!

Trochę to może było niegrzeczne, ale chodziło mi przecież o skutek... Po wyjściu z salonu zaczaiłam się na Amandę przy kuchennych schodach. Musiałam ją tu spotkać, bo nie wniosła jeszcze napojów. Po chwili usłyszałam odgłos jej drobnych kroczków.

- Amando! - Przyparłam ją do ściany, nie zważając na rosnące na jej twarzy przerażenie. - Posłuchaj mnie! Ale tak... całą powierzchnią swego mózgu. Okej? - Potrząsnęłam nią na wszelki wypadek.

Amanda skinęła w milczeniu głową.

- Nie pytam cię, kim jest facet w skórzanym płaszczu. Ani jak się nazywa, ani czym się zajmuje - mówiłam wolno, akcentując poszczególne słowa. - Więc nie musisz mi tego mówić, jeśli z jakiegoś powodu nie możesz lub nie chcesz. Pytam: gdzie on jest? A to już całkiem inna para obuwia.

Dziewczyna wgapiała się we mnie, a na jej twarzy rozgrywała się prawdziwa bitwa uczuć i wątpliwości.

- On jest ranny, rozumiesz? Krwawi, może nawet umiera - przemawiałam do jej wyobraźni. - I potrzebuje pomocy. No więc? Gdzie?

- W zamku - szepnęła ledwie słyszalnie i wyrwała się z moich rąk z zamiarem ucieczki.

- Chwila! Zrobisz coś jeszcze dla mnie. - Zastąpiłam jej drogę. - Zamkniesz mój pokój, zabierzesz klucz i będziesz mówiła wszystkim, że śpię. Nikt nie ma prawa dowiedzieć się, że wyszłam!

Amanda wyrwała mi się jeszcze raz, ale już jej nie zatrzymywałam. Miałam tylko nadzieję, że pomoże mi ukryć mój zamiar. Choć z drugiej strony - pomyślałam - nawet jak się wyda, kicham na to!

Złapałam kurtkę i wybiegłam z domu kuchennym wyjściem, a z ogrodu tylną bramą. Pogoda była znacznie gorsza niż wówczas, kiedy pokonywaliśmy tę samą drogę z Antkiem. Było chłodniej i wiał nieprzyjemny wiatr. Chyba zbierało się na deszcz... Maszerowałam rażno, chcąc zdążyć przed zmierzchem. Chwilami, na prostszych odcinkach starałam się biec. Ale kiedy trakt zrobił się bardziej stromy, pożałowałam tego. Nadwątlone w ten sposób siły narzuciły mi teraz iście żółwie tempo. Mogłam przecież wyruszyć wcześniej - plułam sobie w brodę. Bo przecież powinnam sama wpaść na to, że Michał koczuje w zamku. Widziałam go i niech mi mówi, kto chce, to nie był omam!

Posuwałam się uparcie przed siebie, choć nogi odmawiały posłuszeństwa. Dawały mi się we znaki atrakcje całego dnia. Z drugiej strony lęk o Michała i własna wyobraźnia pchały mnie naprzód, równoważąc nieco opór organizmu. Kiedy dotarłam wreszcie do kamiennej bramy, moje serce było na wpół umarłe z wysiłku i ze strachu. Przebiegłam przez dziedziniec i w straszliwych ciemnościach zaczęłam wdrapywać się schodami na wieżę. Macałam uważnie ścianę, starając się nie przegapić wejścia do ciasnego korytarzyka. Kiedy w końcu moja ręka trafiła w próżnię, zatrzymałam się, odwróciłam o sto osiemdziesiąt stopni i rozpostarłam ramiona. Końce palców obu rąk dotykały bocznych ścian korytarza. Na wszelki wypadek pochyliłam się troszkę i ruszyłam przed siebie. Po chwili zrobiło się jasno i wreszcie znalazłam się w wielkiej, kamiennej sali. Udałam się w kierunku ciemnej wnęki, w której kiedyś zobaczyłam Michała.

- Michał! - zawołałam, ale odpowiedział mi tylko głuchy pogłos.

Zajrzałam do środka. Z prawej strony dostrzegłam nikły, migocący poblask. Musiał tam być jakiś wyłom albo inna komnata. Prawie bez tchu, kroczyłam krok po kroku posuwając się w tamtym kierunku. I rzeczywiście! Po kilku, a może kilkunastu metrach trafiłam na kolejne wejście. Na pierwszy rzut oka dostrzegłam tylko jarzące, przytwierdzone do ścian pochodnie. A potem... zobaczyłam jego. Siedział na czymś oparty o ścianę i uśmiechał się do mnie.

- Michał! - Przypadłam do niego gwałtownie. - Nic ci nie jest? Jesteś cały?

- Oczywiście, że nic. Dlaczego miałbym być niecały? - zażartował po swojemu.

- Przecież ten drań cię postrzelił! Krwawiłeś!

- Ja? - zdziwił się głupawo.

- No pewnie, że ty! Amanda cię widziała.

- I... Amanda ci powiedziała, że to byłem ja?

- Nie. Powiedziała, że ktoś. Ale ja od razu wiedziałam kto. A ty... znasz Amandę?

- No pewnie! - Michał objął mnie jedną ręką, drugą trzymając jakoś nienaturalnie za plecami. - Owszem, ale ona mnie nie zna. Podobnie jak znam Antka i pana Izzydora. Chociaż oni nie znają mnie...

- Co ty mówisz? - Zdumiałam się. - Bredzisz, prawda, od tego postrzału? Pokaż! - Zażądałam, sięgając w stronę jego lewego ramienia.

- Nie.

- Jesteś ranny!

- Raptem skaleczony. Facet lekko mnie drasnął, ale już się opatrzyłem i jest okej. Najważniejsze, że te łobuzy zwiały i już nie wrócą.

- Skąd wiesz, że nie wrócą? Co im zrobiłeś?

- Nic - roześmiał się. - Widać twój ojciec im mnie tak szczegółowo opisał, że sam mój widok wystarczył. I spietrały chłopaki przed prawdziwą kamorą...

Spojrzałam na niego, niepewna, czy znowu sobie ze mnie nie żartuje.

- Luiza... Dlaczego tu przyszedłeś? - spytał po chwili.

- Dla... czego? - Pociągnęłam nosem. - Martwiłam się o ciebie. Nie mogłam znieść myśli, że cierpisz gdzieś w samotności, bez pomocy

i opieki...

- Martwiłaś się? - Michał przyciągnął mnie do siebie i pocałował. -
Czemu?

- Bo... już taka ze mnie wrażliwa dziewczyna! - wypaliłam, odsuwając się poza zasięg jego rąk.

- Spytałbym cię o coś, ale nie wiem, czy warto, bo przecież znam odpowiedź. - Westchnął, próbując dosięgnąć mojego policzka.

- Pytaj.

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak.

- Co... takiego?

Michał wstał, podał mi rękę i podniósł mnie z ziemi.

- Co takiego? - powtórzył, patrząc mi w oczy.

- Wyjdę za ciebie. O ile to nie jest jakiś żart.

- Nie jest - szepnął i objął mnie tak mocno, aż chrupnęło mi w żebrach. - Skąd taki nagły zwrot akcji, jeśli można wiedzieć?

- Bo sobie przysięgam. Że jak się okaże... że jesteś cały i żywy, to wyjdę za ciebie. Jeśli będziesz chciał.

- To ma być jakiś rodzaj ofiary? A może pokuty?

- Gadaj sobie, co chcesz - zdenerwowałam się. - Od ciebie zależy, czy to będzie ofiara, czy nie!

- Nie gniewaj się kochanie. To z radości. - Michał oparł głowę na moim ramieniu. - Ale powiedz, to jedyny argument, dla którego zgodziłabyś się zostać moją żoną?

- Przecież... wiesz - szepnęłam zawstydzona.

- Wiem. Ale to samo wiedziałem już przy naszym ostatnim spotkaniu. I przy przedostatnim. Więc?

- Idąc tu, doszłam do wniosku, że chyba naprawdę jestem ci przeznaczona. A raczej ty mnie... I nie z powodu jakiegoś przesądu, ale po prostu... Widzisz, był taki moment, kiedy postanowiłam, że zacznę prowadzić inne życie. Takie... czyste, jasne, bezproblemowe. Wiesz, wspólne obiady przy ładnie zastawionym stole, beztrudnie pogawędki i zero strachu, że ktoś wpadnie z nienacką i przyskrzyni głowę rodziny lub, co nie daj Boże, ukatrupi w słusznym gniewie... Ale przede wszystkim chciałam, żeby moje dzieci nie musiały się wstydzić tego, z czego żyją... Lecz kiedy dziś przyjrzałam się mojemu ojcu i tym nieszczęsnym,

okpionym przez nas zbirom, pojęłam, że jednak to właśnie jest moje życie. Tacy ludzie, takie klimaty i taki los. Mogę więc całkiem spokojnie wyjść za mafioza. Bo... nie zostanę panią Chlebobierską.

- Przykro mi - stwierdził Michał.

- Nieważne. Już się z tym pogodziłam.

- Nie o to mi chodziło. Problem w tym, że... nie wyjdiesz za mafioza i jednak zostaniesz panią Chlebobierską.

- Ależ nie! Bo cała sprawa z Antkiem...

- Nie chodzi o Antka - przerwał mi w pół zdania. - Tylko o mnie. Jestem Michał Chlebobierski, pierworodny syn Izydora i jego niespełniona nadzieja.

- Ccc... Co? Kpisz sobie ze mnie znowu?

- Usiądź. - Usadowił się obok mnie. - Ja nie żartuję. Jestem synem Izydora, starszym bratem Antka. Ale w takiej postaci praktycznie nie istnieję. Nie ma mnie.

- Jak to?

- Zwyczajnie. Od czasu, kiedy ojciec wyklął mnie z rodziny i zobowiązał wszystkich uroczystą przysięgą do niewymawiania mojego imienia i niewspominania mojej osoby w żadnej sytuacji i pod żadnym pozorem, przestałem istnieć.

- Przecież to do pocziwego Izydora całkiem niepodobne!

- Masz rację, do pocziwego nie. Ale jest taki obszar w jego umyśle, gdzie pocziwość nie ma wstępu. To jego obsesja na punkcie odnowy rodu. Tu już w grę wchodzi wyłącznie wyższe uczucia: patriotyzm, obowiązek wobec Boga, historii i ojczyzny. Amen.

- Ale co ty takiego zrobiłeś? - Zupełnie nie potrafiłam wyobrazić sobie tego, o czym teraz mówił.

- Znacznie mniej, niż mu się wydaje. Nie byłem nigdy aniołkiem, łobuzowałem trochę w dawniejszych czasach i tyle. Ojciec co jakiś czas straszył mnie wydziedziczeniem, zwłaszcza przy płaceniu mojego kolejnego długu. A ja, niewiele sobie z tego robiąc, nadal żyłem, jak lubiłem. Zrywałem się z domu od czasu do czasu, na tydzień, na miesiąc, i włączyłem się z kupłami. Lubiałem się bawić i nic innego do mnie nie docierało. Dlatego w żaden sposób nie mogłem zdobyć satysfakcjonującego wykształcenia. Coś zaczynałem, rzucałem i zaczynałem coś innego.

Studiowałam przykładowo dotąd, aż poczułam kolejny zew młodości. Potem znów gnało mnie w świat...

- I za to cię wyklął? Przecież takie numery wycina rodzicom co drugi dzieciak!

- Może nie co drugi. I nie dzieciak. W każdym razie z pewnością nie powinien się tak zachowywać dziedzic rodowej fortuny i nazwiska. A jeśli jest jeszcze ktoś, kto we właściwym momencie doleje oliwy do ognia, wówczas najgłupszy wybryk może stać się przestępstwem.

- Masz na myśli Żanetę? - spytałam, a Michał uśmiechnął się posępnie.

- Owszem. Ona za wszelką cenę chciała doprowadzić do mojego wydziedziczenia. Gdyby ojciec był świadomy, że w kwestii prokreacji może polegać wyłącznie na mnie, nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Ale on sądził, że ma drugiego syna, na którego też może liczyć.

- Więc Żaneta wiedziała, że Antek odpada? A ty? - Zawahałam się, nie chcąc zdradzić jego tajemnicy.

- Ja tak. Od samego początku. A ona jedynie domyślała się, że za jego nietypowym sposobem bycia coś się kryje. Była pewna, że jest gem. Ale to miało się wydać dopiero po wyeliminowaniu mnie ze sprawy.

- I się wydało. To znaczy, że jest księdzem. I tylko przede mną. A to świnia!

Michał uśmiechnął się półgębkiem.

- Doprowadziła do tego, że ojciec odciął mi dopływ kasy. Od tej pory nie miałem ani grosza. Okazało się jednak, ku mojemu zdziwieniu, że nie jestem aż tak rozpuszczonym bachorem, jak mi się zdawało. I wcale nie cierpiałem z powodu braku pieniędzy. Żyłem sobie na luzie, dorabiając, jak popadło.

- Rozumiem... I wtedy wstąpiłeś do mafii?

- No co ty? Do żadnej mafii nigdy nie wstąpiłem, ale to już inna historia. Nigdy, nawet w najgorszych momentach nie miałem konfliktów z prawem, nie ćpałem i nie piłem więcej niż inni. Więc co ze mnie za zbir?

- I? Co dalej?

- Potem z naszego domu w Glendale zniknął cenny naszyjnik po mojej matce. Żaneta oskarżyła mnie o jego kradzież. Logiczne: zostałem

bez kasy, moje długi rosły, a środki do rozwiązania moich problemów leżały na wyciągnięcie ręki.

- I?

- Ojciec dał się wpuścić w te maliny. A ponieważ naszyjnik miał dla niego ogromną wartość uczuciową, wściekł się i mnie wyklął. Tak właśnie zaczęła się nasza przygoda. Twoja i moja.

- Moja? I twoja? Co ty mi tu opowiadasz?

Michał roześmiał się na całego.

- Dziwi cię to? I słusznie, bo tu jest dopiero jazda!

- Mów - rzuciłam krótko.

- Wtedy, w poczuciu wielkiej niesprawiedliwości, postanowiłem, że odzyskam naszyjnik. Antek śledził Żanetę, podsłuchiwał, a ja, mając już znacznie bardziej ograniczone możliwości, umyśliłem sobie, że go skopuję. Wyjechałem na południe Polski. Gromadziłem pieniądze na ten cel, głównie grając w pokera. W kasynach i gdzie się dało, bo to chyba szło mi w życiu najlepiej. Twojego tatusia spotkałem akurat w dniu, kiedy kupiłem gazetę z ogłoszeniem ojca, że poszukuje żony. Dla Antka, oczywiście. Byłem wściekły. I przerażony. Z jednej strony poraziła mnie jego bezwzględność w realizacji swoich dążeń, z drugiej zaś żal mi było brata. On naprawdę miał powołanie i wszystko, czego chciał w życiu, to zostać księdzem... Owego brzemiennego we wszystkie dzisiejsze skutki dnia poszedłem do kasyna. Karta szła mi jak nigdy. Ale w pewnym momencie zacząłem topić swoje smutki przy barze, a dalej już wiesz... W którymś momencie przestraszyłem się, że przepiję całą wygraną i oddałem ją w depozyt twojemu tacie. Wyglądał na pocziwego i znacznie trzeźwiejszego ode mnie, a ja nie myślałem już zbyt racjonalnie. Normalnie przecież nie oddałbym takiej kasy pod opiekę obcemu facetowi. Ale cóż, stało się. Spisałem sobie jego adres i umówiliśmy się, że odbiorę kasę za kilka dni. A pieniądze zawiązałem w gazetę...

- Z ogłoszeniem?

- Z ogłoszeniem.

Siedziałam w milczeniu, trawiąc podane mi przez Michała informacje. Bezladne myśli skakały mi po głowie wiele tłumacząc, ale i stawiając kolejne pytania.

- I co? Odtworzyłeś ten naszyjnik? - spytałam.

- Chodź, pokażę ci. - Michał sięgnął ręką za siebie, a potem pociągnął mnie w stronę światła.

Klejnot był przepiękny, niezwykle misterny, ale jakiś... dziwny zarazem.

- Jest niekompletny - wyjaśnił Michał. - Bo tylko na tyle starczyło mi pieniędzy. W miarę jak udawało mi się zdobyć trochę forsy, złotnik dorabiał kolejny element. Lecz jak widać, brakuje jeszcze paru, że już o kamieniach szlachetnych nie wspomnę. To rubiny, ale fałszywe. Na prawdziwe nie było mnie stać. Zresztą, mniejsza z tym. Teraz już i tak nie zdążę.

- Nie zdążysz? Do czego?

- Do końca roku. Bo taki czas ojciec wyznaczył sobie na ożenienie Antka. Myślałem, że zwrócę naszyjnik, ukorzę się i wrócę do łask. Nie dla majątku ojca. Dla brata.

Michał położył mi ręce na ramionach i długo patrzył w oczy. Jakby chciał z nich wyczytać, czy mu wierzę.

- Kochasz go?

- Jak nikogo w świecie! Zawsze byliśmy z sobą bardzo związani, a jak umarła nasza mama, wspieraliśmy się, pomagaliśmy sobie, chroniliśmy się. Bo kiedy ojciec ożenił się z Żanetą, nie zawsze było nam słodko... I teraz został mi już tylko on.

Przytuliłam się do Michała ze wszystkich sił, dając mu do zrozumienia, że od dziś i ja z nim jestem. I będę, cokolwiek by się stało...

- Odprowadzę cię. Już późno - szepnął mi gdzieś nad głową.

- Nie chcę!

- Niestety, nie możesz zostać. Nie komplikujmy sprawy, kochanie. Jeszcze nie pora.

- Dobrze. A tak w ogóle, co zrobimy?

- Jutro spróbujemy coś ustalić. Najważniejsze, że jesteś moja. - Michał pocałował mnie tak... Tak, że jak zwykle na dłużej straciłam oddech. - Bo jesteś? I chcesz mnie takiego, bez majątku i perspektyw na dostatnie życie?

- Chcę...

Na dworze było już całkiem ciemno. Ale on widać dobrze znał drogę i wyprowadził nas z lasu bez żadnej kolizji. Pożegnaliśmy się przy tylnej bramie. Przemknęłam na parter kuchennymi schodami, potem zdjęłam

buty i na paluszkach pięłam się wyżej. Przemykając obok pokoju Żaney, skuszona nie wiadomo czym, zajrzałam przez dziurkę od klucza. Nie była sama. Kotłowała się z kimś na łóżku... I to z całą pewnością nie był Izydor! Zmrożona tym widokiem, plując sobie w brodę, pomknęłam dalej.

Amanda, pewnie u granic wytrzymałości nerwowej, czaiła się gdzieś w okolicach mojego pokoju, gdyż wyrosła mi znienacka przed oczami.

- Dzięki Bogu! I co? - spytała, celując drżącą dłonią kluczem do dziurki.

- Daj, ja to zrobię. - Zabrałam jej klucz. - I nic. Wszystko w porządku. Szukał mnie ktoś?

- Nie. Mówiłam, że pani śpi i nie kazała się budzić.

Amanda kręciła się dookoła mnie, asystując mi przy toalecie. Ciekawość zżerała ją wyraźnie, ale nie pytała o nic więcej.

- Ten z kucykiem, którego nie znasz i pojęcia nie masz, kim jest, czuje się dobrze. Jest lekko draśnięty w ramię. - Zlitowałam się, nie odmawiając sobie jednak szczypty złościwości.

- Och, chwałaż ci Panie! - wymusnęło jej się spontanicznie.

- Ano, chwałaż - przytaknęłam. - I coś ci teraz powiem, jak obiecasz, że nie puścisz pary z gęby.

Amanda bez słowa walnęła się pięścią w obfity biust.

- On poprosił mnie o rękę. I ja się zgodziłam!

Bez obawy podzieliłam się z nią tą wieścią, bowiem sprawdziła się w dochowywaniu sekretów, jak mało kto.

- Naprawdę? Zostanie pani jego żoną? - Ucieszyła się, popiskując z cicha.

Zdumiała mnie ta jej radość, a szczególnie nieskrępowana ekspresja w jej okazywaniu.

- A ty z czego tak się cieszysz, hę? Przecież nigdy go nawet nie widziałaś.

- Bo... cieszę się, że wychodzi pani za... tego mężczyznę. Ponieważ dobrze pani żyć. I jemu też - dodała splotioną.

- Domyślałam się, że w związku z tym spiskowałaś nawet przeciwko mnie. Razem z Antkiem.

- Ja? Nic o tym nie wiem!

- Nie? A kto go wpuścił do mojego pokoju? I nie zauważał, kiedy snuł się po ogrodzie? Kto mi próbował wcisnąć przesąd o przeznaczeniu i o zamku?

Amanda spuściła głowę, nie będąc pewna, czy moje wyrzuty są na serio.

- Ja też się cieszę, Amandziu moja kochana! - Złapałam ją w ramiona i okręciłam dookoła. - Bo po raz pierwszy w życiu wiem, czego naprawdę chcę i po raz pierwszy nie mam żadnych wątpliwości!

•

Nie wiem, w jaki sposób Michał kontaktował się z Antkiem, być może zwyczajnie przez komórkę, a może w inny sposób, w każdym razie, kiedy spotkaliśmy się rano, byłam przekonana, że on już wie. Miałam go nawet o to zahaczyć, ale w tym momencie zauważyłam pędzącego po schodach tatusia i to zdało mi się kwestią bardziej niecierpiącą zwłoki. Wymieniłam więc z moim „narzeczonym” parę zdawkowych grzeczności i pomknęłam na piętro.

- A dokąd to? - wysapałam niemal pod drzwiami pokoju Żanety.

- Udaję się z wizytą - oznajmił tatuś z godnością. - A bo co?

- A bo to. - Złapałam go za łokieć i odciągnęłam na bok. - Musimy porozmawiać.

Tatuś teatralnie uniósł w górę brwi.

- Pali się? - spytał.

- Obawiam się, że tak. A jak się pali, to może i pierdyknąć. Z hukiem! - szepnęłam złowieszczo. - Tato, ty nie myśl, że ktoś tu jest głuchy, ślepy albo głupi. Jak ty możesz w ogóle? Przystawiasz się obcesowo do żony Izydora, w dodatku pod jego własnym dachem!

Ojciec zrobił krok w moją stronę i spojrzał na mnie z politowaniem.

- A ja ci na to powiem w ten sposób: nie mieszaj się do spraw, których nie rozumiesz!

- Nie rozumiem? Przecież ja nie mam pięciu lat i jeśli widzę, że facet obściskuje kobietę albo się z nią kotłuje pokątnie, to raczej wiem, o co chodzi.

- Nie.

- Jak to nie???

- Tak to!

- Okej - skapitulowałam. - Nie będę wnikała w szczegóły, ale ostrzegam: zaprzestań swoich niecnych praktyk, bo... powiem Izydorowi!

- Jak sobie chcesz. - Tatuś przestąpił z nogi na nogę, spoglądając nerwowo w stronę drzwi. - Gdyż moje praktyki są jak najbardziej... cne.

W tej chwili drzwi się otworzyły i pojawił się w nich niewielki fragment Żanety.

- Czemu nie wchodzisz, Heniu... - zaczęła i urwała.

Spojrzała na mnie z głupią miną i wolno wyłoniła się w całości.

- Dzień dobry, Luizoz. Chciałam ci tylko powiedzieć, że to nie jest tak, jak myślisz...

- Wiem. Znam to z filmów - odparłam, mierząc ją wymownie wzrokiem. - Tak zawsze mówią żony przyłapano przez mężów na wiarołomstwie. I właśnie idę do Izydora, żeby go uświadomić, co tu się kroi!

- Nie, proszę cię! - Żaneta złapała mnie za rękę. - Nie rób tego!

- Ale owszem, rób - oznajmił ze spokojem tatuś.

- Ja... Mogłabym ci wszystko wyjaśnić - jęknęła Żaneta. - Ale... nie mogę!

- No i widzisz? Mogłaby, ale nie może. A skoro tak, ja też nie mogę. Więc najlepiej zrobisz, jak pójdziesz do Izydora! - roześmiał się tatuś.

Żaneta ujęła go za ramiona i wepchnęła do pokoju. Zostałam sama, z poczuciem chaosu i niepewności. Schodząc na dół, zobaczyłam przez okno Izydora, który z wielkim zacięciem usuwał resztki demolki w jego ukochanym ogrodzie. Co jakiś czas przystawał, odsuwał kowbojski kapelusz na tył głowy i ocierał pot z czoła. Zrobiło mi się go żal. Bo przecież to ja i tatuś byliśmy odpowiedzialni za tamto zbrodnicze najście. A teraz lada chwila przyjdzie mi wyznać, że oto wszelkie pokładane we mnie nadzieje biorą w łeb, ponieważ nie wyjdę za jego syna, a na koniec tej imprezy mój własny tatuś pozbawi go ukochanej żony... Nie wahałam się dłużej. Zbiegłam szybko na dół i wyszłam do ogrodu.

- O, jakże miło cię ujrzeć. - Ucieszył się na mój widok. - Już tobie lepiej nieco?

- Tak, dziękuję. Już całkiem dobrze. Pomóc ci w czymś? - zaproponowałam, nie bardzo wiedząc, jak przejść do rzeczy.

- Ale skąd! - roześmiał się Izydor. - Takimi delikatnymi rączkami do czarnej roboty? Weź ty lepiej Antka i zróbcie sobie razem coś miłego. Bo mnie się zdaje, że on ostatnio mocno się zapuszcza.

- Cc...co?

- No, obowiązki zapuszcza. Zaniedbywa ciebie! - wyjaśnił. - A może do kina go namów, albo na przejażdżkę pieszą jaką?

- Pomyślę o tym - odparłam wymijająco. - Ale ja do ciebie z inną sprawą...

- Słucham? - Izydor wsparł się na rydlu z tak rozbijającą miną, że aby zacząć, musiałam spuścić wzrok.

- Bo widzisz... martwię się o pewną sprawę, ale nie wiem, jak ci to powiedzieć.

- Najlepiej zwykle. Słowo po słowu - poradził.

- No więc... chodzi mi o mojego ojca i o twoją żonę. Mnie się wydaje, że oni mają się ku sobie...

- Ale niech się mają! - ucieszył się Izydor. - Ja nie bardzo teraz mam czasu się nią zajmować, a ona młoda jest, witalna, to jak jej Henry nieco czas uprzyjemni, mnie nie ubędzie!

- Tak! Tylko że tu nie chodzi o zwyczajne dotrzymanie towarzystwa! - Próbowałam w miarę delikatnie wyprowadzić go z nieświadomości. - Tu chodzi o coś więcej!

- Och, czym on jej więcej żywota umilii, tym lepiej! - Izydor machnął ręką, po czym znów zabrał się do rycia.

- Oni mają romans!!! - Nie wytrzymałam i rąbnęłam prosto z mostu.

Izydor jakby nieco się zmieszał, rozejrzał dookoła i westchnął.

- Posłuchaj, kochana moja - zaczął półgłosem. - Ale to, co ci powiem, tylko dla twego uzmysłowienia jest... Czy ty myślisz, że ja nie mam oków i uchów? Przeciwnie. Ja widzę dużo i słyszę wiele. Żona moja... naprawdę młoda jest i bawić by się chciała, stroić, kontaktować, a ja... jak widzisz! Swój mam ogródek, o drzewka zadbywać umiem, zieleninę pielęgnować, ale młodą facetkę niezbyt za bardzo... I nawet niechętnie, ja ci powiem. Znasz trochę Żanet, to wiesz, jaka ona wymagająca i bez... bezwzględna...

- Bezwzględna - podrzuciłam odruchowo.

- No. Bezwzględna. Tyle teraz mego spokoju, co ona się Henrym zajmuje. Tylko człowieka żal...

- Więc ty wiesz o wszystkim??? - spytałam zdumiona. - Pięknie! A może jeszcze piękniej: uknułicie to razem z tatusiem?!

- Już tam, uknuliście! - oburzył się Izydor i zaczął ryć jak wściekły, ustawiając się do mnie bokiem.

- Uknuliście, tak? - Zaszłam go od przodu, usiłując odebrać mu rydel.

- To ja ci jeszcze powiem coś, abyś nie myślała o mnie źle. - Wyrwał mi łopatę z rąk i schował za siebie. - Tylko musisz mi przyrzec, że nie kwikniesz słówkiem nikomu!

- Nie kwik... Nie pisnę!

- Otóż ja... odnalazłem tu miłość swą. Taką starą, co jak się powiada, nie rdzawi. I bym chciał, aby na ostatnie moje lata z nią połączyć się. To bardzo nie byle jaka kobieta i na kocią dłoń ze mną żyć nie będzie, a Żaneta nie użyczy mi rozwodu, choćby zimny trup! Więc kiedy zauważyłem, że jej się ślepia do Henrego migocą, mnie przyszło do głowy, że niechby i ona się zakochała. Może wtedy sama pójdzie?

Spojrzałam na niego przenikliwie, nie wiedząc, co o tym myśleć. Ale jego twarz była tak szczerą i tak promienną na wspomnienie swojej „miłości”, że poczułam się bezsilna. Przecież sama wiedziałam, czym jest to uczucie i jak bardzo potrafi namieszać w głowie...

- Myślisz o mnie niedobrze? - Izydor przerwał moje rozmyślenia.

- Nie - odparłam krótko i odeszłam.

A to się porobiło - pomyślałam, wchodząc do domu. A to się porobiło! Po chwili przyłapałam się na tym, że konsultuję w myślach całą sprawę z Michałem. Ale jego tu nie było, a ja ze względu na obietnicę dyskrecji i tak nie mogłam podzielić się swoimi myślami z kimkolwiek. Nawet z nim...

Poszłam do kuchni, wzięłam sobie kawę i usiadłam przy stole, stawiając bierny opór kucharce, która bardzo chciała mnie stamtąd przegonić.

- A bo to nie przystoi panience między garami przebywać - argumentowała.

- Niby dlaczego? Przecież jestem taka sama baba, jak i pani. A babom gary nie dziwne - odparłam przewrotnie.

- Co też panienka mówi? - Gołębiowa wytrzeszczyła na mnie oczy.

- Mówię, co wiem. Nie chce mi się teraz na salony. Potrzebuję chwili wytchnienia w swojskiej atmosferze. I nie pójdę, choćby mnie Gołębiowa swoim sławetnym tasakiem potraktowała!

Kobieta chyba miała zamiar usiąść, ale przykucnęła tylko nad krzesłem i prędko wstała. Może jej się ubzdurało, że nie wypada jej siadać przy mnie. Chodziła więc po kuchni i robiła swoje, od czasu do czasu łypiąc na mnie okiem.

- Pochodzi pani z tej wsi? - zagaіłam przyjaźnie.

- Jakże by inaczej? Stąd jestem, ino że spod lasa.

- Ma pani jakąś rodzinę?

- Ano, co mam nie mieć? Mam! Piątkę dzieci. Czwooro z chłopem i jedno z Amandą.

- Co? - Z wrażenia aż podskoczyłam na krześle. - Jak to: z Amandą... Z naszą Amandą?

- No pewnie, że z tą. Innej tu nie ma.

- Nie rozumiem...

- Co tu rozumieć? Mój któregoś razu skoczył na bok i tyle.

- I wy tak teraz... normalnie? Nie ma pani do niej pretensji? Ani do niego?

- A co to komu da? - Gołębiowa wzruszyła ramionami. - Dzieci pretensjami nie wykarmi. Zresztą, chłop nie mydło, nie zmydli się.

Słuchałam jej z coraz większym zdumieniem, dziabiąc bezmyślnie łyżeczką w filiżance.

Gołębiowa podeszła do stołu i dwoma zamaszystymi ruchami przetarła go ścierą.

- Napitek panienska sobie wychlupie - ostrzegła. - Bo to kiedyś, proszę pani, Amanda zastąpiła mi drogę pod kościołem i mówi, że mój jej brzuch przysposobił. I że ona go kocha i że rozwodu sobie życzy ode mnie.

- Odważnie - mruknełam pod nosem.

- Może i odważnie - zastanowiła się Gołębiowa. - A może ino głupio... I ja jej wtenczas się pytam: czy on ciebie gwałtem brał? - No, nie - ona na to. - Czy przed tobą zataił, że żonaty i dzieciaty jest? - No, nie. Przecież wszyscy we wsi wiedzą, że żonaty - odpowiada. - I ty wiedziałaś? - Wiedziałam. - A obiecywał ci może co? Ślub, na ten przykład? - Ano, nie! - Więc idź ty dziecko w swoje stronę - powiadam - i dupy mnie nie zawracaj!

- I co?

- Nic. Poszła. Lecz jak się do roboty u pana Izydora najęłam, mały Leoś już był na świecie. Więc i dla niej zatrudnienie wyprosiłam, bo żal mi było dzieciaka. No i żeby mojego o alimenty nie ciągała.

- A... pani mąż? Co on na to?

- On? Tego ja nie wiem, bo my się jakoś nie zgadali.

- Więc on do dzisiaj jest nieświadomy, że ma jeszcze jedno dziecko?!

- No jakże nie, kiedy cała wieś świadoma! - Gołębiowa spojrzała na mnie z politowaniem. - Zwłaszcza, że Leonardo jakby skóra z ojca żywcem zdarta!

- Le... onardo?

- Dzieciakowi Amandy, znaczy się. Takie jemu imię wybrała, po jednym aktorze, co to niby mój do niego podobny jest.

- Ale numer - szepnęłam do siebie, nie mogąc wyjść z podziwu. - To ci dopiero filozofia!

Opowieść Gołębiowej nasunęła mi skojarzenie z trójkątem stworzonym przez Izydora. Różnica polegała tylko na braku wspólnych dzieci... Z zamyślenia wyrwał mnie głos bohaterki zasłyszanego właśnie love story.

- O, tu pani jest! - ucieszyła się Amanda. - Pan Antek wszędzie pani szuka.

- Gdzie on jest?

- Teraz to nie wiem, ale jeszcze przed chwilą chodził po schodach w tę i nazad.

Znalazłam go pod drzwiami mojego pokoju.

- Wejdz - zaprosiłam go do środka. - Co słyhać?

- Na razie nic, ale wkrótce będzie. Daj Boże, żeby po naszej myśli - odparł z dość dziwną miną.

- To znaczy? - ciągnęłam go za język, nie chcąc pierwsza wyskakiwać z Michałem.

Na wypadek, gdyby jednak nie wiedział.

- Wiesz, bardzo się cieszę, że tak się stało. Bardzo! Modliłem się o to! - odparł trochę niejasno.

- Ale o co?

- Nie udawaj, Luizoz. Chodzi mi o ciebie i mojego brata. Wygląda na to, że sprawa rozwiązała się sama. Choć przyjemnie pewnie nie będzie...

- Ustaliliście coś?

- Z grubsza. Według naszej koncepcji kolejny krok będzie należał do ciebie. Jeśli się zgodzisz, oczywiście, ale tak będzie najrozsądniej.

- Czyli? - ponagliłam.

- Musimy teraz wszyscy, we trójkę, postawić ojca pod ścianą. Wstrząsnąć nim raz a porządnie, zagrać na emocjach i nie dać chwili do namysłu...

•

XII. To nie może być prawda!

Najpierw upewniłam się, czy Izydor będzie wieczorem w domu, a potem przygotowałam starannie swoją toaletę. Wybrałam spośród rzeczy kupionych ostatnio z Żanetą. Skromność i elegancja – takie sobie narzuciłam hasło. Po namyśle zamieniłam skromność na ekstrawagancję. Jeszcze później elegancję zastąpiłam nonszalancją. W efekcie ułożony na tapczanie czekał na mnie dość ekscentryczny zestaw ciuchów. – A, co mi tam! – mruknęłam do siebie. – W końcu i okazja nietuzinkowa...

W nerwach zaczęłam się obawiać, czy Izydor jednak nie zmieni planów i dokądś nie pójdzie. Albo nie uraczy się z tatusiem zasobami piwniczki, gdyż na jedno z grubsza by wyszło... Poszłam więc do niego i normalnie, po ludzku zapowiedziałam, że zamierzam wieczorem coś oficjalnie ogłosić. Ja, jako ja, Luiza. W pojedynkę. Izydor był trochę zaskoczony, ale przyjął moją informację do wiadomości.

– Czy pozostałe sztuki mają być także obecne? – spytał powściągliwie.

– A... tak! – odparłam, ponieważ Żaneta mogła mi się nawet przydać, a tatuś, jakby nie było, jest przecież moim tatusiem.

Załatwiwszy sprawę, udałam się do siebie, żeby sprawdzić, która godzina. A tak naprawdę chyba po to, by dalej denerwować się w samotności. Po drodze natknęłam się na tatusia zbiegającego ze schodów.

– O córcia! Czyżbyś wracała od Izydora? I co, powiedziałaś mu o wszystkim? – spytał z uśmiechem.

– Owszem. Ale... o czym? – Przemknęło mi przez myśl, że tatuś wie może coś więcej, niż powinien.

– No, o tym, czym mnie straszylaś całkiem niedawno.

– A... Chodzi ci o twoje... kontakty z jego żoną? Tak – odparłam z ulgą. Powiedziałam.

– I co on na to? – Tatuś uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Ja chciałbym tylko wiedzieć, czy ona o tym wie - mruknąłem z niechęcią.

- O czym?

- O waszym spisku!

- Ciiii. - Ojciec położył sobie palec na ustach. - Im człowiek mniej wie, tym lepiej śpi. A szczególnie kobieta - odparł filozoficznie. - Pamiętaj o tym, córeczko!

Wyminęłam go bez słowa, wzburzona do głębi jego cyniczną postawą. No, to teraz tyle twojego, tatusiu, ile uszarpiesz u Izydora z pomocą Żanety - pomyślałam z satysfakcją. Bo już nie będziesz miał majątnej córeczki. Choćby się skichał!

•

Kiedy wybiła godzina zero, wkroczyłam godnie do salonu. Zdumienie na twarzach zebranych dodało mi nieco odwagi, ponieważ mój strój miał przemówić do nich pierwszy. I najwyraźniej przemówił. Śliczna, kremowa sukienka na cieniutkich ramiączkach z białej, tiulowej koronki w połączeniu z moimi przechodzonymi lekko trampkami musiała nieźle dawać po oczach, ale przedstawiała dokładnie mój aktualny stan duszy. A do tego ciężka, chamska biżuteria z metalu, drewna i skóry.

- Poprosiłam cię Izydorze o to spotkanie, ponieważ mam ci coś do zakomunikowania - oznajmiłam, kiedy już napasiono oczy moim widokiem. - Ale bardzo cię proszę, zanim coś powiesz, wysłuchaj mnie w całości! To znaczy, tego, co chcę ci powiedzieć.

- A wy nie obie razem z Antkiem? Bo spodziewałem się jakiejś wspólnej wieści? - Wszedł mi w słowo, zanim jeszcze zdążyłam się rozkręcić.

- On też będzie, ale za chwilę - odparłam.

Antek czekał bowiem w pobliżu, by na umówiony znak wprowadzić do salonu Michała. Zrobiłam dłuższą pauzę dla nabrania powietrza.

- Otóż... Chciałam cię poinformować, że ja nie wyjdę za Antka - wywaliłam jednym tchem. - Proszę, nic teraz nie mów! - Powstrzymałam go gestem dłoni. - I nie jest to jakieś moje widzimisię. Po prostu zakończyłam się w kimś innym. A miłość, Izydorze, to nie jest uczucie, z którym można pertraktować. Przychodzi, chcemy, czy nie. Miłość nie umie liczyć pieniędzy. - Tu łypnęłam wymownie okiem w stronę Żanety. - Nie

wie, co to pochodzenie, status społeczny i... takie tam. Mam nadzieję, mam ogromną nadzieję, że mnie rozumiesz!

Celowo i z rozmysłem przygrywałam na najbardziej osobistych tonach jego duszy. Izydor bladł, mienił się na twarzy i wiercił się na krześle.

- Wybacz mi, jeśli cię zawiodłam, ale miałam do wyboru: albo zawiść ciebie, albo siebie. Wybrałam to pierwsze. Mój wybranek nie jest bogaty, nie ma świetnego pochodzenia, ale jest dobry, mądry i uczciwy. Oto i on! - Wyciągnęłam w bok swoją prawą dłoń i zastygłam bez ruchu.

- Oto i on!!! - powtórzyłam głośniej.

W tym momencie do salonu wszedł Michał. Porządnie uczesany, w garniturze i wyglansowanych butach. Ujął moją dłoń, ucałował z galanterią, a później skłonił się wszystkim zebranym. Antek stanął za nim.

- Ale... jakże to? - Izydor poderwał się z miejsca, po czym usiadł gwałtownie i o ile to możliwe, pobladł jeszcze bardziej. Z półprzymkniętymi oczami i opuszczoną na piersi głową nie wyglądał zbyt... żywotnie.

- Owdowiałam?! - wrzasnęła Żaneta, przy czym było to raczej zdziwienie niż krzyk rozpacz. - Owdo... wiałam? O, nie!!! Ja nie mogłam owdowieć, Izydorze!

Nagle wpadła w jakiś dziki popłoch. Przypadła do niego, klepiąc go po policzkach i wachlując na zmianę. Dołączył do niej tatuś, chlapiąc go wodą mineralną oraz tarmosząc.

- Izydorze! - pokrzykiwał. - Nie rób nam tego, przyjacielu!

Antek wyjął zza pazuchy telefon, żeby w razie potrzeby zadzwonić po lekarza. Michał przytulił mnie mocno do siebie i czekał...

- Chwała Bogu! - wykrzyknęła Żaneta, widząc, że jej mąż podnosi głowę i otwiera oczy.

Izydor odepchnął ją od siebie i całkiem już przytomnie spojrzął na Michała.

- To ten osobnik jest twój wybraniec? - spytał, jakby dla upewnienia.

- Tak, Izydorze - odparłam spokojnie. - Przykro mi, że nie spełnię twoich nadziei, nie wyjdę za twojego dziedzica i nie urodzę ci wnuków. Tak wyszło!

Na dźwięk celowo akcentowanych przeze mnie słów Izydor zaczął łypać okiem to na Michała, to na mnie. Najwyraźniej coś kombinował.

Bardzo liczyłam na to, że w dobrym kierunku... Teraz przyszła kolej na Antka. Spojrzałam na niego wymownie. Potem chrząknęłam. A potem najzwyczajniej złapałam go za rękę i postawiłam przed obliczem ojca.

- Właśnie, tato. Bo i ja chciałbym ci coś powiedzieć...

- Że kochasz, synu, tę dziewczynę? I czujesz się zdruzgoczony, czy tak? - spytał Izydor z nadzieją w głosie.

- Nie, właśnie, że nie. - Antek przełknął głośno ślinę. - Tylko... I ja spotkałem swoją miłość. Ale nie taką, z której będzie ślub, a potem dzieci i wnuki...

- Oczywiście, że nie będzie - syknęła Żaneta. - A próbowałam cię ostrzec, uświadomić! - rzuciła w stronę małżonka.

- No to co będą? - spytał on, unosząc wysoko brwi.

- Antek jest księdzem! - Nie wytrzymałam i skróciłam męki chłopaka. - Właściwie jeszcze nie księdzem, ale diakonem. Księdzem zostanie lada moment.

- Co ty... synu... jest? Żeś? - wydukał zdumiony Izydor.

- Kim ty jesteś??? - zawtórowała mu ogłupiała Żaneta.

- Księdzem - odparł znacznie spokojniej Antek. - Dlatego nie ożenie się z Luizą. Ale chętnie jej pobłogosławię. Im pobłogosławię...

- Jak ty mógł mi czegoś takiego uczynić! - jęknął Izydor. - Jak? Kiedy ty jedyna moja ostojnia?

- Nie, tato. Nie jedyna. A zresztą, kiedy podejmowałem decyzję o wstąpieniu do seminarium, jeszcze nie byłem sam. Miałem brata. I nadal mam...

Izydor znów zaczął bić się z myślami. Po jego pobladłej twarzy wręcz przetaczały się całe tajfuny różnych myśli.

- Ja nie wiem, co ten nieborak ci zrobił Izydorze, ale zdaje się, że coś między wami jest.. nie teges? - wyrwał się tatuś, wskazując palcem na Michała.

- Very nie teges! Bardzo very! - potwierdził Izydor z zapalem.

- Tak czy smak, ja rozumiem, że to też jest twój syn, krew z krwi, kość z kości! - podsumował tatuś. - Więc odpuść mu i po problemie! W ten sposób będziesz miał i spadkobiercę, i kapłana. Czy ty wiesz, stary, jakie to patriotyczne mieć syna księdza? Jakie polskie? - agitował gorliwie.

Zdawałam sobie sprawę, że ojcem kieruje jakiś szemrany interes, ale mimo to byłam mu wdzięczna. Dopiero teraz bowiem, przy tak celnych argumentach Izydor zaczął nabierać kolorów.

- Niech ów mężczyzna odda klejnot, co go zapierniczył. - Wycelował palcem w Michała. - To mężczyznę odeklnę!

- Nie mam klejnotu - przemówił po raz pierwszy Michał. - Nigdy go nie... zabrałem.

- Odda, to pogadamy. - Izydor zwrócił się do tatusia.

Michał sięgnął za pazuchę i podszedł do Izydora.

- Może to wystarczy? - Podsunął mu pod oczy niedokończony naszyjnik. - Tyle mam. Od czasu, kiedy zostałem posądzony o kradzież, usiłuję go odtworzyć. Pracowałem na niego, jak umiałem, sprzedałem auto i wszystko, co miało jakąś wartość. Niestety, nie stać mnie na więcej! - Michał rzucił klejnot na stół i wycofał się na poprzednią pozycję. - Nie zabrałem go - dodał. - Proszę mi wierzyć lub nie. To nie ma już dla mnie znaczenia.

I jakby dla potwierdzenia swoich słów przytulił mnie mocno do siebie.

- Tato! - wtrącił się Antek. - On naprawdę tego nie zrobił!

- Więc gdzie jest? Nogami poszedł, czy co? - spytał Izydor, wpatrując się w niego przenikliwie.

- Ja nie wiem. Ale może jest między nami ktoś, kto wie?

Izydor rozejrzał się w skupieniu po twarzach zebranych.

- Ja też nic nie wiem! - pisnęła znienacka Żaneta. - Naprawdę nie wiem, przysięgam! A oni obaj byli wtedy w naszym domu w Glendale. - Machnęła ręką w stronę Michała i Antka. - I zaraz potem okazało się, że naszyjnika nie ma!

- Skąd okazało się? - spytał Izydor. - Z sejfu okazało się?

- Nnn... nie - wyjąkała Żaneta. - Nie z sejfu.

- A skąd?

- Bo ja go... schowałam. W inne miejsce.

- Żeby mnie oskarżyć, czy tak? - warknął Michał wściekle.

- Czy tak?!!! - Izydor powtórzył po nim jak echo. - Zeznawaj kobieto, bo tu o mojemu synu idzie. Ty nie rozumiesz tego?! *Don't understand?*

- Tak - przyznała cicho. - Żeby cię oskarżyć. Ale potem naprawdę klejnoty zniknęły. Przysięgam! Nie ma ich!

- Antek! Wołaj natenczas całą familiją! - zarządził Izydor, piorunując Żanetę wzrokiem. - Ale chyżo!

„Familija” najprawdopodobniej czyhała gdzieś w pobliżu, gdyż zjawiła się błyskawicznie. Na szczęście, bo każdy z nas zdążył sobie już umyślić jakiś przykry dla siebie powód tej dyspozycji.

- Drodzy moi! - rzekł Izydor, upewniwszy się, że wszyscy wezwani stawili się jak jeden mąż. - Jest tu między nami mężczyzna pewien. Ten, którego nie znacie ani z nazwiska, ani z pochodzenia, ani też z żadnej innej rzeczy, ani pogłoski. Czyż tak?

- Taaak - pracownicy odparli zgodnym chórem.

- I nigdy go nie widziały oczy wasze.

- Nie... widziały... - potwierdził niechętnie chór.

- Podług przysięgi, którą żem wam kazał przed krzyżem odbyć, na głowy bliskich waszych i milczenie aże po nagrobek wasz.

- Po nagrobek - powtórzyli zgromadzeni i pospuszczali głowy.

- Ale dziś nastał dzień, w którym od przysięgi was puszczam.

Gawiedź odetchnęła z wyraźną ulgą i z trudem maskowaną uciechą.

- Michale Stanisławu Alojzu Franciszcie Chlebobierski! - zagrzemiał Izydor. - Niniejszem zwracam ci nazwisko i imię twoje.

- Tylko jedno? A trzy pozostałe? - Trąciłam Michała i zachichotałam radośnie.

- Mam nadzieję, że jedno - odszepnął Michał.

- ...wraz ze wszystkimi należnymi ci prawami. Amen - dokończył Izydor, marszcząc brwi.

- Wobec tego... chciałbym pana prosić o rękę córki - zwrócił się Michał do mojego tatusia. - A ciebie, ojczy, proszę o zgodę na to małżeństwo. - Słowa skierowane do Izydora wymówił z pewnym trudem.

- Synu! Synowo moja! Jakżem wam rad! - Izydor złapał nas w ramiona i mocno wyściskał.

- Córko moja, zięciu, jakże się cieszę! - Drugi w kolejce do gratulacji był mój tatuś.

- Nie dziwię się, tatusiu - rzuciłam z przekąsem.

- Pójdź i ty w me objęcia, dziecko moje duchowne. - Izydor skinął na stojącego w oddali Antka.

Cała ta scena była w moim odczuciu idiotycznie-patetyczna i głupia. Taka... Izydorowska... Ale skoro cel uświęca środki i ja oddałam się tym

wszystkim durnowatym gestom, wystąpieniom i egzaltacjom. I tylko Żaneta stała sama na tyłach, niebrana ani pod uwagę, ani w ramiona. Spojrzałam na nią przelotnie i przez chwilę zrobiło mi się jej nawet żal. Przez moment nasze oczy się spotkały i dostrzegłam w nich autentyczny smutek. Nie złość, nie obrazę majestatu, ale smutek właśnie. I uwierzyłam, że ona nie ukradła naszyjnika w zwyczajnym, złodziejskim zamiarze. Owszem, uknuła jakiś wredny spisek, ale sama się na nim przejechała. Bo naszyjnik, jakimś cudem naprawdę wziął i przepadł...

- A pani? Nie pogratuluje nam? - spytałam, podchodząc do niej.

- Ja... Ja również gratuluję ci Luizo, z całego serca! - Poglądziła mnie ostrożnie po policzku, odwróciła się i wyszła.

- To co? Może po pucharku? - Tatuś zatarł ręce, puszczając oko do Izydora.

- Daruj Henry, ale dziś nie! - Izydor stanął mu niespodziewanie okoniem. - Dziś idziemy grzecznie spać. Bo jutro to ja znów będę miał wam coś do zako... muko... Powiedzenia. I być może puchary pić będziemy, ale wtenczas to już jednego po drugim.

- Coś się stało? - Tatuś spojrzał na niego zaintrygowany. - Ale co?

- To już jutro, jako się rzekło. - Izydor poklepał go po plecach. - Słuchałem ja was, to i wy mnie posłuchacie. Amando! - wywołał spośród żwawo poszeptującej w kącie grupki. - Oporządź temu oto mojemu synu Michału komnatę jaką. Ja zmęczony jestem i do siebie pójdę. A wy, jak chcecie, bawcie się, bo miły powód jest ku temu!

•

- Tymczasem, póki nie masz swojej „komnaty”, bracie, zapraszam do siebie. Was oboje. - Antek rozłożył szeroko ramiona na znak gościnności.

- No, nie wiem... - Michał przyciągnął mnie do siebie i objął. - Bo istnieje ryzyko, że będziemy zachowywać się trochę nieprzyzwoicie... Nie zgorszy się ksiądz, proszę księdza?

- Czułe gesty wynikające z prawdziwej miłości nie sięgą zgorszenia - odparł Antek z uśmiechem. - Przeciwnie: radują oko moje!

- A więc chodźmy i pozwólmy mu je radować do woli. - Michał podał mi ramię.

Po raz pierwszy widziałam ich razem. Byli do siebie tak bardzo niepodobni, że w życiu bym na to nie wpadła, że są braćmi. Antek był jak skóra zdjęta z ojca, Michał natomiast... pewnie z matki. Pomyślałam, że kiedyś go o to zapytam, ale nie dziś jeszcze.

- No, krętacze, łobuzy, a teraz gadać mi tu jak na spowiedzi o wszystkich waszych matactwach i spiskach przeciw mojej osobie! - zażądałam, siadając razem z Michałem w jednym fotelu.

- Jakich spiskach? - zdziwili się niemal jednocześnie.

- Łaziłeś już przecież za mną na tej zapadłej wsi. - Wycelowałam palcem w Michała. - A ty doskonale wiedziałeś, że ten gość to nikt inny, tylko Straszny Mafiozo! - Przyszła kolej na Antka.

- Ale skąd! - zaperzył się Antek. - To skojarzyłem znacznie później. Kiedy ten Straszny był już w tobie zadurzony po uszy!

- On żartuje, prawda? - zwróciłam się do Michała.

- Niestety, nie. - Westchnął dramatycznie. - I wcale za tobą nie łąziłem! Przyjechałem po prostu do brata. Czy to moja wina, że akurat tam mi cię przyniesiono jak na tacy? A on gadał o tobie bez przerwy i bez wytchnienia, aż wszczepił mi cię między szare komórki.

- Ale tak... zaocznie? - Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Nie, naocznie. Bo któregoś razu zażyczyłem sobie, żeby mi cię pokazał. I pokazał...

- Podglądaliście mnie, świntuchy?!

- Już tam, podglądali. Pozwoliłem mu raptem parę razy rzucić na ciebie okiem. - Antek mrugnął do Michała.

- No to pięknie! Książd i takie rzeczy... - prychnęłam z udanym oburzeniem.

- A propos... Nie ma wielebny przypadkiem jakiegoś mszalnego przy sobie? - zapytał Michał.

- Mszalnego nie, bluźnierco. Ale mam... normalne! - Sięgnął do szafki i wyjął z niej butelkę czerwonego wina. - Ja nie piję, jak wiecie - zastrzegł. - Ale jako dobry gospodarz zawsze posiadam taki egzemplarz na wzniosłe okazje.

- A mogę wiedzieć, w jakim celu chciałeś mnie porwać? - Spojrzałam groźnie w stronę Michała, kiedy Antek rozlał już napój do kieliszków.

- Już ci kiedyś mówiłem. Żeby cię uratować. W końcu narażałaś się dla mnie. To znaczy dla kasy, którą był mi winien twój tatuś. Gdyby mi się to wówczas udało, wszystko bym ci wyjaśnił. I machnął ręką na te pieniądze.

- O mamó... - jęknęłam. - Naprawdę?

- Naprawdę. A w zamian za to co dostałem? Pustakiem w łeb!

- Nie pustakiem, tylko plecakiem gimnazjalisty z programową wartością - wyjaśniłam.

- Ho, ho! - zaśmiał się Michał. - W roli gimnazjalistki byłaś najlepsza. Zaimponowałaś mi nawet bardziej niż wtedy, gdy zwinęłaś porywaczom cały łup.

- Rany boskie, facet, czy ty mnie tak szczegółowo śledziłeś? Krok w krok?

- Nie zawsze się dało, ale wtedy Antek uzupełniał luki w mej wiedzy.

- Okej. Trudno. Ale powiedzcie mi jeszcze, co kombinowaliście z tym Zamkiem Zombich, bo nie rozumiem? Coś wam chyba nie wyszło, tak?

- Eeee... - Antek poczochnął się po głowie. - Ale obiecuj, że się nie obrazisz!

- Obiecuję. A potem się zobaczy...

- Bo on mi powiedział, że jesteś przesądna i łatwo dajesz wiarę różnym takim... niezmiernym historiom. - Michał wskazał oczami na Antka. - Więc sobie umyśliliśmy, że kiedy uwierzysz, że jestem ci przeznaczony, spojrzysz na mnie przychylniej... I stworzyliśmy na twój użytek taką właśnie historię.

- Aha. I zapodaliście mi ją przy pomocy Amandy?

- No. W końcu jest miejscowa, to powinna znać najlepiej tutejsze zabobony.

- Ale miałaś jej nie macać, bubku! - Skrytykował brata Antek. - Przecież zjawy są bezcielesne.

- Nie macałem jej! - zaperzył się Michał. - Potknąłem się zwyczajnie i złapałem się niechcący Luizy, bo była akurat pod ręką.

- Brak mi słów - jęknęłam. - Doprawdy! Żeby tak zaszczyć, tak omać biedną dziewczynę!

- Tylko że ta biedna dziewczyna dzięki moim fortelom będzie bardzo bogata - skomentował moją wypowiedź Antek.

- Wiesz co? Ja to teraz... chromolę! - Uniosłam się zdopingowana nieco czerwonym trunkiem. - Eee.. sorki. Chciałam powiedzieć, nie za-
leży mi! I ostatecznie przecież na forszę nie poleciałam...

- Tylko na mnie - dorzucił Michał, mrugając do Antka.

- A... co ze ślubem? Pobierzecie się w Boże Narodzenie, tak jak za-
planował ojciec? - spytał Antek.

- Ja myślę... Ja myślę, że... - Michał zapatrzył się gdzieś w dal, ba-
wiąc się kosmykiem moich włosów - o ile oczywiście moja dziewczyna
się zgodzi, zaczekamy na ciebie.

- Chcesz, żeby Antek dał nam ślub? Jasne! - Ucieszyłam się nie-
zmiernie. - No pewnie, że tak! I nie ma innej opcji!

- O ile wytrzymacie do maja - rzekł Antek z powątpiewaniem.

- Z czym? - Zdziwiłam się głupio, na co Antek chrząknął znacząco,
piorunując wzrokiem Michała.

- Już ty się nie martw, czym nie musisz - roześmiał się Michał. - Ale
żebyś mógł spać spokojnie, jedno mogę ci obiecać na pewno: do spo-
wiedzi do ciebie nie pójdziemy!

- Dzięki, bracie. - Antek wstał i solidnie trzasnął go w bary. - Wielko-
duszość twoja jest porażająca. A teraz idź i poszukaj swojej „komna-
ty”. Ale nie zabłądź po drodze!

Wyszłam z pokoju Antka na lekko chwiejnych nogach, ale to raczej
z nadmiaru wrażeń niż z czego innego. W końcu dwie lampki wina nie
mogły mi zaszkodzić. Michał za to trzymał mnie znacznie mocniej, niż
potrzeba. Jego pokój był na tym samym piętrze, w drugim końcu kory-
tarza.

- Chcesz zobaczyć, jak mnie Amanda „urządziła”? - spytał z uśmie-
chem.

- Chcę - odparłam, a potem wszystko potoczyło się jak w moim śnie.

Michał wziął mnie na ręce, przeniósł przez próg i postawił na mięk-
kim, puszystym dywanie. Delikatnie dotykał mojej twarzy, szyi, dekoltu,
muskając ustami wszystkie te miejsca w ślad za dotykiem dłoni. Za-
mknęłam oczy.

- Kocham cię - szepnął mi do ucha.

- Ja... - Chciałam mu powiedzieć, że ja też, ale głos uwiązł mi w gar-
dle

Czułam, że roztapiam się jak wosk w jego ramionach, niknę, wchłaniam się w niego... A kiedy mnie pocałował, mocno i zachłannie, straciłam oddech, rozum i ziemię pod stopami...

- Nie! - Powstrzymałam go gwałtownie, gdy zaczął rozsuwać mi zamki u sukienki. - Nie...

Michał odsunął się i spojrzał mi w oczy.

- Jeszcze nie teraz!

- Dobrze, kochanie. - Pogładził mnie po włosach. - Poczekamy.

•

Rano pierwszym wspomnieniem łączącym mnie z rzeczywistością były ostatnie chwile spędzone wczoraj z Michałem, dające przedsmak tego szczęścia, które już niedługo stanie się moim udziałem. Raptem parę godzin temu omal nie straciłam głowy... ale jednak nie straciłam. Nie wiem, co on sobie wówczas pomyślał. Być może sądził, że wzięłam sobie do serca morały Antka? A ja po prostu nie chciałam, żeby to tak się odbyło. Z marszu, bez tego dreszczyku oczekiwania, w jego kawalerskim pokoju... Najważniejsze, że zrozumiał. Nie nalegał i to mi się podobało...

Właśnie miałam się przeciągnąć rozkosznie i przewrócić na drugi bok, kiedy do pokoju cicho wsunęła się Amanda.

- Dzień dobry! Już pani nie śpi! - wykrzyknęła radośnie.

- Nie śpię - potwierdziłam słownie ten ewidentny fakt.

- Tak się cieszę! Tak się cieszę, proszę pani! - Przysiadła na brzegu mojego łóżka. - Że to się wszystko tak pięknie ułożyło!

- Ja też się cieszę, Amandziu. - Objęłam ją ramieniem. - A co tam w pałacu słychać?

- Pan Izydor gdzieś wyszedł z samego rana. Pan Michał wziął terenówkę i pojechał do zamku po swoje rzeczy. Pan Antek się pakuje i wyjeżdża do Warszawy. A... pani tata z Żanetą kłócą się w salonie. I wie pani co???

- No?

- Ona... płacze!

- Naprawdę? - Poderwałam się z łóżka.

- Naprawdę!

- W takim razie muszę się prędko ruszyć i zobaczyć to na własne oczy.

- Niech się pani pospieszy, bo ja nie wiem, czy ona długo tak potrafi.

- Co?

- No, płakać, skoro nieprzyzwyczajona.

- Oj, Amando, Amando! - Roześmiałam się ubawiona. - Ale dobrze, pospieszę się.

Ogarnęłam wzrokiem panujący w pokoju bałagan, podniosłam leżącą na podłodze sukienkę, a trampki kopnęłam pod krzesło.

- Ależ się pani wczoraj wystroiła - prychnęła Amanda i wyjąwszy mi z dłoni suknię, wpełzła pod krzesło w poszukiwaniu trampek.

- Nieładnie? - krzyknęłam już z łazienki.

- Przecież nic nie mówię... Kawę podam pani do salonu - wrzasnęła przez drzwi.

- Okej!!! - odwrzasnęłam, przekrzykując strumień wody.

Gdy zesłam na dół, tatuś krążył nerwowo po salonie, a Żaneta siedziała w fotelu i chlipała w chusteczkę.

- Przepraszam - bąknęła na mój widok nosowo i wyszła.

- Co jej zrobiłeś? - spytałam.

- Nic! Sama sobie zrobiła! - warknął tatuś i również wyszedł.

Scena, która przed chwilą rozegrała się na moich oczach, trochę zachwiała mój doskonały nastrój. Przeszłam się po salonie, zaglądając w każde okno po kolei. Na trawie leżał pierwszy szron, a poza tym nic kompletnie się nie działo. Byłam sama. Wszyscy dokądś sobie poszli, Antek wyjechał bez pożegnania... Po chwili namysłu postanowiłam jednak dowiedzieć się, co było przyczyną sprzeczki tatusia i Żanety. Mimo najszczerzych chęci jakoś nie umiałam przejść nad tym do porządku...

Przystanąłam pod drzwiami pokoju Żanety i przyłożyłam do nich ucho. Nie usłyszałam niczego. Zapukałam raz, potem drugi, a potem nacisnęłam klamkę i weszłam. Żaneta siedziała przed toaletką, na jej twarzy nie było już śladów łez.

- Co się stało? - spytałam dość bezpośrednio. - Mój tatuś zrobił pani jakąś przykrość?

- On? - Żaneta odwróciła się wolno w moją stronę. - Nie, skądże!

- Więc kto? - Dociekałam nachalnie.

Spodziewałam się, że odpowie, iż to nie moja sprawa. Albo że wyrzuci mnie bez słowa za drzwi.

- Izydor - odpowiedziała, wbrew moim przewidywaniom. - Nazwał mnie wiarołomną kobietą, trzasnął drzwiami i poszedł z domu. Chodzi mu o ten naszyjnik - westchnęła. - Wiem, że to, co zrobiłam, nie było zbyt mądre, ale on naprawdę zniknął! I nie mam pojęcia, jak go o tym przekonać.

- Ale jak to: zniknął? Skąd? Bo wyjęła go pani z jakiegoś sejfu? - Przypomniałam sobie, co mówiła na ten temat wczoraj.

- Tak - przyznała niechętnie. - Wyjęłam i schowałam w... innym miejscu.

- Dobrze pani schowała?

- Bardzo dobrze! Tak dobrze, że nikt nie miał prawa go znaleźć!

Spojrzałam na nią uważnie, zastanawiając się, cóż to mogło być za doskonale miejsce.

- Gdzie go pani ukryła?

Żaneta zmarszczyła brwi i milczała przez chwilę.

- Zaszyłam w poduszce - odparła po chwili.

- W poduszce??? Więc może ktoś po prostu zabrał ją do prania? Jakaś służba, czy... coś takiego.

- Ależ nikt nie mógł tego zrobić. - Pokręciła przecząco głową. - To nie była zwykła poduszka do spania, tylko taki mały, haftowany jasieczek, stary i cenny. Wisiał w oszklonej gablocie w jednym z pokoi.

- Zamykanej na klucz?

- Nie! Po co? Ona nie była zamknięta przed złodziejami, tylko żeby się nie kurzyła i nie niszczała. A poza tym cała służba wiedziała, że starocie i pamiątki rodzinne czyszczyć sama i nie wolno im ich dotykać.

- Była aż tak cenna? - Zdziwiłam się, ponieważ po raz pierwszy w życiu słyszałam, żeby ktoś zamykał poduszki w gablotach.

- No, może nie materialnie - zawahała się Żaneta. - Ale emocjonalnie. Wyhaftowała ją moja babcia. Tylko tyle zostało mi z domu rodzinnego...

Nagle coś zaczęło świtać mi w łepetynie. Zdawało mi się, że Antek miał jakąś taką dziwną wywłokę w swoim pokoju. Tę samą, którą miał wcześniej na wsi...

- Chwila! - Poderwałam się na równe nogi.

Pobiegłam do pokoju Antka, ale był zamknięty na klucz. A kiedy udało mi się wreszcie namówić Amandę, by otworzyła drzwi zapasowym kluczem i pozwoliła mi przekopać jego pościel, okazało się, że poduszki nie ma... Pomyślałam, że pewnie musiał wziąć ją z sobą. Pobiegłam do siebie po komórkę i wybrałam jego numer.

- Luiza? - spytał zdumiony, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Pewnie mu się wyświetliłam na ekranie.

- Tak, to ja. Słuchaj, czy ty masz z sobą poduszkę?

- Co... mam? - Zdziwił się jeszcze bardziej i umilkł.

- No, poduszkę. Takiego cudaczego jaśka, którego miałeś jeszcze na wsi.

- A, to... Mam, a o co chodzi?

- Daleko jesteś?

- Jakieś... dwanaście kilometrów od Bogusława. Ale co się stało? O co chodzi? - Niepokoił się coraz bardziej.

- Musisz wracać! Wsiądź na najbliższym przystanku, ja posyłam po ciebie Kazimierza. Potem odwiezie cię na miejsce. To sprawa ewentualnego noża na gardle! - dodałam zachęcająco.

- Ale... Luizo...

- Nie powiem ci teraz, w czym rzecz, bo nie mogę - przerwałam mu zdecydowanie. - Ale uwierz, że to bardzo ważne! Wsiadasz, czy nie?

- Wsiadam - mruknął i się rozłączył.

Nie chciałam mu mówić o swoich przypuszczeniach, ponieważ miałam pewne wątpliwości. Żaneta opisywała bowiem tę poduszkę jako cud rękodzieła, mnie natomiast jawiła się jako okrągły, pstrokaty gałgan bez cienia urody. Wolałam więc najpierw zbadać rzecz własnoręcznie i pokątnie. Przyszło mi na myśl, że Żaneta siedzi teraz u siebie lekko osłupiała, ale machnęłam na to ręką. Poleciałam do Kazimierza i z grubsza nakreśliłam mu problem. Właśnie wracałam do Żanety, kiedy natknęłam się na wracającego skądś Izydora.

- O! Dobrze cię widzieć, moja droga - oznajmił z powagą. - Jako wczoraj rzekłem, dziś ja mam coś do obwieszczenia. Chciałbym zaprosić was wszystkich do paradnej sali.

Zawróciłam więc w miejscu i poszłam, gdzie mi kazano. Po chwili dołączył do mnie tatuś, potem przyszła Żaneta, łypiąc na mnie niespokojnym wzrokiem. Na końcu wszedł Izydor, spojrzął na zebranych i usiadł.

- Gdzie reszta? - spytał.

- Pan Michał zaraz będzie - zameldowała Amanda, która najprawdopodobniej robiła za gońca - a pan Antek wyjechał i nie będzie.

Izydor w pierwszym odruchu zmarszczył brew, ale po chwili rozpuścił oblicze, nawet z pewnym odcieniem ulgi.

- No cóż - rzekł. - Ten mój syn poświęcony sprawom wyższym jest, więc mu ziemskimi rzeczami mącić w głowie niełacno!

- Co? - spytał tatuś, trącając mnie łokciem.

- Psinco! - odparłam wyniośle. - Siedź i słuchaj, to się dowiesz!

Ojciec spojrział na mnie z wyrzutem, ale umilkł i przestał się wiercić. Wszedł Michał. Widać nie zdążył się przebrać, gdyż wparował na salony w swoim odwiecznym, skórzanym płaszczu i w glanach.

- Co... co... cooo???? - wyjąkał na jego widok tatuś, zacinając się jak stara płyta.

- Siedźże cicho! - warknęłam pod nosem. - To przecież twój przyszły zięć. Nie poznajesz?

- Ale... eee...

Michał uśmiechnął się pod nosem, rzucił płaszcz na oparcie krzesła i pocałował mnie na dzień dobry.

- Witam wszystkich pięknie - przywitał się dość ogólnie z całą resztą.

- Siadaj, synu. - Izydor wskazał mu krzesło. - A z tobą co, Henry? - zwrócił się do tatusia. - Przelyk ci się zatknął? Wody chcesz?

- Nie, dziękuję - odparł grzecznie tatuś, gapiąc się spode łba na Michała.

- No więc i ja witam was wszystkich - zaczął Izydor uroczyście. - I też mam coś do wyrażenia. Miałem czekać do wieczoru, ale postanowiłem kuć w metalu, póki gorący... Otóż, tutejsza żona moja, Żanet - wycelował w nią palcem - zrobiła rzecz straszną. Niegodziwą! Uknęła konflikt przeciw synowi mojemu Michału, co zaowocował on zerwaniem rodzinnych węzłów. Rzecz to haniebna i niewybaczalna! - Grzmiał w stronę białej jak kreda kobiety. - Dlatego nie będę dłużej owijał w kądziel i powiem: Żanet! Nasze drogi rozejść się muszą! Jutro wołam adwokata i wznoszę rozwód!

Żaneta patrzyła na niego w milczeniu szeroko otwartymi oczami.

- Ale to nie tak! Izydorze! To się... samo stało! - wydusiła z siebie wreszcie. - Chcesz się ze mną rozejść przez takie głupstwo? Po tylu latach?

- Jak to jest dla ciebie głupstwo, to ja powiem niegłupstwo teraz tobie. Usiądź sobie bardziej, żeby cię nie zemdliło i słuchaj: zakochałem się w innej kobiecie! Ot, co!

Odetchnęłam z ulgą. Bo już myślałam, że Izydor wykorzysta teraz aferę z naszyjnikami i potraktuje ją jako pretekst do uwolnienia się od Żanety. Ale jednak powiedział prawdę...

- Zakochałem się! - powtórzył dobitnie, a wszystkie oczy, mniej lub bardziej wybałuszone ze zdumienia, zwróciły się ku niemu.

- Co takiego? Zakochałeś się? - Żaneta wstała z krzesła, nagle odzyskując dawny rezon. - I ty masz czelność zarzucać mi nieuczciwość? Podczas gdy za moimi plecami gziłeś się z jakąś... dzierlatką?

- Licz swoje słowa! - Izydor spiorunował ją wzrokiem. - Bo ty co robiłaś za moimi plecyma? A może nawet całkiem przed?

Żaneta zmieszana się na moment, ale nie dała za wygraną.

- Co takiego robiłam? No, proszę! Powiedz! - zażądała.

- Czy widzą oczy twoje tego tu... Hendryka? - Izydor wskazał na tatusia.

Żaneta podążyła wzrokiem za jego dłonią i zarumieniła się nieznacznie.

- A widzisz! - Triumfował Izydor. - Czerwoność cię ogarnęła! Ja nie jestem ślepy, moja miła. Widziałem wasze uściski i cmoknięcia. I wiem, że kontaktowałaś się z nim fizycznie, niejedną raz, pod tą strzechą ojczyzną!

- To nieprawda! - jęknęła Żaneta. - Henryku, powiedz coś!

- Ale kiedy to prawda - oznajmił tatuś ze spokojem, a nawet z pewnym zadowoleniem.

- Nie wiem, co Izydor mu za to obiecał, ale gra najwyraźniej była warta świeczki. Jego nieszczęsna żona pod ostrzałem takich oskarżeń padła na fotel.

- Nie dam ci rozwodu - wysapała. - Po moim trupie!

- To ja ci zrobię szlaban na szastanie moimi pieniędzami - odparował Izydor.

- Nie szkodzi. Mam swoje. Nie zapominaj, że mam udziały we wszystkich twoich amerykańskich interesach!
- Jakie udziały?! - wyrwał się tatuś.
- Spore - odparła Żaneta bezwiednie. - Wystarczy mi spokojnie na wszystkie zachcianki. Do końca życia. A utrzymanie i dach nad głową musisz mi zapewnić, Izydorze!
- Mogę coś powiedzieć? - Tatuś, jak grzeczny uczeń wznosił w górę dwa palce.
- Mów, Hendryczku - zgodził się Izydor.
- Więc ja... Chciałbym oznajmić wszystkim tu zgromadzonym, że ona żadnego rozwodu dawać ci nie musi.
- Co takiego? - Izydor spojrzał na niego niechętnie. - Jakże nie musi, gdy musi właśnie?
- Nie musi! Formalnie wcale nie jest twoją żoną, przyjacielu. Ponieważ... ona jest moją żoną!
- Tato! Co ty bredzisz! - rzuciłam się ku niemu... - Oszalałeś???
- Nie, nie oszalałem - odparł, unosząc na siłę Żanetę z krzesła i prezentując otoczeniu. - To jest moja Jaśka, Korlacka po mężu, z domu Wewiórko. Z Łoświn koło Strzemielna. Jednym słowem: hrabianka z Koziej Wólki! I twoja matka!
- Cały świat zawirował mi przed oczami. Michał przysunął się do mnie i objął ramieniem. Przecież... to nie mogła być moja matka! - ta jedna, rozpaczliwa myśl szalała w mojej głowie. Moja mama zmarła, kiedy miałam półtora roku!
- Jakże to? Jakże to... tak? - bąknął zdezorientowany Izydor. - Co ty do mnie mówisz, Henry?
- Tak właśnie! Uciekła ode mnie, zostawiła z tym oto maleńkim dzieckiem. - Tatuś skinął ręką w moją stronę. - Na zarobek do Ameryki pojechała! Żeby nam było lżej, bo czasy były trudne. I przepadła na amen! Ale ja ją poznałem. Na pierwszy rzut oka.
- To prawda? - spytał Izydor, patrząc na Żanetę.
- Prawda! - odpowiedział za nią tatuś.
- Więc czemu ty mi nie mówiłeś o tym Henry przed czasem?
- Milczałem ze względu na dziecko! Jak jej to miałem wytłumaczyć? Dawno temu powiedziałem córce, że jej matka umarła. Żeby nie czuła

się porzucona... A tu nagle, masz! Szast-prast i zjawia się, żywa, cała i zadowolona! Mało tego, hrabina całym pyskiem!

- Dlaczego w takim razie nie milczysz nadal? Obiecałeś przecież! Przysiągłeś! - Żaneta rzuciła się na tatusia z pretensjami.

- Czemu? - Ojciec jakby trochę się zmieszał. - Żeby... skończyć twoje łgarstwa raz na zawsze!

Wtuliłam się z całych sił w Michała i rozryczałam na całego, jak mała dziewczynka. Bo nie mogło tak być... Nic podobnego nie mogło się przecież wydarzyć! To była jakaś totalna bzdura albo zły sen! Jeszcze wczoraj świat był taki piękny, a dziś? Miał mi runąć na głowę? Dlaczego? Za co? Łkałam coraz głośniej, nie mogąc się opanować.

- Patrz, co narobiłeś! - krzyknęła Żaneta, wrywając się ojc.

Pobiegła w moją stronę, ale zatrzymała się w pół drogi. Spojrzała na mnie niepewnie, potem obejrzała się za siebie i została tak na środku. W tym momencie wkroczył do „paradnej” Antek, wywijając pstrokatym jaśkiem.

- O co chodzi z tą... tą poduszką... - zaczął rażno i skończył zgoła bez przekonania.

Z pewnością nasz widok go zaskoczył. Każdy bowiem na swój sposób wyrażał rozgrywający się tu dramat. Wysunęłam się wolno z objęć Michała, podeszłam do Antka i wyjęłam mu z ręki poduszkę.

- To ta? - spytałam, podając ją Żanecie.

Kobieta bez słowa złapała jasiek, położyła na stole i dźgnęła go nożem. W „paradnej” nastąpiła martwa cisza. Wszystkie oczy wgapiały się w wojującą z pierzem Żanetę, podczas gdy ta z zaciętą miną wrywała je garściami i rozsypywała dookoła. Wreszcie rzuciła przed siebie pustą, zmaltretowaną poszewkę, dmuchnęła kilka razy w dłoń i podeszła do Izydora.

- Proszę, masz! Udław się! - Wcisnęła mu coś w rękę. - I ty też masz. - Zamachnęła się i trzasnęła tatusia w gębę z taką siłą, że ten zatonął się i usiadł.

Izydor pochylił się nad stołem i delikatnie ułożył na nim... połyskujący jak bożonarodzeniowa choinka... przepiękny, misterny naszyjnik!

- Skąd? - spytał krótko.

- Boże, on był wewnątrz? - Michał podbiegł do stołu. - Więc ja naprawdę go ukradłem?!

- Jak to? Więc ukradłeś jego, synu? - zniesmaczył się Izydor.

- Zabrałem tę poduszkę. Mieliśmy właśnie wracać do Polski, kiedy Antek źle się poczuł. Tuż przed wyjazdem na lotnisko rozboleł go żołądek, miał zawroty głowy i nudności. Nie było już czasu na solidniejszą kurację, więc wróciłem prędko do domu po jakieś proszki i coś pod głowę. Chciałem, żeby zdrzemnął się trochę w taksówce...

- Nie mogłeś wziąć jakiejś innej, normalnej poduszki? - spytałam.

- Czy ja wiem? - Michał spojrział na mnie jakby zaskoczony nagłym odkryciem. - Ta była pod ręką...

- A ja tyle czasu spałem na złocie! - jęknął Antek ze zgrozą.

- Właśnie, potwierdził Michał. - A nie ślubowałaś czasem ubóstwa?

•

XIII. Marta

- Może ona nie chciała się przyznać, ale zamierzała pani matkować z ukrycia? - spytała Amanda, której towarzyszyłam dziś od samego rana w kuchni.

- Tak sądzisz? - spytałam z powątpiewaniem.

- No bo przecież... sama się pani dziwiła, że nagle zrobiła się taka troskliwa, nie?

- Może... Ja nie wiem. A może po prostu, kiedy dowiedziała się, że jestem jej córką, nie wypadało jej nadal się nade mną pastwić.

- Nie wypadało - potwierdziła Amanda. - Ale to jedno, a że rozumu z tego szoku nabrać mogła i macierzyńskiego instynktu, to drugie. Gdybym ja zobaczyła, że mi tak pięknie dziecko wyrosło, też bym nabrała.

- Nie wiem. Nie wiem... - szepnęłam i podparłam oburącz pulsujące skronie.

Amanda krzątała się przy swojej robocie, a ja siedziałam nad filiżanką kawy. Od czasu do czasu komentowałyśmy wczorajsze wydarzenia, które zrelacjonowałam jej szczegółowo. Reszta wczorajszego dnia jakoś umknęła mi z życiorysu. Być może mój umysł nie chciał przyswoić tych dziwnych i strasznych rzeczy... Pamiętałam wszystko dokładnie do ponownego wyjazdu Antka. A potem? Gdzieś chodziłam, z kimś rozmawiałam, ale gdzie, co i jak, nie wiem! Jak przez mgłę kojarzę, że tatuś z Izydorem długo wyjaśniali sobie te zawiłe historie, a później, wieczorem, bratali się już przy pucharkach z winem. Potem przyszedł do mnie Michał... Tak, od tego momentu wszystko było już czytelne. Spędziliśmy razem calutką noc przed telewizorem, oglądając, co leciało. I rozmawiając. On opowiadał mi o sobie, ja jemu o sobie. Chciał chyba rozproszyc moje ponure myśli i odwieść mnie od nich jak najdalej... A potem przekonywał, że zaraz stworzę swoją własną, nową rodzinę i to jest najważniejsze. Że powinnam na tym się skupić, odciąć od przeszłości, ale z rodzicami utrzymywać poprawne stosunki. Tak z ojcem, jak i z matką.

- Pani Luizo. - Amanda wpadła w tok moich rozmyślań. - Jak pani uważa, co pan Izydor z nią zrobi?

- Z Żanetą?

- No. Bo skoro ona nie jest jego żoną, to co? Ożeni się pewnie z panią Martą, a tą... na bruk?

- E, na pewno nie! Izydor nie jest taki. A poza tym ona ma jakiś tam swój kapitał i do bruku jej daleko. Myślę, że sama zdecyduje o sobie.

- Łyso jej pewnie teraz. Ale to Pan Bóg pokarał ją za pychę i nieszanowanie ludzi!

- Ja nie wiem, czy Pan Bóg się do tego mieszał - odparłam bez przekonania. - Bo mnie się zdaje, że jak ktoś sobie sam tak w życiu namota, to konsekwencje są nieuniknione. Ale naturalne, ziemskie, wynikające bezpośrednio z tego, co namotał.

- No ale co dalej? - drążyła Amanda.

- Nie wiem... To takie... skomplikowane! Najchętniej przesiedziałabym tu u ciebie do czasu, aż wszystko się rozplącze i nie pokazywała się nikomu na oczy!

- Ale tak się nie da - podsumowała rzeczowo Amanda.

- Jak nie? A ty? I twoje sprawy z Gołębiem i Gołębiową? Jakoś ci się same rozeszły po kościach.

- Akurat... - mruknęła Amanda pośepnie. - Fakt, że teraz już jest spokój, ale do tego trzeba było czasu. Pewnych rzeczy nie da się przesiedzieć za piecem, mówię pani. Bo kiedyś człowiek w końcu wylezie, a wtedy to, co się przez ten czas gromadziło, i tak runie mu na łeb. Z jeszcze większym hukiem! Ja to wiem!

- Ale przecież... Gołębiowa potraktowała cię bardzo ulgowo?

- Tak. Ulgowo natrzaskała mi po pysku. Bo tylko raz. Owszem, szybko jej przeszło, ale reszta wsi nie była już taka spolegliwa. Dlatego powtarzam: po kościach nic się nie rozejdzie. Chyba że reumatyzm.

- Dobra. - Podniosłam się z krzesła. - To idę.

- Ale ja pani nie wyganiam, proszę sobie siedzieć! - rzuciła Amanda prędko.

- Nie. Masz rację, kiedyś trzeba się przecież ruszyć i wyjść na świat.

Przemykałam do siebie chyłkiem, na paluszkach. Miałam zamiar ubrać się jak człowiek, uczesać i zrobić makijaż. Żeby przynajmniej z wierzchu wszystko było normalnie. Przed drzwiami odetchnęłam

z ulgą i nacisnęłam na klamkę. I... w pierwszym odruchu chciałam krzyknąć, ale jakoś się opanowałam. W moim pokoju ktoś był! Wyglądał jak wielka, biała zjawa...

- Witam - powiedziała Żaneta, wyplątując się z franki. - Myślałam, że gdzieś wyszłaś i wyglądam tutaj na ciebie.

- Nie, nie wyszłam. Jestem - odparłam głupio.

Spotkanie z Żanetą było właśnie tym, czego najbardziej próbowałam uniknąć, czając się na schodach. Teraz uświadomiłam to sobie w całej rozciągłości.

- Pewnie niechętnie mnie widzisz. - Żaneta jakby czytała w moich myślach. - Mnie też nie jest łatwo, ale to nieuniknione. I im szybciej stawimy temu czoło, tym lepiej. Usiądź więc, porozmawiamy.

Usiadłam. Żaneta zajęła miejsce naprzeciw mnie.

- Nie przyszłam prosić cię o wybaczenie - uprzedziła moje obawy. - Bo wiem, że... to, co ci zrobiłam, jest niewybaczalne. Gdybyś mnie jednak spytała, czy mi na tym zależy, powiedziałabym, że jak na niczym innym w świecie... Nie przyszłam też, żeby się tłumaczyć ani próbować ci cokolwiek wyjaśnić. Bo tego nie da się niczym wytłumaczyć. Jedyne, co mogę ci powiedzieć, to... - na chwilę załamał jej się głos - to... że kiedy dowiedziałam się, kim jesteś, coś we mnie pękło. W pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam, poczułam do ciebie ogromną niechęć. Bo wyglądałaś jak ja sama w twoim wieku. Byłaś moją wierną kopią, a tego kobieta kobiecie nie może puścić płazem... Ale kiedy zrozumiałam dlaczego, wszystko zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Ja... nie umiem tego wyrazić słowami!

Wpatrywałam się w Żanetę, próbując sobie uzmysłwić, że oto naprzeciw mnie siedzi moja matka. Ta zawsze najlepsza i najpiękniejsza. Ta, którą zmyśliłam sobie, będąc w przedszkolu i tak agresywnie upierałam się przy różnych niestworzonych historiach, że w końcu wezwano mojego tatusia... I której nie było na mojej pierwszej komunii, na żadnych moich urodzinach ani przy innej ważnej okazji. W ogóle nie było...

- Pewnych rzeczy nie da się, proszę pani, przesiedzieć za piecem - użyłam filozofii Amandy. - Bo kiedy człowiek w końcu wylezie i tak wszystko runie mu na łeb. A im później, z tym większym hukiem.

- Tak! - Poparła mnie z zapalem. - Tak dokładnie się poczułam! Bo do tej pory byłaś dla mnie jedynie wspomnieniem, postacią z czarno-

białej fotografii... - westchnęła. - Dlatego, jak widzisz, nie zamierzam stawiać cię w niezręcznej sytuacji. O nic cię nie pytam i o nic nie proszę. A teraz pójdę się spakować. Chciałbym wyjechać, najdalej jutro.

- Wyjeżdża pani? - spytałam zaskoczona. Tego akurat się nie spodziewałam.

- Tak. Najpierw do Stanów, mam tam parę spraw do załatwienia. Potem chciałabym wrócić, już na stałe. Sama nie wiem... Mam ciotkę koło Białegostoku i kto wie? Może kupię tam jakiś dom?

- To jest pani ciotka? Ta, u której pomieszkiwał Antek???

- Tak... On lubi takie wieśniacze klimaty. Kiedyś posłałam jej przez niego jakąś paczkę i tak mu się spodobało, że zaczął spędzać tam każdą swoją wolną chwilę. Dlaczego pytasz? Opowiadał ci o niej?

- Owszem - skłamałam połowicznie.

- Jemu też jestem winna przeprosiny - westchnęła, wstając z fotela. - Niesłusznie go podejrzewałam, ale kto by pomyślał, że on chce zostać księdzem? W życiu coś podobnego nie przysłoby mi do głowy.

- Bo pani w ogóle myśli źle o ludziach, źle ich ocenia i traktuje! - wyrzuciłam z siebie jednym tchem. - Może dlatego, że w pierwszym rzędzie myśli pani źle o sobie.

Żaneta spojrzała na mnie z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

- Może - przyznała. - Ale już nie da się tego cofnąć ani niczego zmienić.

- Cofnąć raczej nie... - Uśmiechnęłam się z przekorą.

Kobieta zatrzymała się w pół drogi do drzwi. Odwróciła się w moją stronę i przez chwilę patrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

•

Michał omal nie zderzył się z Żanetą w drzwiach. Obrzucił ją badawczym spojrzeniem, a następnie popatrzył pytająco na mnie.

- Jakaś kolejna afera? - zapytał po jej wyjściu.

- Nie. Nie bardzo. Tylko mi nie mów, że ty przynosisz nowe sensacje?

- Bo ja wiem? - Michał wzruszył ramionami i usiadł w fotelu, sadzając mnie sobie na kolanach. - Ojciec postanowił przedstawić nam wybrankę swojego serca. O ile to jest sensacja.

- Na tle dotychczasowych wydarzeń dość lajtowa - odparłam z ulgą.

- A ona czego chciała? - Skinął brodą w stronę drzwi.

- Niczego właściwie. Takie tam...

- Aha. Jak się czujesz? Szukałem cię, ale podobno zabarykadowałaś się w kuchni.

- Jakoś się czuję. A rano poszłam na kawę do Amandy. Kuchnia to jednak najlepszy przyjaciel kobiety...

- Ha, ha! - Roześmiał się Michał. - Takie podejście do sprawy świetnie rokuje na przyszłość. Moją, rzecz jasna!

- No nie! Jeszcze za chwilę będziesz gotów w dniu naszego ślubu zwolnić całą służbę! - krzyknęłam z udawanym oburzeniem.

- Dobrze już, dobrze - mruknął przymilnie. - Jak zechcesz, przyjmę jeszcze kilka sztuk. Kogo ci potrzeba? Praczki? Szwaczki? Prasowaczki? A może kogoś od paznokci?

- Świetna myśl! I nauczyciela języków obcych, dizajnera, choreografa oraz nadwornego portrecistę.

- Kę!!! - wykrzyknął Michał.

- Co?

- Nauczycielkę, dizajnerkę, portreciestkę. A poza tym wszystko w porządku.

- Akurat! No, chyba że nauczycielka będzie stara jak świat, dizajnerka garbata, a portrecistka...

- Ślepa - ucieszył się Michał. - I kulawa choreografka!

- Hi, hi - zarżałam sztucznie. - Śmieszne jak cholera! A tak naprawdę najchętniej wyniosłabym się z tego pałacu. Do jakiegoś niedużego, przyjemnego domku z ogródkiem, który mógłby sobie zarosnąć, czym by tylko chciał. I żeby był pies i kot. Kilka kotów.

- Pomaleńku. - Michał pocałował mnie kolejno w każdą dłoń. - Mamy przed sobą mnóstwo czasu i niczego, czego nie dałoby się zrobić. Wszystko zależy od nas.

- Boże mój! - Przytuliłam się do niego. - Ale byłoby fajnie, gdyby... wszystko było tak fajnie. A propos, kiedy Izydor planuje tę prezentację narzeczonej?

- Nie wiem, ale jeśli go znam, pewnie najprędzej, jak się da.

- Myślisz, że ta kobieta tu przyjdzie? Nie będzie jej głupio?

- Tego też nie wiem, ale przypuszczam, że ojciec jakoś ją do tego nakłoni. No, chyba że jest amatorką bardziej dóbr doczesnych niż duchowych.

wych uniesień. Wtedy przyleci truchcikiem i nie będzie jej głupio.

- Myślisz? Jezu, mam nadzieję, że ona nie leci tylko na majątek Izydora. Byłby kolejny problem, a ja mam już dosyć! Zdecydowanie wolę się cieszyć własnym szczęściem, niż zamartwiać cudzymi problemami...

- Ja też - szepnął Michał, całując mnie w szyję. - Zdecydowanie...

I w tej właśnie chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi. W pierwszym odruchu miałam zamiar zerwać się z kolan Michała, ale on mnie przytrzymał.

- Miej świadomość, kobieto, że znajdujesz się na całkiem właściwym miejscu!

To była Amanda. Trochę zmieszała się na ten widok, ale dość szybko doszła do siebie.

- Dziś będzie specjalny obiad - oznajmiła. - Pan Izydor kazał uprzędzić.

- Ojejku! - krzyknęłam w popłochu. - A ja przecież miałam zamiar się przebrać i dalej łązę jak fleja!

- Jak co? - zdziwił się Michał.

- Jak hebzia - wyjaśniła Amanda.

- Aha, teraz już rozumiem - oznajmił z powagą Michał. - Wobec tego i ja pójdę trochę się ogarnąć.

Z tego wszystkiego na śmierć zapomniałam, że miałam wyglądać dziś jak człowiek i postanowiłam szybko to nadrobić. Wyrzuciłam Michała z pokoju i wskoczyłam do wanny. W trakcie kąpieli zastanawiałam się nad nietypowością całej tej sytuacji. No bo jakże to będzie wyglądało, żeby Izydor przedstawiał swoją przyszłą małżonkę obecnej? Niby nieformalnej, ale w końcu przeżył z nią szmat czasu! Tak czy siak, miałam ujrzeć to osobiście.

Na tę okazję włożyłam kostium kupiony pod dyktando Żanety: krótki zakieciak w stylu lat sześćdziesiątych z krótką obcisłą spódniczką w kolorze brudny róż i odpowiednie do całości szpilki. Do tego delikatne kolczyki, ale żeby było je lepiej widać, włosy upięłam do góry. I chyba tylko ja zabłysnęłam podobną elegancją, ponieważ Michał ubrał się całkiem na sportowo, a oczekujący na nas w „paradnej” sali Izydor miał na sobie kowbojskie buty i kamizelkę z irchy z frędzlami. Tatuś, który wszedł tuż po mnie, również zrobił się na sportowo. Żanety nie było. Amanda poinformowała nas, że pani zje obiad u siebie, co nie zdziwiło mnie

za bardzo. Czekaliśmy w milczeniu. Izydor, coraz bardziej podekscytowany, przechadzał się od okna do okna. W którymś momencie zrobił nagły zwrot i wybiegł na zewnątrz. Teraz i mnie się udzieliło. Michałowi chyba też i tylko tatuś, jak zwykle, zachowywał zimną krew. Zresztą on znał już tę tajemniczą panią Martę ze wspólnych eskapad z Izydorem...

- Moi kochani, familijo moja! - zakrzyknął Izydor, wkraczając do salonu. - Pozwólcie przedstawić sobie przyjaciółkę moją najdroższą, którą znam od młodości lat. Kobietę najwspanialszą i najpiękniejszą, jaką kiedy w życiu spotkałem!

- Dobrze, że Jaśka tego nie słyszy. I nie widzi - szepnął pod nosem tatuś.

Oczom naszym ukazała się bowiem... drobna, siwa kobiecinka w mocno podeszłym wieku.

- Oto i moja Marta! - obwieścił z dumą Izydor i zaprowadził ją do stołu.

Kobiecinka milczała, uśmiechając się nieśmiało do wszystkich po kolei, Izydor zaś wpatrywał się w nią jak w tęczę, puchnąc z dumy.

- To się nazywa pamięć emocjonalna - szepnął mi do ucha Michał.

Zgromiłam go wzrokiem. Pani Marta zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Miła, cicha i sympatyczna, miała w sobie jakiś nieodparty urok i wdzięk. Ubrana była w skromną, kolorową sukienkę, pamiętającą chyba większość wzniosłych okazji w jej życiu. Patrzyła na nas szczerymi, nieprawdopodobnie niebieskimi oczami, z coraz bardziej niepewnym uśmiechem na twarzy.

- Powiedz coś - poleciłam półgębkiem Michałowi. - Coś miłego, jak głowa rodziny...

Michał wstał i chrząknął uroczyście.

- Ojczy, szanowna pani. - Skłonił się uprzejmie w ich stronę. - W imieniu całej naszej rodziny, obecnych, nieobecnych i tych, co na mo-
rzu...

Trąciłam go subtelnie, żeby nie przesadził.

- ...w każdym razie mniej lub bardziej nieobecnych - poprawił się odrobinę - pragnę powitać panią wśród nas i prosić, żeby czuła się pani jak u siebie.

- Dziękuję - odpowiedziała pani Marta z wyraźną ulgą. - Bo szczerze mówiąc, trochę się was bałam - przyznała rozbijając. - Ale Izydor na-

legał...

- A nie mówiłem? Nie mówiłem? - Ucieszył się Izydor. - Uprzedzałem cię przecież, że dobrych mam dzieci. Serdecznych i kulturalnie wychowanych! Amando, podawaj! Ty, Henry, zajdź do piwniczki po napitek. A rano obaj udamy się do Marty na siadłe mleko! - Mrugnął do tatusia.

- Po pucharku, to i owszem, na nową drogę życia - zgodził się tatuś.
- Ale nie za intensywnie tą razą.

Amanda wносиła wazy, półmiski i inne naczynia, rozmowa robiła się coraz swobodniejsza. Izydor promieniał i tryskał dowcipem. Ja też rada byłam jego szczęściu, ale jak pomyślałam, że Żaneta tkwi sama na gorze i w przeciwieństwie do całej reszty rodziny nie ma ani pół powodu do śmiechu, czułam gęsią skórkę na plecach. W końcu była z Izydorem na tyle długo, że chyba nie mógł ot tak, z godziny na godzinę całkiem o niej zapomnieć!

Kiedy Izydor w którymś momencie przeprosił wszystkich i udał się do toalety, pobiegłam za nim i zaczęłam się przy kibelku.

- Słuchaj... - zaczęłam niepewnie. - Czy nie jest ci trochę niezręcznie wobec Żanety?

- To nie moja żona jest - odparł oschle. - Oszukiwała mnie całe życie moje!

- Wiem, ale...

- Tak, ja rozumiem. Tobie żal, bo to matka twoja, jak okazało się - przerwał mi pośpiesznie. - Ale nie trap się, my się już pogodzili i dogadali. Ja ją zadość... zadość... uczyniłem sporo. Zacznie sobie nowe życie. Ona młoda jest, a ja nie. Dużo czasu ma, a ja nie za bardzo!

Izydor ruszył w stronę „paradnej”, a ja podreptałam za nim. Oczywiście, rozumiałam jego racje. Bardzo rozumiałam. Tylko że... mimo to coś mnie żarło na duszy. Skoro jednak, jak powiedział, zachował się wobec Żanety odpowiednio, a jej takie rozwiązanie przypadło do gustu, może rzeczywiście nie miałam się czym trapić?

Uroczysty obiad przeciągnął się do uroczystej kolacji. Nowa kobieta Izydora ujęła mnie całkowicie. Była miła, serdeczna i taka... delikatna. Kiedyś rzeczywiście musiała być bardzo piękna. Gdy mówiła, nie sposób było jej nie słuchać, a kiedy się śmiała, nie można było nie śmiać się razem z nią. Zauważyłam, że i Michał zaczyna ulegać jej urokowi. Pani

Marta była po prostu damą w każdym calu i ani skromna sukienka, ani szorstkie dłonie z niepomalowanymi paznokciami nie były w stanie tego zmienić... Izydor patrzył w nią jak w tęczę i w końcu musiałam przyznać sama przed sobą, że rozumiem jego decyzję.

Pod wieczór gospodarz przyjęcia znów wysłał tatusia do piwniczki, po kolejną flaszeczkę swego cudownego trunku. Wzniósł toast za mnie i Michała oraz za „oby wam się”. Michałowi nie pozostało nic innego, jak tylko odwdzińczyć się tym samym.

- Dla mnie już dosyć, Izydorku. - Tatuś zakrył kieliszek dłonią, kiedy ten chciał mu go napełnić ponownie.

- Jakże to? Nie wychylisz, gdy okazja taka przednia? - zdziwił się Izydor.

- Raczej nie, gdyż jutro z samego rana wyjeżdżam - oznajmił tatuś.

- Że co ty jutro, Henry, czynisz? - Izydor gwałtownie zamrugał oczami.

- Wyjeżdżasz? Dokąd? - zawtórowałam mu natychmiast.

Tatuś skinął na nas ręką i odszedł na bok.

- Bo widzicie, ja z żoną moją, Jaśką, się pojednałem - wyznał półgłosem. - I razem jedziemy. Tymczasem zatrzymamy się w jakimś hotelu, póki nie załatwię sobie wizy, a potem lecimy do USA.

- Tato, co ty mówisz? Lecicie do Ameryki? Na stałe?

- Może i na stałe, to się zobaczy. Ale spokojnie, przylecimy na wasz ślub, jeśli nas zaprosicie. - Klepnął mnie z rozmachem w plecy. - No chyba, żeby nie - dodał. - Bo Jaśka trochę powątpiewa... Choć, jakby nie było, żeni przecież dwoje dzieci: syna i córkę!

Tatuś zarechotał z własnego dowcipu, a następnie przybrał poważny wyraz twarzy, podszedł do stołu i ukłonił się z gracją.

- Tak więc, ja już się będę żegnał, gdyż muszę wstać jutro o masakrycznej godzinie. Ale życzę państwu wszystkiego najlepszego i dobrej nocy. A tobie, brachu - zwrócił się do Izydora - samego miodu na nowej drodze życia!

Mężczyźni wykonali zamasztygo niedźwiadka i tatuś poszedł na górę, a Izydor wrócił do narzeczonej. Właściwie ja również miałam ochotę zakończyć to posiedzenie, ale nie wypadało mi zostawiać jej w wyłącznie męskim towarzystwie. Sprawę szybko i zręcznie załatwiła

ona sama. Po prostu wstała, podziękowała i obdarzając nas tym swoim wdzięcznym uśmiechem, stwierdziła, że na nią już pora.

- Bardzo miło było mi was poznać - zwróciła się do mnie i Michała. - Piękna z was para.

- Z was też - odwzajemniłam komplement. - I taka... dobrana!

Pani Marta ucałowała mnie za to w oba policzki i po krótkiej chwili wahania Michała ucałowała również. Izidor poszedł ją odprowadzić.

- Hej hej, ułaaaani! Malowane dzieeeeeeci!!!! - rozległo się po chwili od strony ogrodu.

- A to nam się staruszek zabujał - roześmiał się Michał.

- I niech mu będzie na zdrowie - oznajmiłam, myśląc raczej o czym innym.

- Co ci jest? - zapytał Michał, widząc, że wiercę się niespokojnie.

- Mnie?

- No.

- Nie wiem. Ale zdaje mi się, że chyba mam coś do załatwienia.

- Chyba?

- Chyba.

- No więc pędź na górę, póki jeszcze nie śpią, bo tu ojcu dziurę wywiercisz w paradnym krześle! - Puścił do mnie oko.

- Skąd... wiedziałaś? - spytałam zdumiona.

- Bo cię kocham - odpowiedział mi z gruszki, ni z pietruszki, muskając wargami moje ucho.

Skorzystałam z jego rady bezzwłocznie. Zapukałam do drzwi głośno i wyraźnie, na wypadek, gdyby wewnątrz rozgrywało się kolejne love story.

- Proszę! - usłyszałam niemal natychmiast.

Żaneta pochylona nad łóżkiem pakowała coś do walizki, a tatuś stał na środku pokoju i przyglądał jej się podparty pod boki. Na mój widok Żaneta wyprostowała się i zastygła w bezruchu.

- Tatusiu, mógłbyś na chwilę zostawić nas same? - poprosiłam.

- Dobra - odparł, ale wyszedł z pewnym ociąganiem.

Żaneta stała naprzeciwko mnie z opuszczonymi luźno dłońmi. Tak bardzo nie pasowało to do jej dumnej postawy i wyglądało tak jakoby za-

łośnie, że całkiem odruchowo podeszłam do niej i złapałam te dłonie w swoje ręce.

- A więc jednak zamierzasz coś zmienić? - spytałam, darując już sobie słowo „pani”.

- Tak. Spróbujemy znów żyć razem. - Wskazała głową na otwartą walizkę ojca.

- Chcesz tego?

- Chcę - odparła z wahaniem. - Ale... nie pragnę. O ile rozumiesz, co mam na myśli.

- Więc dlaczego to robisz?

- Dla... Dla siebie również - odpowiedziała powoli, ważąc słowa.

Patrzyłam na nią w milczeniu. Czyżby więc robiła to głównie dla mnie? Próbowwała coś naprawić, czy nadrobić? A może... odpokutować?

Żaneta również milczała, coraz mocniej ściskając moje dłonie. Nie czułam już do niej niechęci, może tylko coś na kształt współczucia. Przyszło mi na myśl, że może na tej bazie uda się jeszcze coś odbudować?

- O której wyjeżdżacie? - spytałam.

- O czwartej.

- Więc już się pewnie nie zobaczymy... dzisiaj. No cóż, życzę wam w takim razie bezpiecznej podróży.

Żaneta przestąpiła z nogi na nogę, jęknęła cicho, a potem złapała mnie w ramiona i uścisnęła z całej siły.

- Dziękuję... - szepnęła.

Wyszłam z pokoju i rozejrzałam się za tatusiem, ale nigdzie go nie było. Poszłam więc do siebie. Pod drzwiami czekał na mnie Michał.

- Ja wiem, że jesteś zmęczona i pewnie śłaniasz się na nogach, ale zajmę ci tylko chwilę - wytłumaczył od razu.

- Jasne! - Pchnęłam drzwi i puściłam go przodem. - Co tam znowu?

- Ważna rzecz! Był u mnie ojciec i dał mi naszyjnik. - Michał zademontrował mi cacko na otwartej dłoni.

- Czemu? - spytałam bezmyślnie.

- Ponieważ zgodnie z tradycją rodzinną powinienem ci go wręczyć w charakterze prezentu zaręczynowego. Wiem, że czas i okoliczności może trochę niezręczne, ale pomyślałem, że może będzie to dla ciebie miły akcent po kolejnym intensywnym dniu.

- Pokaż. - Wyciągnęłam rękę i usiadłam przy stoliku.

Naszyjnik był przepiękny. Złożony z wielu misternych elementów, o identycznym kształcie, ale różnej wielkości. Ponadto każdy z tych elementów opatrzony był kilkoma lśnącymi, krwistoczerwonymi kamieniami. Założony na szyję kobiety musiał stanowić niewątpliwą, a przy tym całkiem sporą ozdobę.

- A gdzie masz ten swój? Mógłbyś go przynieść? - spytałam, mając na myśli niedokończoną przez Michała podróbkę.

- Mam go przy sobie - odparł, gmerając w kieszeni. - Też je sobie porównywałem przed chwilą.

Ułożyłam obydwa klejnoty obok siebie na stole. Naszyjnik Michała był prawie taki sam. To znaczy, byłby... Jednak w porównaniu z oryginałem raził pewną asymetrią. Chociaż... gdyby rozpatrywać je całkiem z osobna, można by go uznać za wysoce oryginalny...

- Wiesz co? - Odwróciłam się w stronę stojącego nade mną Michała. - Niech Izydor weźmie swój naszyjnik i ofiaruje pani Marcie. Ja wolę twój!

- Co ty? - spytał zaskoczony. - Naprawdę?

- No.

- Wobec tego... trzeba by go było skończyć. Ale to już nie jest problem, myślę, że ojciec...

- Ależ on jest skończony! - przerwałam mu energicznie. - O, tu! W tym miejscu się kończy właśnie. - Wycelowałam palcem w największe ogniwo. - A tu się zaczyna. - Wskazałam na najmniejsze, tuż przy zapięciu. - Mniej więcej w tym miejscu zebrałeś na niego pierwszą kasę.

- O, nie! - Uśmiechnął się Michał. - Pierwszą kasę zebrałem tu. - Machnął palcem w próżnię. - A tu spotkałem twojego tatusia. - Pokazał średniej wielkości element. - Tutaj ujrzałem cię po raz pierwszy, a tu sprzedałem samochód. W tym miejscu przyszłaś do mnie na zamek...

Pochylał się nade mną, muskając mnie po twarzy luźno puszczone włosami.

- A tutaj - dotknęłam największego, czerwonego kamienia - jest dzisiaj...

Odwróciłam się gwałtownie w jego stronę i objęłam go za szyję. Michał wyprostował się, unosząc mnie w ten sposób z krzesła. Nasze usta się spotkały, ciała splotły się ciasno.

Po raz kolejny zaznawałam w jego ramionach tego samego, niezmiennego uczucia: samym tylko spojrzeniem elektryzował każde włókienko mojego ciała, a pod wpływem jego dotyku krew zaczynała kipieć w moich żyłach. Do tej pory już kilka razy byłam bliska kapitulacji, ale w ostateczności jednak nie pozwalałam sobie na przekroczenie granicy. A on to szanował... Teraz jednak czułam, że kocham go tak bardzo, że bardziej już się nie da żadną ludzką mocą. Chciało mi się jednocześnie śmiać, płakać i krzyczeć ze szczęścia. Michał wyczuł chyba ten mój szczególny nastrój, bo całował mnie i dotykał z coraz większym zapamięłaniem. Wreszcie, jakby trochę nieśmiało, zsunął mi z ramion kusy żakiet. Rozpięłam mu koszulę, a wówczas on, całkiem już śmiało pozbawił mnie spódniczki i zamknął drzwi na klucz. Michał był piękny... Jego tors, ramiona były jakby wykute w marmurze: umięśnione, ale nie atletyczne. Był, jak to się mówi, dobrze zbudowany, ale zarazem smukły i zgrabny...

- Co takiego, moja śliczna? - spytał, widząc, jak się na niego gapię.

- Nic... - szepnęłam niemal bezdźwięcznie.

Michał złapał mnie w ramiona i w tej jednej chwili wszystko inne przestało mieć znaczenie...

•

EPILOG

Maj w tym roku był przepiękny. A ten dzień, mój dzień szczególnie. W ogrodzie Izydora rozkwitły bzy i jaśminy, przenikając wszystko dookoła upojnym zapachem. Lada chwila miał przyjść Michał, by sprowadzić mnie uroczyście na dół. Po raz kolejny okręciłam się przed lustrem. Poprawiłam fałdy długiej, białej sukni, sprawdziłam, czy kwiaty przytrzymujące welon tkwią porządnie we włosach.

- Bardzo pięknie pani wygląda! Wprost prześlicznie! - pochwaliła mnie chyba po raz setny Amanda. - Szkoda tylko, że nie chciała pani tamtego...

- Zamilcz! - Spojrzałam na nią groźnie. - Jeszcze raz wspomnisz o naszymniku, to się na ciebie obrażę!

- Dobra, już nic nie gadam - zgodziła się niechętnie.

- Chyba się nie kłóćcie, mam nadzieję? - zapytał Michał, stając w drzwiach. - Bo to przynosi pecha. - Mrugnął do mnie, pijąc chyba w stronę mojej skłonności do przesądów.

- Ale skąd! - zaprzeczyła Amanda.

Michał dzierżył w dłoni bukiet z białych kalii. Miał na sobie klasyczny, ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Z pewnym trudem wyperswadowaliśmy jego ojcu fraki, muchy, dziwaczne marynarki i inne głupawe gadzety. Ja również wybrałam dla siebie jak najprostszą sukienkę: z obcisłą górą na cieniutkich ramiączkach i bardzo bufiastym dołem. Gładką, bez żadnych cudów. Całą ozdobą był piękny, asymetryczny naszymnik.

- Madame, na nas już pora. - Michał wręczył mi bukiet i podał ramię.

Naszym jedynym ustępstwem na rzecz Izydorowych patriotycznych zapędów była zgoda na przejazd do kościoła dorożką. Nie dla samej dorożki nawet, ale raczej wobec alternatywy wynajęcia ogromnej, białej limuzyny...

- Nie becz! - Trąciłam łokciem pochlipującą Amandę.

- Dlaczego? - zapytał Michał, prowadząc mnie po schodach. - Niech płacze, jak ma taką potrzebę.

- Ale kiedy ona nie ma hamulca! - zaprotestowałam. - I jak się jej teraz nie powstrzyma, to nam przeryczy cały ślub. I wesele!

Amanda wydała z siebie dwa ostatnie, pospieszne chlipnięcia, wytarła nos i podążyła za nami. Dorożki czekały już na podjeździe.

- Ależ piękny wy macie widok! - wykrzyknął Izydor, który prawdopodobnie od jakiegoś czasu czekał na nas na dole. - W moich najgłębszych snach nie spodziewałem się ujrzeć taki! A teraz, dzieci moje, hopsiup do karocy i do kościoła!

- Spokojnie, tato, jeszcze czas - roześmiał się Michał.

- Spokojnie? Ależ on mi tu już od godziny marudzi! - oznajmiła pani Marta, zbliżając się do nas powoli.

Miała na sobie piękną, kremową garsonkę, mały wytworny kapelusik i koronkowe rękawiczki. Wyglądała cudnie, jak sama królowa Elżbieta! Izydor natomiast pofolgował sobie na całej linii: wystroił się we frak, muchę, lakierki oraz srebrny zegarek na łańcuszku. Musiałam jednak przyznać, że ten strój pasował mu doskonale...

- Wsiadajcież, moi drodzy, bo się koni nerwują! - ponaglał Izydor.

- Konie, tato, w przeciwieństwie do ciebie są całkiem spokojne - roześmiał się Michał, ale podał mi ramię, pomógł wsiąść do powozu i usadowił się obok.

W drugim pojeździe Izydor umieścił swoją damę oraz siebie, a także siostrę pani Marty i jej męża. Wyszło na to, że z limuzyny skorzysta tylko służba... Woźnice uruchomili jakoś konie i ruszyliśmy z miejsca. Złapałam się mocniej Michała i położyłam mu głowę na ramieniu.

Kościół oblegał tłum gapiów. Przyszła chyba cała wieś. Przed samymi drzwiami ktoś złapał mnie za ramię.

- Tatuś! Jesteście? - Ucieszyłam się niezmiernie na widok mojego ojca. - Już myślałam, że nie dostałeś mojej wiadomości!

Rozejrzałam się dyskretnie za Żanetą, ale nigdzie jej nie dostrzegłam.

- Matka siedzi w środku. - Tatuś odgadł moje myśli. - A ja czekam tu, żeby cię zaprowadzić do ołtarza, jak na ojca przystało.

- Ty nie doprowadzaj jej Henry - włączył się do rozmowy Izydor. - Bo się zrobi niesymetrycznie! Ona wchodzi z Michałem, a ja z Martunią. Rad jestem, że przybyłeś, przyjacielu!

Panowie z uwagi na podniosłość chwili zrezygnowali ze zwyczajowych niedźwiadków na rzecz męskiego uścisku dłoni. Tatuś, chcąc nie chcąc, ustawił się za nami i kiedy rozległ się dźwięk organów, wmaszerowaliśmy do środka. Kościół, za sprawą Amandy chyba, dosłownie tonął w kwiatkach. Posłałam w przelocie ciepły uśmiech mojej matce i zyskałam w odpowiedzi taki sam. Zajęliśmy miejsca przed samym ołtarzem. Michał uściśnął delikatnie moją dłoń. Spojrzałam na niego. Oto siedział obok mnie mężczyzna mojego życia: najpiękniejszy, najcudowniejszy w świecie. I mój...

Poczułam lekki zawrót głowy. A kiedy po chwili przy ołtarzu stanął Antek, taki jasny, promienny, a jednocześnie skupiony i poważny, pomyślałam, że szczęście może mieć bardzo różne oblicza. Bo to był z pewnością właściwy facet na właściwym miejscu... I mimo że tym bardziej powinnam skupić się na mszy, nie potrafiłam. Dopiero mój własny głos przywrócił mnie całkowicie do świadomości:

- Ja, Luiza, biorę sobie ciebie Michale... - mówiłam płynnie i uroczyście.

- Ja Michał... - odpowiadał mi z lekko wyczuwalnym wzruszeniem w głosie.

Potem przyszła kolej na Izydora i Martę.

- ...i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską, oraz że cię nie wypuszczę aż do śmierci - grzmiał Izydor. - Tak mi dopomóż...

Nie wytrzymałam i zachichotałam, zakrywając usta dłonią.

- ...Wielki Lord, Święty Spirytus i cały Trójnik - dokończyłam pod nosem.

- Słucham? - Michał pochylił się ku mnie skonsternowany.

- Nic, nic - uspokoiłam go szybko. - Ale kiedyś muszę ci pokazać pierwszy list twojego ojca...

- Już się cieszę - szepnął i puścił do mnie oko.

Ścisnęłam mocniej jego rękę i na powrót skupiłam się na ceremonii. Bo oto Izydor składał „pierwszy” pocałunek na ustach swojej małżonki. Młody kapłan z wyrazem głębokiej szczęśliwości na twarzy wrócił do ołtarza, by przygotować komunię. Spojrzałam ukradkiem za siebie,

by rzucić okiem na moich rodziców. Siedzieli, ramię w ramię, tatuś rubasznie radosny, matka z chustką w dłoni, rozpaczliwie zatrzymując spływający makijaż...

Myślałam o tym, co mi się przydarzyło w ciągu raptem pół roku. Wszystko było tak niesamowite, że aż niewiarygodnie nieprawdopodobne! Poczułam się, jakbym jakąś nadludzką mocą przebiegła strasznie długi kawał drogi w strasznie krótkim czasie, pokonując po drodze wszystko i wszystkich! Ale tak było i to nie był sen. Bo cuda się zdarzają. Zdarzają się naprawdę!

Trzeba tylko w nie uwierzyć.

•